

Tom CLXXVIII.

De. II. 1.

Zeszyt 710.

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

ROK CZTERDZIESTY PIĄTY.

CZERWIEC.

1886.

WARSZAWA.
W Drukarni Józefa Bergera.
Elektoralna Nr. 14.

Ukończono druk dnia 8 Czerwca.

TREŚĆ.

	stron.
I. Nowa konstytucja Irlandyi. Przez Edmunda Naganowskiego.	313
II. Wartość pedagogiczna muzyki. Przez Bolesława Wilczyńskiego.	342
III. Bobdan Zaleski (Wspomnienie pośmiertne). Przez Sewerynę Duchlińską (dok.).	365
IV. II-gi Walny zjazd towarzystwa nauczycieli szkół wyższych w Krakowie (w d. 20 i 22 kwietnia b. r.). Przez Romana Zawilińskiego.	398
V. Odczyty Jerzego Brandesa „O poezyi polskiej XIX wieku.“ („Gazeta Polska“ nnr. 67—74 i 76—79 1886 roku). Przez Józefa Kotarbińskiego.	421
VI. PRZEGLĄD PIŚMIENICTWA KRAJOWEGO I ZAGRANICZNEGO.	
Jana Kochanowskiego dzieła wszystkie. Wydanie pomnikowe. Tom III, str. 451. Warszawa, druk braci Jeżyńskich (dawniej Ungra) 1884 r.	432
„Uwagi o modelach na pomnik Mickiewicza, wykonanych podług pomysłu Matejki, oraz odpowiedź pp. recenzentom na ich zarzuty. Naszkicował członek komitetu pomnika dla Mickiewicza dr. Hubert hr. Krasieński.“ Bez wyrażenia roku i miejsca druku, str. 69. Przez Karola Matuszewskiego.	434
VII. Kronika miesięczna.—Rzut oka na sytuację ogólną stosunków europejskich.—Wskreszenie floty czarnomorskiej.—Germanizacja szkoły w W. ks. Poznańskim i w Prusach zachodnich w sejmie pruskim.—Wymarzone „rozruchy“ galicyjskie.—Ruch życia umysłowego polskiego: Trzy odczyty prof. St. hr. Tarnowskiego w Warszawie (30 kwietnia, 3 i 4 maja r. b.) na dochód Osad rolnych i Towarzystwa ubogich Matek: „O literaturze polskiej za panowania Stefana Batorego.—Doroczne posiedzenie Towarzystwa historyczno-literackiego d. 3 maja w Paryżu: konkurs imienia J. U. Niemcewicza, odczyt p. Kallenbacha „O panowaniu Stefana Batorego.“—Konkurs imienia Adama Chojnackiego z funduszu na cel oświaty ludowej pod zawiadywaniem Uniwers. warszawskiego.—Doroczne walne posiedzenie uroczyste Akademii umiejętności w Krakowie dn. 22 maja 1886 r.—Konkursy Akademii.—Przegląd zwyczajnych czynności: Posiedzenie sekcji matematyczno-przyrodniczej z dn. 15 i 17 kwietnia i 20 maja; wydziału historycznego 17 kwietnia i 18 maja; wydziału filozoficznego z dn. 13 maja.—Czynności w Towarzystwie przyja-	



De. II. 1.

NOWA KONSTYTUCYA IRLANDYI.

PRZEZ

Edmunda S. Naganowskiego.

I.

Pięć lat upłynęło od czasu, kiedyśmy w „Bibliotece Warszawskiej“ omawiali położenie Irlandyi ekonomiczno-polityczne. Powiedzieliśmy tam, że „nikt w Irlandyi nie wierzy w skuteczność jakichkolwiek środków rządowych. Nadzwyczajne prawo koercyjne wywołało już kilka zbrodni; obiecana reforma nigdy nie odda ziemi krajowcom, nie odda domorządztwa krajowi. Póki zaś to nie nastąpi, irlandczycy zawsze wołać będą sprawiedliwości, zawsze powtarzać stary celtycki okrzyk wojenny: Eryn na przebój!—Erin go bragh!“¹⁾

Organiczna zmiana, jaka zaszła w metodzie agitacji konstytucyjnej postów irlandzkich, była najgłówniejszą pobudką owego artykułu. Na czele partyi narodowej stanął mąż młody, 33-letni, należycie ceniony w kołach dublińskich, lecz mało znany w szerokich warstwach ludowych. Karol Steward Parnell nie posiada tych przymiotów, jakie cechowały wszystkich przywódców narodu w walce z brytanizmem kolonialnym i z brytanizmem westminsterskim; przeciwnie, występował z obozu tradycyjnie wrogiego ludowi irlandzkiemu. Parnell, członek a dzisiaj głowa rodziny angielskiej, jest potomkiem baronetów Jakóba I-go, kreowanych za dni plantacji ulsterskiej—protestant żarliwy, wychowaniec wszechnicy Kantuaryeńskiej (Cambridge), nie odznaczający się żadnym przymiotem, któryby wpadał od razu w oczy ogółu, nie mogący się równać z najmniej wymo-

¹⁾ Patrz zeszyt kwietniowy Biblioteki r. 1881.

wnym członkiem koła irlandzkiego; a nadto małowówny, milczący, chłodnego obejścia, był też Parnell i dla tego jeszcze nie popularnym w kraju, że należał do znienawidzonego Kościoła i więcéj jeszcze znienawidzonej klasy „landlordów.” Dziedzic pięknego klucza w hrabstwie Wexford, stawiając swą kandydaturę poselską w mieście Cork, stolicy największego i najmniej brytańskiego hrabstwa w Irlandyi, ogłosił manifest, w którym ambicyą swą usprawiedliwił temi słowy: „Z mlekiem matki, amerykanki, wysłałem nienawiść ucisku. Widok krwi irlandzkich patryotów, rozlanej w koło szafotu irlandzkich męczenników w Manchester, uczynił mnie irlandczykiem. Dzierżawcy moi w Avondale niech dadzą świadectwo o mnie. Przychodzę do was w imieniu partyi narodowej.”

Cóż postawiło Parnella na czele partyi? Jego naówczas dziwnie śmiała i chłodno powzięta decyzja. Poprzednik jego, Izaak Butt, z wiarą szczerą w alianse z partjami brytańskimi w parlamencie, kierował wszystkie wysiłki koła irlandzkiego ku otrzymaniu decentralizacji władzy państwowej w Irlandyi i zastąpieniu jéj przez rady powiatowe; Parnell przedstawił kołu plan inny: — plan usamowolnienia partyi w izbie, plan bezwzględnej obstrukcyi (?) parlamentarnéj, stopniowego przeistoczenia koła w niezależne centrum, słowem plan otwartej walki o kompletne wyzwolenie Irlandyi z pod jarzma landlordyzmu i z pod juryzdykcyi parlamentu cesarskiego. Wszyscy młodzi członkowie koła stanęli z zapałem pod tym sztandarem; starsi—pozostali przy Butt'cie i przy decentralizacji. Pierwszych nazwano „parnellistami” — drugich „domorządzcami” (homerulers). Butt nie długo przeżył rozkład koła: umarł, podobnie jak wielki O'Connell, zgryziony niestępczością stronników oraz przez to, co nazwał „szaleństwem szkolnych żaków...” Domorządzczy nie obrali po nim następcy; rozłączając się z parnellistami, jedni przerzucili się do brytańskiego obozu radykalnego, drudzy pozostali faktycznie bezczynnymi. Do tych to ostatnich należy Frank Hugh O'Donnell, pozbawiony mandatu w zeszłorocznych wyborach i agitujący dziś w wiedeńskich pismach przeciwko Parnellowi.

Z sześćdziesięciu członków koła tylko trzydziestu i trzech zasiadło w izbie obok Parnella. Było to w r. 1880-ym. Natychmiast po pierwszej sesyi Parnell pospieszył do Irlandyi, by akcyą swą usprawiedliwić i zreorganizować siły agitacyjne w jedno koło najwyższej w kraju i jedynéj powagi. Napotkał atoli opór potężny ze strony hierarchii katolickiej, przerażonej następstwami, jakie akcyą otwarcie rewolucyjna sprowadzić mogła przeciw Kościołowi; i ze strony jednego człowieka... który był bożyszczem ludu i jego głosem: Michała Davitta, założyciela Ligi Ziemińskiej. Davitt nie należał do zwolenników Butt'a; podzielał i pochwalał zasadę konieczności zerwania unii z r. 1800, ale niemniej głęboko był przekonany o palącej konieczności ratowania włościanstwa z pod niezmiernego ucisku landlordów. „Zanim—mówił—akcyą parlamentarna zdoła zniszczyć

fatalny akt r. 1800-go, lud częścią wymrze z głodu, częścią wyrzucony zostanie za morze!“

Zwołano więc walną konwencyą narodową do Dublinia, której rezultatem było skupienie wszystkich sił agitacyjnych w jeden organ—w Ligę Ziemską. Głową ligi został obrany Parnell, lecz nie prędcząz współ z Davittem udał się do arcybiskupiej stolicy Cashel, gdzie, klękając przed słynnym obywatelem-kapitanem, d-reem Croke, wyrzekł słowa pamiętne: „Wasza Łasko, przyszedłem żądać Waszój pomocy i Waszego błogosławieństwa. Z hierarchią rzymsko-katolicką, narodową—wszystko zdziałamy; bez niej—kroku nie zdołamy uczynić!“

Wiadomo dobrze, iż od owój chwili w Irlandyi stanęły naprzeciw sobie dwa narody w zwartych szeregach; że poraz pierwszy w dziejach wyspy, naród irlandzki postanowił na gruncie konstytucyjnym walczyć o śmierć lub życie... Wiadomo dobrze, iż na tym gruncie był wrogiem narodowi oranżyzm, rozporządzający całym bogactwem kraju, administracyą i głosem izb westminsterskich... że Irlandya amerykańska, reprezentowana w Stanach Zjednoczonych przez dwumilionowy Clan-na-Gaël, a w kraju przez rozliczne gałęzie tajemnych związków włościańskich i mieszczańskich, postawiła veto stanowcze przeciw agitacyi konstytucyjnej, że nagromadziwszy zasobów materialnych do walki tajemnej, radziła ojezyźnie szukać rozwiązania wszelkiej łączności z W. Brytanią. Przez dwa lata toczył się bój zacięty: otwarty—między Ligą z jedną a brytanizmem z drugiej strony; sekretny—między władzą, porządkiem i powagą z jednej a rozłożoną po całym kraju siecią anarchizmu z drugiej strony. Rząd trzymał się stale swój zasady: jedną dłonią dawał ustępstwa, drugą... nie rozróżniając między agitacyą prawną a zbrodniczą, zalewał kraj ustawodawstwem koercyjnym, zawiesił akt Habeas Corpus i do obwodów, gdzie ludność ginęła z głodu i nędzy, stał całe pułki żołdactwa. Polityka gabinetu p. Gladstone'a

A little bit of this, and a little bit of that,
A little bit of lean, and a little bit of fat...

zniechęciwszy najlepszych jego stronników, a między nimi zmarłego przed miesiącem Forstera i ówczesnego wice-króla Cowper'a, dodała bodźca agitacyi amerykańskiej, rozpalila wściekłość loży oranżystowskich. Najpierwszym wynikiem koercyi było morderstwo ministrów w parku Feniksa (6-go maja 1882 r.), a ostatnim... układy pierwszego ministra z uwięzionym w Kilmainham Parnellem. Następca Cowper'a, hr. Spencer, mąż zasad liberalnych, lecz niezdolny do akcyi samoistnej, sprawował swe rządy, słuchając jednego tylko w Irlandyi głosu t. j. biurokracyi zamku dublińskiego. Rozwiązał Ligę Ziemską, ściagał bezwzględnie i z surowością żelazną każdy objaw oporu, napełniał więzienia podejrzanymi, winnymi i niewinnymi;—a niestety! wysyłał i na rusztowanie ludzi, których niewinność nie ulega

dzisiaj najmniejszej wątpliwości! Lord Spencer chciał oczyścić kraj z anarchizmu, by przekonać Anglią, iż jedynie anarchizm uniemożliwia działalność skuteczną reform rządowych... W końcu swego urzędowania przekonał się o mylności tego sądu, a będąc człowiekiem honoru, wyznał zarazem, iż reformy dotychczasowe były półśrodkami, a t. zw. rząd zamkowy—krzyczącą anomalią. To zapatrywanie Spencera rzuciło pierwsze ziarno niezgody między członków gladstońskiego gabinetu i spowodowało zeszłoroczną zmianę rządu angielskiego.

Wypada nam poświęcić słów kilka rozbitej Lidze Ziemskiej. W ostatniej chwili swego istnienia, składała się liga z dublińskiej komisji centralnej i z 1,500 komitetów prowincjonalnych. Zadanie, jakie sobie założyła, obejmowało całą myśl Michała Davitta i program agitacji Parnella: prowadziła walkę eksterminacyjną przeciw landlordyzmowi, brała w opiekę eksmitowane rodziny osadników i prowadziła bezustanną kontrolę nad nowo-kreowanymi trybunałami ziemskimi. — Liga musiała stać się stanem w stanie... o tyle potężniejszym, o ile potężniej wspartym przez olbrzymią większość mieszkańców. Fundusze jej pochodziły ze składek narodowych w Irlandyi, w W. Brytanii, w Ameryce i Australii: a tak obficie płynął grosz ratujący głębę ojczystą z każdego zakątka świata, że skarbnik Egan wykazał — w dniu przymusowej kasaty Ligi — remanentu czystego £. 867,000! Tęj samej godziny, gdy Ligę Ziemską skasowano Parnell ogłosił w ratuszu dublińskim powstanie Ligi Narodowej. Nowa organizacja zajęła miejsce zniszczonej, jej biura stołeczne i prowincjonalne, jej kapitały. Program swój ogłosiła w następujących wyrazach: „Otrzymaliśmy od rządu brytańskiego, co rząd ten dać się odważył; teraz zażądamy tego, co rząd dać musi: Parlament narodowy w Dublinie. Agitacja nasza będzie opartą na prawach konstytucyjnych posłów, zasiadających w parlamencie cesarskim.“

Program ten odstąpił od Ligi Michała Davitta, któremu chodziło przedewszystkiém o wyzolenie włościactwa od ucisku landlordów. Hasłem jego było: „Ziemia irlandzka dla irlandczyków!“ Hasłem Parnella i nowój Ligi: „Irlandya dla irlandczyków!“ Davitt dążył do osiągnięcia niezależności ojczyzny przez wyrugowanie z niej kolonistów; Parnell był przekonany o niepodobieństwie urzeczywistnienia téj idei w Westminsterze, — i dlatego radził Lidze starać się przedewszystkiém o wyzwolenie Irlandyi z pod jurysdykcyi parlamentu westminsterskiego, innemi słowy: odwołanie unii z r. 1800-go.

Zaznaczyć tu należy, że czysty patriotyzm założyciela Ligi Ziemskiej zasługuje na uznanie najwyższe!

Przez dwa lata następne 1883—84, pozostawał Davitt przy swych przekonaniach... lecz ani razu nie wystąpił przeciwko Parnellowi, owszem, żadnej nie pominął sposobności publicznej, by naczelnikowi partyi nie wyraził absolutnego zaufania i posłuszeństwa. Wszystkie starania

oranżystów i rządu, by rozdzielić lud między obydwoh, zarówno uwielbianych szermierzy, pozostały bezowocnymi.

Stronę racjonalną programu Ligi Narodowej każdy pojął i uznał; lecz sposobu, jakim miał być ten program przeprowadzony, mało kto się domyślał; ci, którym był zrozumiały, nie wierzyli w jego skuteczność, lub nie ufali mu ze względów natury czysto technicznej, nie ufali takiej taktyce parlamentarnej. Przekonanie nasze o możliwości przeprowadzenia programu Ligi i nadzieję rychłego załatwienia kwestyi irlandzkiej w parlamencie, wyśmiano w prasie rosyjskiej jako „halucynacye pseudo-korespondenta dzienników warszawskich“¹⁾.

Plan akcyi parlamentarnej parnellistów mógł atoli wtedy dopiero być wprowadzonym, gdy w izbie niższej przeszedł bil reformy wyborczej, dający prawo wyborcze dwom milionom mieszkańców zjednoczonego Królestwa. O istocie tego bilu i o gwałtownej przeciwnemu opozycyi stronnictwa torysów pisaliśmy w „Bibliotece“ (listopad, 1884); nie jest już dziś tajemnicą, iż go uratowała sama królowa Wiktorya, gdy przez księcia Richmond et Gordon zaklinała lorda Salisbury'ego do pewnych ustępstw dla planu p. Gladstone'a.

Zanim przystąpimy do rozbioru wypadków z jesiennej kampanii parlamentarnej, dających nam miarę szczerości p. Gladstone'a i jego kolegów w tegorocznej taktyce irlandzkiej, musimy zastanowić się bliżej nad widokami partyi irlandzkiej na początku ostatniego lata.

W Irlandyi cały naród, jak jeden mąż, stał wiernie przy Parnell'u. Amerykański Clan-na-Gaël przyklasnął programowi i powiększył swe składki do tego stopnia, że przed wyborami generalnemi Liga Narodowa odbierała ze Stanów od 12-tu do 16-tu tysięcy dolarów tygodniowo. Związki tajemne, przerażone groźbą kongresu, sfolgowały znacznie w swych machinacyach. Lecz ucisk landlordów trwał w Irlandyi, bo trwały ich prawa; wzmagał się nawet w obec oczekiwanych reform gwałtownych. Trwały więc i wzmagaly się zbrodnie agrarne. Ustawy koercyjne zbliżały się do końca swego terminu prawnego; lord Spencer żądał od ministrów wczesnego ich przedłużenia, a ministrowie byli różnych pod tym względem zapatrywań. W izbie wyższej nie mieli parnellisci w pierwszych miesiącach zeszłego roku ani jednego rzecznika. W izbie niższej mieli ich... pięciu, między nimi Jana Morley'a, znakomitego literata. Sami zaś liczyli głosów 33, przeciwko 618-tu zdecydowanym autagonistom programu Ligi. Jakiż był podówczas sąd p. Gladstone'a o „marzeniach“ narodowej partyi? Najświeższe debaty w izbie przypominają nam wszystkie jego energiczne deklaracye przeciwko akcyi Parnell'a, lecz żadna z nich nie była tak stanowczą i decydującą, jak ta, którą uczynił w pierwszej

¹⁾ Zdanie to, objawione przez „Journal de St. Petersburg“, powtórzył miesięcznik „Blackwood's Magazine“ (lipiec, 1883). Berlińska „Germania“ usprawiedliwiła w podobny sposób usunięcie korespondencyi tej treści.

swój mowie po zebraniu się posłów na sesyą zimową (1885): „Anglia ma dość mężkiej odwagi, by na pierwsze żądanie wrzekomo narodowej partyi, zasiadającej tutaj, odpowiedzieć jednym głosem: Non possumus!... Co nasi ojcowie zbudowali, to my wiernie i święcie zachowamy, wzmacniając, spajając coraz silniej potęgę tego wielkiego cesarstwa, jednego i niepodzielnego!“

Sir William Harcourt, dzisiejszy kanclerz skarbu, a naówczas minister spraw wewnętrznych, nie inaczej nazywał kolegów Parnell'a, jak: *the men stepeed to the lips in treason* — „zanurzonych w zdradzie po same usta!“ Inni ministrowie, jak lord Kimberley i sir Charles Dilke, lord Hartington i Forster, sir Henry James i Trevelyan, Mundella, Chamberlain i lord Granville, nie pomijali nigdy danej okazji, by świat cały zrozumiał dobrze, iż, o ile to od nich zależęć będzie, nie jeden paragraf aktu unii naruszonym nie będzie. Lecz w radzie gabinetowej, z jednomyślną zgodą nad zachowaniem fundamentalnej konstytucyi Irlandyi, wybuchło w maju gwałtowne nieporozumienie co do sposobów, jakimiby wypadało rządzić w Irlandyi po 1-ym czerwca, z chwilą, kiedy ustać miała prawomocność ustaw koercyjnych.

W przekonaniu naszém, nieporozumienie to ministrów stworzyło źródło, z którego wypłynąć musiała ewolucyjna akcyja rządu angielskiego, reprezentowanego czy to przez radykałów, czy whigów, czy też torysów. Przewidywał to Parnell i od razu zajął swoją pozycyą. W gabinecie liberalnym trzech najznakomitszych jego członków, z których każdy liczy w izbie szczerze sobie oddanych stronników, przedstawiało trzy plany rządzenia Irlandyą od 1-go czerwca. Pierwszy minister, p. Gladstone, obstawał za zachowaniem częściowém aktów koercyjnych na dwa lata następane; przywódzca whigów i umiarkowanych liberatów, lord Hartington, żądał przedłużenia całkowitej ustawy na lat pięć; koryfeusz klikki birminghamskiej i bożyszcze pewnej sekcyi radykalistów, Chamberlain, upierał się przy bezwarunkowém zniesieniu koercyi. Tym sposobem i olbrzymia większość ministryalna w izbie rozłożyła się niebawem na trzy stronnictwa, z których każde uledez musiało głosującej w czambuł mniejszości konserwatywnej. Przypominam, że Parnell nie oczekiwał już żadnego ustępstwa dobrowolnego od p. Gladstone'a; od Hartington'a mógł się tylko spodziewać koercyi; Chamberlain'owi nie dowierzał, bo sądził, że na stosunkowo słabiej w izbie partyi radykalistycznej nie można nic trwałego budować. Zwrócił więc całą uwagę swoją na stronnictwo zachowawcze.

Nie potrzeba było wcale późniejszych zaprzeczeń i protestacyi ze strony torysów, żeby być przekonanym o tém, iż żadnych między nimi nie było traktatów i układów, ponieważ czegoś podobnego nie pozwalają przypuszczać znane powszechnie stosunki parlamentarne między torysami i narodowcami. Było jednakże milczące porozumienie... Wiedzieli torysi doskonale, iż z pomocą parnellistów łatwo im

przegłosować stronnictwo rządowe przy lada sposobności; wiedzieli nadto, że przy zbliżających się walnych wyborach uwydatni się wdzięczność irlandczyków, zamieszkających w Anglii, ich nienawiść do whiggizmu Hartington'a i do oportunistów pierwszego ministra. Z drugiej strony, Parnellowi zależało nieskończenie na wczesnym obznajmieniu p. Gladstone'a z maszyneryą przeszłej taktyki narodowej, zależało mu bardzo wiele na przekonaniu go o tém, iż partya, licząca głosów 33 a będąca siłą, stanie się niezwyciężoną potęgą, gdy (jak obrachowywał ostrożnie) liczyć będzie głosów 80.

Gabinet liberalny upadł w czerwcu. Tegoż samego miesiąca, gabinet zachowawczy oświadczył, iż ze względu na małą stosunkowo liczbę zbrodni agrarnych w Irlandyi, ze względu również na konieczność odbycia wyborów na wyspie bez przeszkód praw koercyjnych—ustawy nadzwyczajne zostaną całkowicie zniesione. Wypadek ten bardzo ważny posłużył Gladstone'owi do usprawiedliwienia jego reformy fundamentalnej. Rząd wysłał do Irlandyi hr. Carnarwon'a, naród witał namiestnika z nietajoną serdecznością, oranżyści milczeli, ale nie przestali uczęszczać do salonów vice-króla.

Walne wybory rozpoczęły się w listopadzie. Nigdy ciekawość powszechna nie drgała prądem niecierpliwym! Jakież będzie program „wielkiej partyi liberalnej?” pytano; a jaki manifest ukaże się z obozu torysowskiego, w którym rej wodzą Salisbury i Churhill, w którym konserwatyzm demokrntyczny wystrzelił nagle pod wpływem czerwcowego coup d'etat, przy współudziale parnellistów?... A jak przemówi sam Parnell do wyborców w Irlandyi i do irlandzkich wyborców w W. Brytanii? Na którą stronę głos swój dadzą, po raz pierwszy w dziejach konstytucyjnych Anglii, dwa miliony świeżych wyborców, wyrobników rolnych, sług, robotników fabrycznych, górników? Poniżamy tu natężoną uwagę Europy, Europy zwłaszcza wschodniej i wschodnio-południowej! Tak bowiem doniosłe kwestye i tak palące oczekują tu załatwienia na gruncie domowym, że sprawy międzynarodowe stracić musiały w okręgach wyborczych wszelkie znaczenie. Przeciętnie wykształcony anglik, szkot i irlandczyk zostawia te sprawy do załatwienia specjalistom w parlamencie, wysokim oficerom sił obydwóch w izbie lordów i szeroko spekulującym bankierom w izbie gmin!

Kraj cały wiedział, że „wielka partya liberalna“ była w sobie rozdzieloną—lecz i to wiedziano, że samo imię sędziwego męża stanu, który w dziejach Anglii znakomitym był jeszcze przed laty 50-ciu i nim być nie przestał—że imię Gladstone'a zdoła do pewnego stopnia skupić w koło jednego sztandaru liberalnego, wszystkich wyborców, nad którymi wpływ jakkolwiek wywierały rozlane po całym kraju unie, stowarzyszenia i związki liberalne. Manifestu, przygotowanego starannie w wolnych od służby publicznej miesiącach, oczekiwano niecierpliwie.

Wyszedł on nareszcie z zamku Hawarden, ozdobiony znaną Gladstone'a frazeologią, i zawierał cztery punkta: 1) Obietnicę oswobodzenia hrabstw W. Brytanii z pod zbytniej władzy centralnej parlamentu, czyli częściowej hrabstw autonomii; 2) wniesienie bilu reformy agrarnej dla Anglii; 3) reformę rejestracji wyborców w całym królestwie i 4) reformę procedury obrad w izbie niższej. Byłażli w manifeście wzmianka o Irlandyi? Owszem: przy punkcie pierwszym zapowiadał manifest rozszerzenie bilu autonomii hrabstw i do Irlandyi—, o tyle, o ile na to pozwolą polityczne i inne warunki w Irlandyi.“ Za to nie tajemnym było nikomu, że punkt czwarty zmierzał ku wywołaniu posłów angielskich, walijskich i szkockich od obstrukcyi (?) irlandzkich. Najbliżsi stronnicy Gladstone'a oświadczyli wyraźnie, iż t. zw. ustawę klotury trzeba będzie zmodyfikować o tyle, iżby porządek obrad nie zależał już, jak dotychczas, od woli najmniej 40-stu, lecz od woli najmniej 80-ciu głosów! Około tych głównych czterech punktów, Gladstone w manifeście poruszył, z znaną powszechnie ostrożnością i dwuznacznością, wszystkie te kwestye, które na estradach radykalistycznych prym niemal trzymały nad reformą agrarną i rządu wewnętrznego: wspomniał więc o konieczności zajęcia się sprawą kościelną, unikając słowa „kaszaty;“ dotknął kwestyi dziedzicznych pensyi, sławiąc wymownie i przodków i potomków z pensyi korzystających; nie ominął też, lecz zreżcznie zamglął frazesami potrzebę radykalnej reformy izby lordów.

Parnell zrozumiał dobrze, iż, jeżeli najotwartzszy oportunistą w obozie liberalnym żadnych Irlandyi nie obiecał ustępstw, w chwili, gdy od irlandzkich głosów w Anglii zależeć musiała potęga liberalna w izbie, o układach mowy być już nie mogło. Począł atoli na manifest pierwszego ministra lorda Salisbury'ego.

Lord Salisbury zapowiedział politykę konserwatywną w Newport. Kto w jesieni śledził taktykę wyborczą obydwóch naczelników, ten mógł naprawdę wątpić o doskonałości tyle wychwalonych rządów w Anglii przez stronnictwa, ten mógł zaiste z największą słuszością powiedzieć, że nie stronnictwa rządzą W. Brytanią, lecz jednostki! Program Salisbury'ego zapowiadał też same reformy, co manifest Gladstone'a, z wyjątkiem trzeciej, rejestracji wyborczej. W jej atoli miejsce chciał, żeby czempredziej podjęto w izbach reformę agrarną w pewnych hrabstwach i na pewnych wysepkach szkockich. Ale gdy Gladstone, ulegając radykalizmowi, potracił o sprawy kościelne, o pensye i o izbę lordów—Salisbury z chwalebna odwagą, powstał gwałtownie przeciwko roztarganiu istniejących stosunków między stanem i kościołem (stosunków, niegdyś tak wymownie bronionych przez Gladstone'a); i wskazał wyborcom swe tryumfy dyplomatyczne przeciwko hańbiącemu klęskom antagonisty, kładąc nacisk na konieczność odbudowania znaczenia Anglii, od którego zależy jej potęga kolonialna i co za nią idzie, rozwój dobrobytu narodowego. Cóż o Irlandyi? Irlandya, mówił lord Salisbury, a za nim

i przed nim głośno oświadczał lord Randolf Churchill: Irlandya dzisiaj nie potrzebuje ustaw koercyjnych, zbrodnie się zmniejszają. Anglia może zaufać potędze Ligi Narodowej, mogącej wstrzymać instynkta ludności. Stronnictwo rządowe (torysowskie), pragnąc z jednej strony zabezpieczyć w całości unię trzech królestw, gotowe każdej chwili użyć surowej represyi, gdy się okaże jej potrzeba—przygotowuje, równocześnie taki plan reformy konstytucyi irlandzkiej, który zadowolniając większość ludności, w niczem nie zaszkodzi interesom mniejszości.

A little bit of this, and a little bit of that!

Manifest narodowy irlandzki, wygłoszony w Dublinie w sali ratuszowej, zawierał jedno tylko zdanie: „W nowo wybranej izbie —zawołał Parnell— staniemy wszyscy razem na jednej estradzie irlandzkiej; a na tej estradzie jednej tylko trzymać się będziemy deski: całkowitej autonomii!“ Taktyka walki będzie prosta i łatwa: partya narodowa nie stanie ani po stronie whigów, ani torysów, ani liberałów, ani radykałów. Stawi swe żądanie, a jeżeli je rząd odrzuci... to przy najpierwszej okazji partya się złączy z jego przeciwnikami i zmieni rząd W. Brytanii; nowemu rządowi przedstawi partya znowu swoje ultimatum, z identycznym warunkiem żywotnym! Oto cały plan walki, barbarzyński w swój niemoralności! zawołał Gladstone; przesiąkły zdradą stanu! przywodził lord R. Churchill. Tak, bez wątpienia... gdyby od reprezentantow Irlandyi żądać mogła Anglia poświęcenia najdroższych interesów ojczyzny, gwoli interesom obcym. Plan kolosalny w możliwych dla Anglii następstwach! uniemożliwiający z gruntu wszelkie prawodawstwo, obalający jeden gabinet po drugim, niszczący wszelką powagę brytańskiej dyplomacyi, brytańskiego oręża—płatający chaotycznie wszystkie nici intryg i trązakacy międzynarodowych, dający lwa brytańskiego na pośmiewisko trzecio- i czwartorzędnym sztandarom Europy! To też zrozumiały stronnictwa brytańskie straszliwe niebezpieczeństwo. Żudziły się jednakże nadzieją, że w obec żądań Parnella, znikną nie-nawiści i nieporozumienia stron brytańskich; przeciwko 80-ciu posłom stanie posłów 570-ciu; wreszcie, irlandzki charakter nie dopisze posłom narodowym, rozbije ich łączność i zwali z nóg Parnell'a, jak przed nim wywrócił O'Connell'a i Butt'a!

Obydwa niebezpieczeństwa zrozumiał Parnell. Zażegnał je drastycznie. Jako naczelnik Ligi Narodowej, wybrany i zaufany szermierz narodu, postanowił użyć do przeprowadzenia swego planu środków, pozornie najmniej zgodnych z duchem agitaty narodowej i narodowych pragnień, lecz nawet skandalicznych i wręcz przeciwnych konstytucyi angielskiej. Oparł się na tej zasadzie, że najlepsza teoria strategii wojskowej ustąpić musi praktycznej potrzebie.

Przed rozpoczęciem wyborów, Liga odbyła generalną konwen-

cyą w Dublinie. Z sali posiedzeń wykluczono obcych i wszystkich bez różnicy reporterów dziennikarskich. Obrady i rezolucye konwency zachowano w tajemnicy aż do końca wyborów. Żadne stronnictwo angielskie nie przejrzało taktyki Parnella, aż już było zapóźno. Kierowano zaś nią starannie, by zabezpieczyć partyi narodowej w izbie siłę decydującą; w tym celu starano się o to, aby przeszkodzić zbytniej większości jednego stronnictwa nad drugim, ale równoważyć je ile możności, tak iżby partya narodowa mogła każdej chwili być panią sytuacji. Należało dalej przedsięwziąć środki zaradcze, uniemożliwiające rozkład w samą partyi narodowej, apostazy, starania się o względy ministeryalne i o rządowe posady—wreszcie zapewnić w łonie koła ten rygor ślepy, który w danych okolicznościach jest nicodzownym, a którego brak rozbił był siły O'Connella i Butta. Nakoniec, trzeba było zaciągnąć pod sztandar koła ludzi, których wierność byłaby niewzruszoną. Partya irlandzka miała dość wytrawnych i doświadczonych posłów, dość mówców i zdatnych do komisji pracowników. Nie chodziło tą razą wcale o pomnożenie ludzi utalentowanych; chodziło poprostu o automaty.

Parnell przystąpił do wykonania całej swęj myśli nagle, ażeby utrzymać w Anglii i Szkocyi liczne złudzenia i dziwaczne nadzieje do samego końca. Na dwa dopiero dni przed rozpoczęciem pierwszej seryi wyborów, w okręgach miejskich (borough elections), ogłosił w dziennikach list otwarty „do irlandczyków w W. Brytanii,“ w którym, przypominawszy im straszne dni koercyi Forster'a i Trevelyana, nazwawszy Gladstone'a „mężem słabego charakteru, chwiejnych przekonań, w gruncie dobrego, lecz gotowego poświęcić sumienie w zamian za władzę,“ polecił ziomkom dać głosy swe kandydatom konserwatywnym. Polecenie Parnell'a przyjęto jako rozkaz: półtora miliona irlandzkich wyborców w W. Brytanii sprawiło, że po ukończeniu pierwszej seryi wyborów, torysi mieli słabą większość, odniósłszy niespodziewane zwycięstwa w miastach, jak Bradford, Sheffield, Leeds, Manchester i Liverpool—w których dotychczasowo przewaga liberalna była niezaprzeczoną! Nie będę opisywał przerażenia „wielkiej partyi liberalnej,“ ani przedwczesnej satysfakcyi torysów. Nadmienię tylko, że pierwsza ogłosiła Parnell'a „czarnym niewdzięcznikiem;“ parnellistów zaś „otwartymi wrogami Anglii.“ Torysi, spodziewając się ostatecznego tryumfu w hrabstwach, powtórzyli wprawdzie życzliwe względem Irlandyi intencye swoje (było to w miesiącu, w którym dwie okropne i bezwąt্পienia „agrarnie“ zaszły zbrodnie na wyspie); lecz zaprzeczyli pogłoskom o ich układach z parnellistami, ponawiając gotowość swoję do użycia w Irlandyi koercyi, gdy jęj w interesie rządu będzie potrzeba.

Zasza tu okoliczność charakterystyczna, dająca nam miarę moralności publicznej stronnictw angielskich: Chamberlain, koryfeusz radykałów, postanowił bądź co bądź naprawić fortunę liberalną w wyborach prowincjonalnych (county elections), w których mieli po raz

pierwszy zabrać głos nowo wyzwoleni wyrobniicy i górnicy. Z tych pierwsi, jako zależni od zachowawczych zwykle farmerów, pastarów i landlordów, skłaniali się ku stronnictwu czerpiącemu swą powagę z interesów ziemiańskich; drudzy, ulegający wpływow ultra-sekciarskich „związków wstrzemięźliwości“ (mających swą niezmiernie bogatą i potężną komisją centralną — the British and Foreign Temperance Associations) — otrzymali byli swe hasło: Disestablishment of the Church, innemi słowy: równo-uprawnienie sekt dyssydenckich! Wśród wyrobników rzucił Chamberlain socjalistyczną agitacją przeciwko landlordom i farmerom z znaną obietnicą „trzech akrów roli z krową“ każdemu wyrobnikowi. Górnikom obiecał skrócenie godzin roboczych, reformę kontroli nad eksploatacją min i kopalni węgla, i.. kasatę Kościoła państwowego. Przypomnę, jak szalona powstała w Anglii burza przeciwko tej propagandzie! Chamberlain, zaproszony do Hawarden, zmuszony był odwołać kasatę. Przystąpiwszy do władzy, zmuszony był również „odłożyć trzy akry z krową“ do chwili sposobniejszej. Ale wyborcy, którzyby może nie byli głosowali za Gladstone'm, głosowali za Chamberlain'em.

Parnell milczał. Koledzy zato jego czuwali po hrabstwach W. Brytanii. Gdzie przeważała opinia radykalno-liberalna, tam polecili ziomkom wspierać kandydatów konserwatywnych; gdzie przemagał toryzm — irlandczyk miał głosować przeciw niemu. W ostatecznym więc rezultacie, co torysi zdobyli w miastach, to utracili w hrabstwach; stronnictwo zaś p. Gladstone'a w Anglii zaledwie wsparte, znalazło jaką taką siłę w Szkocyi lub Walii — tracąc tym sposobem zupełnie dotychczasowy swój charakter partyi nie tyle angielskiej, ile brytańskiej. Siedmiu członków bytego rządu Gladstone'a nie zdołało wcale odzyskać poselskich mandatów.

Wybory w Irlandyi odbywały się tymczasem według niezwykłej dotąd metody. Szczypty komitet Ligi Narodowej, złożony z Parnella i siedmiu parlamentarnych jego kolegów, sporządził spis narodowych kandydatów do izby poselskiej. Powiedzieliśmy już, że nie chodziło bynajmniej o postów zamożnych ani utalentowanych; ale też nie można było pominąć zupełnie opinii i głosu okręgów. Na żądanie przeto komitetu, poszczególne gąłęzie Ligi w hrabstwach, miastach i parafiach przygotowywały również swoje spisy popularnych osobistości, a to w celu zaopatrzenia partyi w kandydatów lojalnie znanych i szanowanych, w razie gdyby kandydaci komitetu nie zdołali w pewnych miejscowościach zdobyć sobie wziętości. Nie wiem atoli, czy można wskazać lepszy dowód głębszego wpływu osobistego Parnella nad ten, iż nie zdarzyło się w ciągu wyborów, by kandydat przez niego polecony został przez wyborców odrzucony. Dowód także niepoślednio rozwiniętych uczuć obywatelskiego obowiązku widzieliśmy w samych kandydatach, którzy przyjęli bez oporu nadzwyczajne warunki Ligi. Zanim bowiem który z nich stanął przed wybor-

cami w imieniu i z potężnem poparciem Parnell'a, musiał przyjąć i podpisać następujące zobowiązanie:

1) Że w izbie będzie zasiadał i głosował bezwarunkowo z partją narodową;

2) Że w żadnej kwestyi, obchodzącej Irlandyą, nie zabierze głosu bez upoważnienia partyi;

3) Że bez zezwolenia partyi nie wstrzyma się od żadnego głosowania i nie oddali się z Londynu;

4) Że od rządu nie przyjmie żadnego urzędu;

5) Że w razie przekroczenia któregobądź z powyższych punktów lub na żądanie partyi zrezygnuje natychmiast z mandatu.

Dodajmy, że Liga wyznaczyła pewien fundusz żelazny na opłacenie tych posłów, którzyby nie mogli bez straty posad zajmowanych, przenieść się do Londynu i wyłącznie poświęcać się parlamentarnym pracom.

Rezultat wyborów przewyższył śmiałe nadzieje Parnella: Liga przeprowadziła w Irlandyi 85-ciu swych kandydatów, a jednego w Liverpoolu; rozbiła zupełnie kolonialne stronnictwo whigów i przez agitacyą w Ulsterze sprawiła, że kolonialni torysi zdobyli sobie tylko 16-stu reprezentów!

II.

Rozpisałiśmy się nieco szczegółowo o usiłowaniach partyi irlandzkiej i jej stosunkach do stronnictw brytańskich; a uczyniliśmy to z powodów ważnych. Pismo peryodyczne dążności poważnych powinno zaznaczyć nie tylko ostatnie rezultaty tak doniosłego rozwoju politycznego, lecz i kronikę wypadków, które wywierały wpływ potężny na dalszy przebieg olbrzymiej kwestyi. Przegląd tych wypadków ułatwi nam rozbiór eklektycznego projektu ministeryalnego, da słuszną miarę szczerości polityki anglo-irlandzkiej i pozwoli wypowiedzieć otwarcie zdanie o... wartości reformy, przedsięwziętej wśród takich okoliczności.

Z chwilą, w której o ostatecznym zwycięztwie parnellistowskiej w Irlandyi kampanii nikt już wątpić nie mógł,—Parnell znów zamilkł, zamilkli wybitni jego koledzy. Milczeli aż do dnia 8-go kwietnia. W stronnictwach za to brytańskich popłoch powstał i zamieszanie chaotyczne. Jedno pytanie było w ustach wszystkich: Które stronnictwo, liberalne czy konserwatywne, zakupi sobie obietnicami pomoc 86-ciu narodowców. Stronnicy Gladstone'a i Chamberlain'a zaręczyli, iż tylko zdradziecki toryzm, już i tak skompromitowany przez odwołanie koercyi poświęci resztę skrupułów i wzmocni się „nieświętem przymerzem z buntownikami.“ Stronnicy Salisbury'ego

i Churchilla oczekiwali zaprzeczenia tym pogłoskom, a doczekali się tylko ponownego protestu przeciwko wieściom o „sekretnych z parnellistami układach“. Nie podobna wątpić, iż sam Gladstone święcie był przekonany o prawdopodobieństwie aliansu, jeżeli nie Salisbury'ego, to Churchilla z Parnellem. Dowodzi tego osobista jego kampania wyborcza w Midlothian—rozpoczęta nader późno, z powodów łatwo zrozumiałych.

Dziwnie się czytają mowy Gladstone'a listopadowe obok kwietniowych! Przypomnijmy sobie, że w Szkocyi, w okręgach edyńskich (Midlothian), ludność przyjęła manifest październikowy z zapamiętaniem; że w listopadzie, po agitacji Chamberlain'a na rzecz kasaty Kościoła, szkoci oczekiwali z żywą niecierpliwością od sędziwego męża stanu stanowczej obietnicy kasaty. Tymczasem—zgrzybiały, lecz pełen młodzieńczego ognia, kandydat, zaraz w pierwszej swjej mowie odłożył tę wybitnie szkocko-walijską kwestyą to a dim and distant future—„do mgławicy i dalekiej przyszłości;“ to a long vista of Parliament — „do dłuższej perspektywy parlamentów...“ a natomiast wystąpił gwałtownie z nową zupełnie sprawą w niespodziewanym charakterze: oskarżyciela partii irlandzkiej! Dzisiejszy pierwszy minister, a naówczas naczelnik opozycji zaklinał z mównicy edyńskiejszej, by wielkie stronnictwo liberalne zapomniało swych kłótni i swarów, „w obec najgroźniejszego niebezpieczeństwa, na jakie dotąd cesarstwo pełne chwały jest narażone... niebezpieczeństwa zbrodniczego przymierza z buntownikami!“ Parnellistów nazywał „niewdzięcznikami,“ ludźmi, którzy „pod maską patryotyzmu szachrują własnym sumieniem i przyszłością Irlandyi;“ „pseudo-patryotami, niegodnymi szacunku uczciwych ludzi“ i t. p. Naród W. Brytanii jeden miał tylko obowiązek: stanąć łącznie i zgodnie w szeregach zwartych, przeciwko koalicji, „której niewątpliwym wynikiem musiałyby być wprowadzenie doniosłych zmian w fundamentalnym akcie unii W. Brytanii z Irlandyą!“¹⁾

A jednakże... p. Gladstone nie miał zamiaru zamykać sobie wszystkich dróg wyjścia! W tej matni krasomówczych uniesień słyszano lub czytano zdania, które w listopadzie zdawały się nie mieć wielkiego znaczenia, które dziś atoli przybrały znaczenie jedyne. Wyrzekając na niewdzięczność parnellistów, Gladstone po kilkakroć zawołał: „A w końcu, od kogóż oczekują irlandczycy więcej ustępstw, ustępstw najobszerniejszego zakresu? Czy od swych nowych mecenasów?“ Na inném miejscu czytamy w stenoğraficznych sprawozdaniach słowa jeszcze więcej znaczące: „Ja mam ustaloną opinią o członkach partii irlandzkiej, jednego im tylko odmówić nie można: ich by-

1) Dosłownie: „An alliance of which the undoubtful result must be the introduction of portentous changes in the fundamental Act of Union between Great Britain and Ireland“—Ostatnia mowa w Edyńburgu, 22-go listopada 1885 r., według sprawozdań stenoğraficznych.

strości i dowcipu. Pytam się więc was, panowie, jakże można pojąć, iż tacy postłowie, jak pp. Healy, Sexton i Justyn Mac-Carthy, jak przedewszystkiem p. Parnell—nie chcą uznać, iż jedyną ich nadzieją jest nasze wielkie, nasze postępowe, nasze wspianiałomyślne, nasze narodowe stronnictwo liberalne?*

Czy rozumie czytelnik, jaki był cel bezpośredni tych frazesów? Naczelnikowi opozycyi chodzilo przedewszystkiem o... wywabienie Parnella z milczenia, które on sobie i swoim stronnikom nałożył, o spróbowanie raz jeszcze drogi układów nie oficjalnych, o przekonanie się, czy już nie byłoby sposobu porozumienia się? Ale Parnell mileżał. Ponowiono więc z głębszą goryczą agitacją przeciwko „nieświętemu przymierzcu“ torysów z „buntownikami.“ Już ta sama okoliczność, że gabinet Salisbury'ego nie zrezygnował natychmiast po skończonych wyborach, (do czego nie miał żadnego powodu, bacząc na słabą większość opozycyi i na panujące w jej łonie niezgody) wystarczała, by agitacja przeciw wrzekomemu sojuszowi wzmożła się do ostatnich granic. Dzisiejszy kanclerz skarbu, dzisiejszy główny po Gladstonie rzecznik nowej konstytucyi irlandzkiej, a w pięciu latach ubiegłych najzjadliwszy wróg Ligi, sir W. Harcourt, wołał i pisał publicznie: „Owszem, niechże torysi pozostaną przy władzy! nam to najlepsze odda przysługi, zdyskredytują się ze szczegłem, let them stew in the parnellite jui cel „niechże się marynują w parnellowskim sosiel“

Tymczasem lord Salisbury, zmuszony powziąć stanowczą decyzją w wypadkach Europy wschodniej, postanowił nie zwlekać dłużej, postanowił oczyścić się z zarzutów i tém samém poznać istotne względem swój partyi usposobienie narodu. Uchwycił więc najpierwszą okazją i na ministeryalnym bankiecie w londyńskiej Guildhall (halli cechów), wypowiedział mowę, która miała następstwa najniespodziewańsze. Wystąpił w niej w imieniu jednomyślniej niemal opinii angielskiej, przeciwko zamachom na kasatę Kościoła i—w imieniu jednomyślniej opinii brytańskiej, przeciwko naruszeniu aktu unii z Irlandyą. Nie dość na tém: biorąc pochop z kilku świeżo spełnionych zbrodni agrarnych w Irlandyi, Salisbury zapowiedział gotowość wznowienia pewnych artykułów ustawy koercyjnej, w razie, gdyby prawo zwyczajne nie było zdolne utrzymać na wyspie porządek!

Po tej deklaracji, przyjętej w obozie liberalnym z szyderczemi aluzjami do „kwaśnych winogron,“ nastąpiło kilka dni spokoju i skupienia. Co robił naczelnik opozycyi? Używał czasów w Hawarden i jeśli swym zwyczajem drzew nie ścinał, zażywał lekarstwo i pielęgnował swe gardło. Zapytywany w pismach publicznych, jakież przeciwstawi projekt rządzenia Irlandyą, odpowiedział: Nie wypada mi z zacisza mego stawiać propozycyi; należy czekać na oficjalną deklaracją ministrów w parlamencie; „cokolwiekbądź ma się uczynić dla Irlandyi, inicjatywę podjąć może jedynie... pierwszy minister korony.“ Odpowiedzieć taka nie zdradzała jawnie tego, żeby polemizujący

z Huxley'em starzec miał w tece szemat anti-ministeryalny rządu irlandzkiego. Czekano na wyraźniejsze objawienie—daremnie.

Milczał bowiem ten, który mógł być jedynie ułatwić zadanie „wielkiego starca.“ Parnell zrozumiał doskonale, że, o ile dotyczyło torysów, gra w ciuciubabkę się skończyła; nie wynikało ztąd przecie, by zdjął z oczu przepaskę przed ci-devant wielką partją liberalną i jej wcielonym wyrazem! Milczał i czekał, by „góra sama przyszła do niego.“ I przyszła! W pierwszych dniach grudnia, jeden z synów Gladstone'a, Herbert, członek izby, wypowiedział mowę w Chester, tuż w sąsiedztwie ojcowskiej siedziby; a rozbiegając powody wrogiego zachowania się wyborców irlandzkich w W. Brytanii, rzucił niby od niechcenia, niby w przystępie desperackiej fantazyi, wykrzyk następujący: „Ba! panowie, jeśli większość posłów z Irlandyi domaga się samorządu (homerule), to jużci jabyim się nie sprzeciwił żądaniu takiemu! Niechże się irlandczycy rządzą sami, czemu nie? Żaden liberał nie zobowiąże się rządzić w Irlandyi wieczystą koercyą!“

Ileż to listów odebrał ojciec Herberta, ileż naglących telegramów, żądających wyjaśnienia słów synowskich! Gladstone atoli odwłóczył odpowiedź aż do pierwszych dni stycznia; wtedy dopiero, pewien już swego odpisał jednemu z najwięcej natrętnych, że „za syna nie odpowiada“—actatem habet; ipsum quaeratis!...

Wiadomo, że gabinet Salisbury'ego nie zapowiedział w mowie korony żadnego prawodawstwa dla Irlandyi; że wysłany do Dublina nowy sekretarz generalny, W. H. Smith, powrócił z projektem odnowienia pewnych artykułów ustawy koercyjnej; że lord Carnarvon ustąpił z zamku dublińskiego. Korzystając z ubocznej zupełnie interpelacyi Collings'a, odnoszącej się do reform agrarnych w Anglii, Gladstone obalił gabinet torysowski i złożył nowy gabinet, w którym nie zasiadł ani 30-to letni jego towarzysz, Hartington, ani Goschen, whig w przekonaniu i utalentowany dyplomata, ani sir Henry James, dotychczasowo filar wielkiej partyi. Panowie ci, nie pochwalając porozumienia z parnellistami, odmówili udziału w rządzie pozornie dla tego, że większa część kolegów premiera zobowiązała się w Szkocyi i w Walii przeprowadzić kasatę Kościoła państwowego.

Nie wspomnimy już rekryminacyi torysowskich na niemniej „nieświęte przymierze“ posta z Midlothian „z buntownikami, niegodnymi szacunku uczciwych ludzi!“ Lecz na zachowanie się stronnictwa liberalnego nie można nie zwrócić uwagi, bo dowodzi ono, do jak nieograniczonego stopnia przywiązana jest W. Brytania liberalna do swego sędziwego koryfeusza. Stronnictwo liberalne sąd swój o nowém ukształceniu stosunków w izbie zawiesiło, nie zganilo wielkiego polityka, ani go nie pochwaliło. Styszeliśmy na prowincyi opinią angielskiego włościanstwa: We wouldn't trust Salisbury, but we

trust Gladly: he can't be wrong, and so he is right, the Grand Old Man—God bless him! ¹⁾.

Na zadane sobie w końcu stycznia zapytanie, pierwszy minister odpowiedział, że ustawodawstwo dla Irlandyi będzie natychmiast przedmiotem ciągłych obrad gabinetu, i że gabinet uczyni odnośną deklaracyą w pierwszych dniach kwietnia. Powiedzmy więc słów kilka o przygotowaniu wielkiego projektu.

Z góry już zaznaczamy, że projekt nie jest dziełem 1) partyi liberalnej, bo partya ta wszelką myśl o nim odrzucała statecznie i z oburzeniem w ciągu wyborów, a nadto nie miała najmniejszego udziału w jego wypracowaniu; 2) projekt nie jest dziełem gabinetu liberalnego, bo przeciwnie do przestrzeganego obyczaju, a obyczaju zgodnego z tutejszym konstytucjonalizmem, ministrowie, składający gabinet, nie byli przypuszczeni do pracy swego szefa, projekt został wygotowany w całości przez pierwszego ministra i w całości dopiero przedłożony radzie gabinetowej. Natychmiast po jego przedstawieniu zrezygnowali dwaj najwybitniejsi członkowie gabinetu: Chamberlain ²⁾ i Trevelyan; ten ostatni, były sekretarz generalny irlandzki za rządów hr. Spencera. Powody ich secesyi poznamy niżej.

Jeżeli jednakże ani partya brytańska, ani brytański gabinet nie noszą odpowiedzialności za pierwszą myśl projektu i jego poszczególne postanowienia, to z drugiej strony, nie można powiedzieć, iżby Gladstone nie radził się, przed rozpoczęciem swój kolosalnej pracy i w jej ciągu, osób najwłaściwszych. Owszem, zapytany oficjalnie przez jednego z „wielkich mistrzów“ łóż oranżystowskich, lorda De Vesci, na jakichby podstawach zbudował przyszły rząd w Irlandyi — odpowiedział przez zaproszenie irlandczyków, bez różnicy wyznania i opinii politycznych do spisania swych zapatrywań — narodowych i kolonialnych, i przestania mu ich do Londynu. Łatwo pojąć, z jakim zadziwieniem (by nie użyć dosadniejszego wyrazu) wyczytano odpowiedź tę w pismach brytańskich! Wyśmiano dość ogólnie stronę technicznej śmieszności żądań pierwszego ministra; zapytywano, ile furgonów wysłał urząd pocztowy stolicy do pałacu przy Downing-street, ilu tam jest sekretarzy, czytelników; co p. Gladstone robi z przeczytanemi dokumentami i po czemu sprzedaje żona jego centnar zużytego papieru?... Nie dowiedzieliśmy się też dotąd jeszcze, czy minister znalazł w tak rozlicznych komunikacyach cokolwiek, coby mu było podało myśl przewodnią projektu. Tyle pewna, że pierwsza pośpieszyła z od-

¹⁾ Nie ufamy Salisbury'emu, lecz ufamy Gladstone'owi, bo on się mylić nie może, dla tego też ma racyą, dzielny starzec — nicoh mu Bóg błogosławi.

²⁾ Tokę ministra administracyi hrabstw (Local Government) objął po nim wuj znaney czytelnikom pani M. A. Biggs, p. James Stansfold, który piastował ten sam urząd w gabinetcie Gladstone'a od r. 1870—74-go.

powiedzią hierarchia rzymsko-katolicka, za nią — t. zw. „The Loyal Patriotic Union of Great Britain and Ireland,” ciało reprezentujące interesa oranżyzmu; dalej, prowincjonalne komisye podatkowe. Partya parlamentarna milczała i żadne między nią i ministrem nie zaszły porozumienia, jak tego dowodzi przebieg rozpraw nad wniesionym następnie projektem.

Ośm tygodni trwała praca wielkiego ministra razem z tajemnicą głęboką nad ewentualną formą projektu. Czego się domyślano i czego się nie domyślano, nie tu miejsce opowiadać; przeczuwano atoli uroczystość i niezmierną doniosłość chwili, w której, poraz pierwszy w dziejach W. Brytanii, odpowiedzialny pierwszy minister korony... więcej jeszcze, kiedy Gladstone, mąż zgrzybiały wiekiem wśród tyłu reform brytańskich, stanie w izbie, by w imieniu monarchini złożyć „ostatni możliwy szemat przyszłego rządu w Irlandyi“¹⁾. Wystąpienie ministra w izbie (wiedziano to dobrze), musiało być ostatnim aktem 700 letniej przeszłości Zielonej wyspy!

III.

Podajemy teraz część najważniejszą naszej pracy:— należyte streszczenie dwoistego bilu pierwszego ministra. Rozpoczynamy od rozbioru zasad, jakich się trzymał p. Gladstone w projekcie swoim.

Pierwszą zasadę znajdujemy dosadnio wyrażoną w samym początku jego mowy z dnia 8-go kwietnia: jest nią konieczność znalezienia spokojnego i przyjaznego modum vivendi z ludnością kraju, zawojowanego przed 700 laty. W. Brytania rządziła dotychczas jedną tylko alternatywą w Irlandyi — koercyą: „Przedewszystkiem — mówił Gladstone — chciałbym skierować uwagę waszą na to, że podczas gdy prawodawstwo zaprowadzające w ustawach prowizye wyjątkowe, powinno samo być z własnej natury absolutnie wyjątkowem, stało się ono u nas nie wyjątkowem, lecz zwyczajnym, chronicznem. Jesteśmy jako człowiek, który, widząc lekarstwa, które mogą mu pomódz do zdrowia, żyćby chciał jedynie i wyłącznie owemi lekarstwami. A juźci narody równie jak indywidua nie znajdują sił żywotnych w tém, co miało stanowić tylko środki lecznicze! Byłyż atoli te środki z bawienkami? Czy osiągnęliśmy cel, któryśmy osiągnąć pragnęli? Nie, panie²⁾, zbrodnia agrarna stała się w Irlandyi złem równie zwyczajnym i chronicznem, jak prawodawstwo, które ją miało wyplenić; a te zbrodnie agrarne, choć w tej chwili właśnie nie częste, mają fatalną dążność do szerzenia się pod wpływem okoliczności, dodających im bodźca, i mnożą się od czasu do czasu i wzmagają się do rozmiarów takich i w tak groźnych formach, że ży-

1) Z mowy pierwszego ministra, 8-go kwietnia.

2) Wszystkie przemowy zwracają się w angielskiej izbie niższej do przewodniczącego (Speaker—mówcy).

cie społeczne i spokój pracy domowej wystawione są przez nie na największe niebezpieczeństwo. Od początku obecnego stulecia zajmowaliśmy się rozszerzaniem i utwierdzaniem wielkich interesów cesarstwa. Dziełę peryod ten od aktu unii z Irlandyą na dwa poryody—pierwszy od r. 1800 do 1832-go, epoka dotąd pamiętna z „wielkiego aktu reformy,“ i drugi od r. 1833 do 1885-go. Nie wiem czy zauważono dotąd, że w pierwszym z tych peryodów w ciągu lat 32-óch, niemniej jak lat jedenaście przeszło w parlamencie bez najmniejszej represyi, bez jednego aktu koercyjnego dla Irlandyi; lecz w 53-ech latach następnych, takeśmy zaiste daleko postąpili w drodze zasad liberalnych, że dwa tylko lata wolne są w księgach statutowych od wyjątkowego prawodawstwa! Czyż to samo nie wystarcza, byśmy raz przecie uczynili troskliwy przegląd stanowiska? Odważyłbym się nawet—ufając, że izba myśli moję zrozumie—powiedzieć dziś, że ta koercya, jakiejśmy dotąd używali, była niedostateczną i nieradykalną, że więc, jeżeli już innego nad koercyą nie ma sposobu rządzenia Irlandyą, to niechże ta koercya będzie absolutną, niechże się sroży bezwzględnie i bez wytchnienia, niechże odpowie wymaganiom i celom!“

Drugą zasadą projektu jest przekonanie, że naród irlandzki nienawidzi prawodawstwa obcych: „Cóżemy w Irlandyi sprawili? pyta Gladstone. Tyle tylko, a uważam to za fundament wszystkiego złego—ze wszelkie prawo, słuszne czy niesłuszne, nie ma w Irlandyi zachowania—a nie ma go dla tego, iż przychodzi do kraju w obcej szacie i z obcą fizyognomią.“

Jako trzecią zasadę wypowiada projekt, że prawo zwyczajne nie wystarcza w Irlandyi. „Natychniast po upływieci prawomocy każdego aktu koercyjnego zbrodnie pomnożyły się w czwórnasób.“ Minister wypowiedział dalej o ustawach wyjątkowej represyi następujące uwagi: „Moglibyśmy wykazać w dziejach przypadki, w których koercya bezwzględna, stała i rezolutna odniosła skutki pomyślne; lecz w przekonaniu mojem, dwóch ku temu potrzeba warunków, mianowicie: samowładztwa rządu i tajnej tranzakcyi spraw publicznych. Czyż więc koercya może być pomyślną w otwartem świetle dnia? i czyż ludność Anglii i Szkocyi zastosuje ją do ludności Irlandyi, gdy sama ehełpi się, jak świat wielki i szeroki, z swęj nieograniczonej swobody i wolności? Nigdy, dopóki nie sprobuje drugiej alternatywy.“

Czwartą więc zasadą projektu jest konieczność powrócenia samorządu Irlandyi. Lecz dwie ostatnie zasady — nierozzerwalności unii z r. 1800 i zabezpieczenia praw irlandzkiej mniejszości—stanowią rdzeń największych trudnoći i opokę, o którą—zdaniem naszym—rozbić się musi każdy projekt „to the better government“ Irlandyi, dopóki Irlandya sama, przyjąwszy szczupłą miarę samorządu, nie rozszerzy jej sobie zgodnie z potrzebami całej swęj ludności.

Dla czego projekt pierwszego ministra składa się z dwóch bilów, mających otrzymać prawomoc swęj równocześnie? Dla tego, że p. Gladstone nie ufa irlandczykom, nie dowierza, by narodowy parlament

irlandzki zechciał, lub mógł nawet traktować kwestyą ziemiaństwa sprawiedliwie, by mniejszość irlandzka przyjęła decyzje większości bez oporu. Naród irlandzki może dopiero wtedy otrzymać autonomią, gdy reprezentanci jego utracą możność uregulowania kwestyi agrarnój.

Obznajmiemy tedy czytelnika z bilem agrarnym; tu i owdzie przyjdzie nam jednak rozbrajać artykuły pierwszego bilu w świetle zamiarém drugiego i odwrotnie.

Przedewszystkiém więc, irlandzcy członkowie izby niższej (103) i irlandzcy członkowie dożywotni izby lordów (28) mają opuścić Westminster i przenieść się do Dublina. Lecz jeżeli w przyszłości W. Brytania zmieni lub cofnie tę, jak ją nazwał Gladstone, Magnam Chartam Irlandyi, to wszyscy ci członkowie, czy ich następcy będą mieli prawo powrotu do Westminsteru, aby albo bronić swój konstytucyi, lub też zająć ponownie swoje w Anglii stanowisko. Irlandya więc nie będzie miała wpływu na wybór angielskich gabinetów, ani na politykę Anglii zagraniczną, ani na jej wojny. Pod tym przynajmniej względem, przestanie być częścią cesarstwa i zostanie faktycznie kolonią. Rząd irlandzki będzie reprezentacyjnym; składać go będą: wice-król i parlament, względnie gabinet, obrany większością głosów w parlamencie. Ale wice-król przestanie być reprezentantem ministerjalnego stronnictwa w W. Brytanii, przestanie być reprezentantem Kościoła państwowego: może być katolikiem, a funkcyje jego będą te same stosunkowo, co funkcyje królów.

Skład i juryzdukcyja parlamentu stanowią pierwszą seryą nader skomplikowanego organizmu. Ciało prawodawcze dublińskie składać się będzie z dwóch „porządków czyli Stanów“ (Orders), wyższego i niższego, obradujących pospołu, lecz posiadających wzajemnie względem siebie prawo, kasujące wynik obrad. Gdy więc większość posłów uchwali ustawę lub rezolucyą—mniejszość będzie mogła założyć veto; to zaś veto ma uniemożliwić ponowne nad wnioskiem obrady na lat trzy lub do czasu rozwiązania izby i świeżych wyborów. „Porządek wyższy posłów“ (możemy go nazwać protestanckim, oranżystowskim, antynarodowym) składać się będzie ze 104-ech członków, mianowicie z owych 28-iu parów, zasiadających dziś dożywotnio w Londynie, i z 75-ciu członków z wyborów. Atoli wybory „Porządku wyższego“ nie będą się odbywały na tych samych zasadach, co wybory Niższego, a to właśnie w celu zabezpieczenia mniejszości od przewagi narodowców. Wyborcami do „Porządku wyższego“ będą ci tylko mieszkańcy Irlandyi, których domy lub role są oszacowane na 25 f. szt. w urzędzie podatkowym. Dalej: członkowie tegoż Porządku będą wybierani na lat 10 (t. j. będą niezależni od trwania poszczególnych parlamentów) i muszą posiadać najmniej po 200 f. dochodu rocznego z majątku rzeczywistego, lub z pensyi. „Porządek niższy“ składać się będzie z 204 członków, t. j. ze 103-ch posłów dzisiejszych (z których 86-ciu jest narodowych) i ze 101 posłów, wybieralnych według praw wyborczych istniejących.

Wracając na chwilę do owego *vet o*, wskażemy jak w praktyce postępować ma maszynerya parlamentarna w Dublinie.

Przypuśćmy, że z łona większości narodowej wyjdzie wniosek prawa niemiły mniejszości; obrady postąpią oczywiście do drugiego, może i do trzeciego czytania; natenczas mniejszość, korzystając z przywileju swego zażąda, by głosowanie odbyło się osobno w każdym Porządku. Porządek wyższy odda swe głosy oczywiście przeciwko wnioskowi... wniosek musi być cofniętym na trzy lata, lub izba musi być rozwiązana. Otóż zważając, iż gabinet będzie wyrazem narodowej większości, że więc pierwszym ministrem będzie np. p. Parnell—cóż ładniejszego, jak poradzić wice-królowi rozwiązanie i po nowych wyborach, ponowić w izbie wniosek? Na tym punkcie *claudicat*, zdaje się, ochronna przezorność p. Gladstone'a.

Irlandzki parlament narodowy będzie miał swobodną i od Westminsteru niezależną jurysdykcyą nad wszystkimi sprawami kraju, z wyjątkiem z ziem, której ustawodawstwo, wychodząc z drugiego biu Gladstone'a, pozostanie i nadal przy parlamencie cesarskim; i z wyjątkiem podatków celnych i akcyzowych (*Customs and Excise*), których pobór przez W. Brytanią ma świadczyć o trwającej między obydwojma krajami unii. Ciało dublińskie nie ma za to posiadać żadnej kompetencyi w sprawach, dotyczących prerogatyw korony, następstwa tronu, apanażów; nie ma zabierać głosu w sprawach, obchodzących siły lądowe i morskie cesarstwa, w kwestyach kolonialnych, przemysłowych, mennicznych i dyplomatycznych.

W ten sposób ograniczone atrybucye parlamentu muszą ewentualnie stawić równie Irlandyą jak W. Brytanią na stopie nietylko wzajemnej nieufności, lecz, przyjmąwszy zasadę Gladstone'a o „prawie w obcej szacie,“ nawet wzajemnej nienawiści. Autonomia w takiej formie nie jest zgodną z duchem i literą konstytucyi brytańskiej, występuje przeciwko kardynalnej zasadzie *Magna Chartae* angielskiej, stanowiącej „o nierozłączności reprezentacyi od podatkovania“ (*taxation is inseparable from representation*). Wykażemy to nieco szczegółowo, z finansową statystyką Irlandyi w ręku.

Przychody Irlandyi (wnoszone dzisiaj do skarbu W. Brytanii) przedstawiają się, jak następuje:

Z podatków celnych	£. 1,880,000
Z akcyzy	„ 4,300,000
Z podatków stemplowych	„ 600,000
„ dochodowych	„ 550,000
Z dochodów nieopodatkowanych (włą- czając poczty i telegrafy)	„ 1,020,000
Razem	£. 8,350,000

Przeciwko téj sumie przychodów postawmy proponowany przez p. Gladstone'a budżet rozchodów. Dzielimy go na dwie klasy: cesarską

i irlandzką, według rozkładu sum, na takie, które Irlandya ma spłacać nadal W. Brytanii i na takie, które użyje na swe własne potrzeby:

I. Cesarska	{	a) kontrybucya (w stosunku $\frac{1}{15}$ do W. Brytanii) do spłaty długu narodowego . . .	£. 1,486,000
		b) kontrybucya ($\frac{3}{4}\%$) do funduszu amortyzacyjnego (Sinking Fund)	„ 360,000
		c) opłata administracji brytańsko irlandzkiej.	„ 100,000
		d) „ na utrzymanie sił zbrojnych Anglii (z wyjątkiem ochotników)	„ 1,666,000
Razem			£. 3,612,000
II. Irlandzka	{	a) na utrzymanie sił policyjnych	£. 1,000,000
		b) na opłatę administracji rządowej (Civil Service)	„ 2,500,000
		c) na koszta poborów celnych i podatkowych	„ 834,000
Razem			£. 4,334,000

Zatem ogólny rozchód roczny = £. 7,946,000

Odciągnąwszy tę sumę od sumy dochodów, pozostanie w skarbie narodowym irlandzkim corocznie nadwyżka wysokości 404,000 f. szt.

Otóż, co nasamprzód zwraca uwagę naszą, to owa wielka nieregularność budżetu, obliczającego z góry dochód Irlandyi jako pewny, według tabeli ostatniego roku; i obciążającego irlandzką administracją równie stanowczym, statutowym, niezmiennym ciężarem kontrybucyi t. zw. „cesarskich!“ Dwa lata ostatnie dały Irlandyi dobre urodzaje; nie wiadomo, czy wyspa jest daleką od peryodycznej kłęski kartofflanej. Powtóre, konkurencya targów amerykańskich zniża ceny zbożowe w Irlandyi (tak samo, jak w Angli) każdego roku; znakomici statyści obliczają pod tym względem roczną stratę Irlandyi do minimum 23,000 f. szt. przeciętnie, co czyni 230,000 w latach 10-ciu. Do tych dwóch względów wypada nam jeszcze dodać trzeci — i to najważniejszy. Produkcyjna siła w Irlandyi ześrodkowała się najprzeważnie w protestanckiej i oranżystowskiej prowincyi północnej. Ludność Ulsteru, protegowana wyjątkowo w pierwszych 250 latach po „plantacyi“, a złożona z oszczędnych szkotów, walijszyków i anglików, dźrzyży poniekąd i dziś wyłącznie monopol rękodzielnictwa irlandzkiego, które krajowcom było nasamprzód surowo wzbronione, dalej utrudniane, ostatecznie w stanie ich podupałym uniemożliwione. Irlandzkie jedwabie, płótna i sukna wyrabiają się w Ulsterze; Belfast, współzawodniczące rozległością i pięknością z stolicą kraju, Dublinem, jest nierównie zamożniejszym miastem i, jako port handlowy, niezmiernie więcej znaczącym. Nakoniec, ulsterskie miasta wybrzeżne stanowią łańcuch najlepszych w zachodniej Europie warsztatów okrętowych. Ta siła produkcyjna

najwyraźniej się uwydatnia w proporecyi finansowej: Ulster płaci dzisiaj do skarbu państwa $\frac{2}{3}$ całego dochodu krajowego! Niewątpliwie też ta finansial capacity Ulsteru oddziaływa potężnie na ogólne stosunki finansowe wszystkich czterech prowincyi. Otóż, pomijając zupełnie pogrózki „wojny domowej między północą i południem,“ w razie ustanowienia osobnego parlamentu w Dublinie, to jedno nie ulega najmniejszej wątpliwości, że za przykładem kilku wielkich przemysłowców ulsterskich, którzy w tej chwili (koniec kwietnia) robią przygotowania do przeniesienia swych zakładów do Anglii, pójdzie więcej. Wiedzą oni bowiem najlepiej, że irlandczyk, byle tylko miał „szansę,“ wzorowym jest przemysłowcem; a juźci parlament z ogromną większością narodową źleby spełniał swe obowiązki, gdyby ziomkom nie zwrócił korzyści dawnych i nie otworzył im nowych!

Tym sposobem wytworzy się w Irlandyi sui generis zbawienne przesilenie, mogące potrwać lat 10, 20, które niży niepomalu sumę dochodów i wystawi na wielkie niebezpieczeństwo nadwyżkę słabą 404,000 funtów. Lecz mniejszaby o tę... ciasnotę choćby 20-to letnią! Rachować się przyjdzie nadto z retaliacją ex-ulterczyków w Anglii i w Szkocyi! O odwet będzie im bardzo łatwo: mogą srogo zaszkodzić, jeśli nie zniszczyć irlandzki przemysł wódczany. Wprawdzie słynna irlandzka whiskey produkuje się najwięcej w południowej prowincyi Cork; lecz istnieją szeroko znane firmy dystylatorów w Belfast, w Londonderry i w hrabstwie Antrim. Te, gdyby przemysł swój przeniosły do Szkocyi (gdzie się znajdują korzystne dla wyrobu whiskey warunki), odwróciłyby z pewnością olbrzymi popyt od hrabstwa Cork. Więcej zastraszającą może stać się kwestya porteru, wyrabianego dzisiaj przez jedyną w całym świecie firmę dublińskich oranżystów, braci Guinness; lecz podobno sekret produkcji tego piwa (tak kolosalnie fałszowanego w Niemczech i... w Anglii), leży w nurtach dublińskiej rzeczki Liffey i żadna inna woda jój nie zastąpi. Bądź co bądź, z faktów przytoczonych, którymby można dodać sto innych, czytelnik łatwo wyrozumie niepewność budżetu, obciążonego statutowemi kontrybucyami do skarbu koniec końców obcego.

Pozostaje do wykazania strona niekonstytucyjna bilu, wydalającego posłów irlandzkich z parlamentu cesarstwa, a żądającego od Irlandyi spłat ciężarów cesarstwa. Gladstone usiłował dowieść słuszności wypłaty $\frac{1}{13}$ części corocznej angielskiego długu narodowego; mybyśmy powiedzieli, że dług ten wzrastał od czasów Wilhelma III-go o tyle z powodu potrzeb Anglii domowych i zagranicznych, o ile (jeśli nie więcej) z powodu jój nierządu w Irlandyi, zmiennój, lekomyślnój i koercyjnej polityki. Dwie pierwsze pozycye (1,846,000) w budżecie „cesarskim“ tyle mają racyi, ile miałyby jój żądanie, by wierzyciel skwitował dłużnika, przyjmując na siebie tegoż oblię! Przystajemy na trzecią pozycyą: opłaty administracyi brytańsko-irlandzkiej, mającej stanowić pensye wice-króla i pewnych wydziałów

administracji pośredniej. Czwarta za to kontrybucya na utrzymanie wojska i floty cesarstwa, jest zdaniem każdego rozumnego człowieka, skandalicznem naruszeniem konstytucyi i być niem musi tak długo, dopóki Irlandya pozbawioną będzie głosu w parlamencie cesarstwa. Jakżeż bowiem można wymagać grosza Irlandyi na wydatki, które Irlandya może ewentualnie potępiać? Anglia ma trzech możliwych wrogów: Rosyą, Francją i Stany Zjednoczone; lecz zarówno z Francją, jak ze Stanami Zjednoczonymi, łączą irlandczyków silne węzły gorącej sympaty, sympaty wymownie zatwierdzonej krwią i ofiarnością wzajemną! Miałaby więc Irlandya podawać broń przeciwko swym przyjaciółom, a w Stanach przeciwko spółziomkom... bez możliwości protestu w izbie westminsterskiej? Jeżeli Anglia pozostanie w oporze przy tej pozycyi, to wątpić nie można, że wojska jej stracą kwiat najdzielniejszy — kontyngensu irlandzkiego, któremu zawdzięczają swych najstynniejszych wodzów i swe najgłośniejsze zwycięstwa lądowe.

Biorąc, nakoniec, cały ten „budżet cesarski“ pod uwagę, możemy być przekonani, iż partya narodowa nigdy się nań nie zgodzi bez odpowiedniej w Westminsterze reprezentacyi. Jeden z znajomych kolegów Parnell'a tak się pod tym względem wyraził: „Gdyby Anglia odmówiła nam głosu w swój izbie, żądając tych kontrybucyi, ostateczne rozerwanie unii stałoby się natychmiastową koniecznością; bo w nieobecności tu naszej, pracowałyby przeciwko Irlandyi cały interes handlowy i portowy W. Brytanii; skarb jej, zasilany przez nas, szukałby sobie kanałów, któremiby marnie ubiegały wszystkie nasze usiłowania. Anglia, zanurzając się w błędną politykę zagraniczną, szkodziłaby żywotnym naszym interesom; w razie wojny, którejbyśmy nie pochwalali, nasze wybrzeża, porty i ujścia rzek zablokowałaby flota brytańska, lub obca; nakoniec, dzisiaj—iny sami niemal jedni w Westminsterze podnosimy stale głos przeciwko uciskowi swobód narodowych, gdy nas tu nie będzie, samolubstwo lub o ciężłość Anglii stłumi jej lepsze i wspaniałomyślniejsze instynkta.“

Zapiszemy ostatni jeszcze punkt w bilu autonomii, przeciw któremu zaprotestował p. Parnell, ustanowienie w Dublinie t. zw. „poborcy generalnego“, mającego w imieniu Anglii odbierać owe kontrybucye i przysyłać do skarbu cesarskiego. Parnell wyraził energicznie swoją opinią o takiej „statutowej nieufności“ Anglii; a mógł być dodać, że lud irlandzki uważałby w obcym poborcy, uosobienie obcej przewagi, opłacanej dorocznym haraczem!...

Tyle o bilu autonomii. Przechodzimy do bilu agrarnego.

IV.

Jak wzmiankowany co dopiero „poborca generalny“ ma być w projekcie Gladstone'a reprezentantem unii Irlandyi z W. Brytanią,

tak samo reprezentantem jurydyceki brytańskiej nad ziemią, należącą dziś do antynarodowej mniejszości, ma być wysoki urzędnik angielski, lub też komisya, czyli t. zw. State Authority, „powaga, władza stanu.“ Ta władza stanu ma pośredniczyć, w imieniu rządu cesarskiego, między aktualnymi właścicielami gleby i jej ewentualnymi nabywcami; w pewnych nawet razach, władza ta ma sama nabywać ziemię. Ustanowienie jej oznaczać zatem będzie także „statutową nieufność“ Anglii, jej obawę przed zbyt peremptorycznym załatwieniem stosunków ziemiańskich w parlamencie dublińskim.

Bil agrarny pierwszego ministra zawiera artykułów 53; największa ich część określa atoli rutynę procedury między sprzedawcą i władzą z jednej, a władzą i nabywcą z drugiej strony. Zanim przedstawimy czytelnikowi główne artykuły, wypada nam jednakże wykazać z góry, na jakich one spoczywają zasadach. W pierwszym miejscu przypominamy, iż w r. 1879, gdy Liga Rolna zażądała od gabinetu pożyczki sześciu milionów funtów „na wykupienie landlordów i uwłaszczenie ich osadników,“ p. Gladstone (jak mu to temi dniami przypomniano w izbie) wyraził swe „niewzruszone przekonanie, iż na cel taki potrzebaby przynajmniej 300-tu milionów.“ Jakże wytkłomaczyć tak kolosalną różnicę oceny? Nasamprzód Liga nie domagała się wyraźnie zupełnego usunięcia wielkich właścicieli z Irlandyi: owszem, zamierzała zachować w kraju rodziny zamożne, byle tylko pozostawały w kraju, byle tylko grosz irlandzki wydawały w Irlandyi, nie zaś wzbogacały nim obczyznę. Z tego też powodu, Liga zamierzała wykupić od rodziu takich samą glebę orną, a pozostawić im ich pałace, zwierzyńce i parki. Gladstone obliczał wykupienie bezwzględne wszystkiej posiadłości ziemskiej. Autor znakomitego dzieła „Land in Ireland“ p. Giffen, szacuje wartość owych włości i pałaców na najmniej 100 milionów funtów. Pozostaje do usprawiedliwienia różnica 6 do 200-tu milionów, i to zadanie jest o wiele trudniejszym, jeżeli mamy przyjąć obydwie cyfry... w prostocie dobrej wiary. Nie ulega przecie wątpliwości, że, jak Gladstone ocenę swą oparł na ocenie samych landlordów, tak znów Liga naznaczyła sześć milionów według oceny ludowej, a nadto mogła być przeświadczoną o możliwości otrzymania drugiej i trzeciej pożyczki w przyszłości. Dodajmy jeszcze, że w r. 1880-ym, wskutek oficjalnej ankiety i t. zw. „oceny Griffith's Valuation,“ wartość gleby spadła w Irlandyi o $27\frac{1}{2}\%$; że we dwa lata później, komisye ziemiańskie, stworzone skutkiem ówczesnej reformy agrarnej ¹⁾, zniżyły ją ponownie o 13%; że, nakoniec, w obecnych nawet stosunkach, włościactwo skarży się głośno na czynsze wygórowane (rack-rents), a nadewszystko, niejednostajne, nierówne i niestałe. Jakkolwiekbydź, chodzi nam tu o stwierdzenie opinii irlandzkiej i opinii p. Gladstone'a, jakimi były przed sześciu laty.

W jesieni ubiegłego roku, wspominając o „szalcństwie agrarnych

¹⁾ Patrz zeszyt „Biblioteki“ z m. stycznia 1882 r.

mrzonek irlandzkich“ (w Midlothian), oświadczył Gladstone, że „150 milionów funtów—to suma, któraby mogła załatwić kwestyą rolną w Irlandyi, gdyby W. Brytania, w przystępie dziwniej wspaniałomyślności, straciła wszelki zmysł odpowiedzialności;“ a nieco dalej: „Jakie gwarancye otrzyma brytańczyk, płacący podatki, za pożyczkę 150,000,000? Cóż znaczy rewers Ligi Narodowej?“

Gladstone — jak nam już wiadomo — wypracowywał projekta swoje bez zasięgania porady kolegów, lecz i to wiemy z zeznań Chamberleina (9-go kw.), że Gladstone, stanąwszy na czele gabinetu ostatniego stycznia, przedstawił w dniu 15-go marca obydwu bile radzie gabinetowej i że w bilu agrarnym polecił emisją pożyczki na wykupienie gleby irlandzkiej—w wysokości 113,000,000. Cyfra ta przeraziła Chamberlain'a i Trevelyan'a: obydwaj zrezygnowali. Wśród groźnych zjawisk w łonie własnego stronnictwa, Gladstone uznał za stosowne bil swój zmienić, ograniczyć jego prawomocność i wartość... by nie odstręczyć od siebie reszty „wielkiej partyi.“ Rezultatem tych „opaków“ jest bil—niezadowolniający irlandczyków, przerażający „brytańczyka, płacącego podatki“...

Wnosząc projekt ten w izbie (16-go kw.), uzasadnił p. Gladstone jego konieczność w wyrazach tak wymownych, że obecny w swój łoż najstarszy syn księcia Walii, zapomniawszy o swój konstytucyjnej powadze i o obyczajach parlamentu — powstał z miejsca i ze łzami w oczach przyklasnął sędziwemu ministrowi. Na tém miejscu atoli, parę tylko przytoczyny wyjątków z świetnej, wspaniałej przemowy.

Porównyując stan irlandzkiego włościaństwa przed „kolonizacyą“ z jego następnem położeniem, Gladstone tak się o nim wyraził: „Cztery piąte włościaństwa musiały się przekonać, że zmiana panów sprowadziła im okrutną tyranją, tyranją tém straszliwszą, iż wychodzącą od obcych — obcych wyznaniem i krwią. Lud cierpiał pod swymi własnymi naczelnikami, to pewna; — ale cierpiał z rąk swych naturalnych zwierzchników; jestem zaś pewien, że irlandczyk ma bardzo wiele przywiązania do swego naturalnego zwierzchnika. Clansman irlandzki, noszący nazwisko swego „ojca,“ choć przez niego źle często traktowany, mógł przeciw liczyć na jego opiekę i pomoc przeciw innym. Lecz ucisk włościaństwa do końca zeszłego stulecia, nie był uciskiem nawet żyjących jednostek — był to ucisk całego systemu. Osadnik był w kleszczach martwej ręki: prawo bowiem krajowe zmuszało go do poddawania się pod brutalne jarzmo tych, których on nigdy nie widział i którzy o nim żadnej nie mieli idei. Tak i do dni naszych! Bawiący po za krajem irlandzcy właściciele nie mają z ludem ani wspólnych interesów, ani sympatyi rasowej; nie boją się wyzywać gniewu włościaństwa — bo żyją w bezpiecznym oddaleniu; dobra swe w Irlandyi uważają jedynie jako źródło swych dochodów. Jedynym ich pragnieniem jest — wydobyć jak najwięcej z ludu, jak najwięcej z roli, a o ciała i dusze tych, za których są przeciw odpowiedzialni,

nie troszczą się nawet tyle, co właściciele zachodnio-indyjskich plantacji o czarnych niewolników!“

Taki stan rzeczy spłodził pierwsze „zbrodnie agrarne;“ rząd więc, zawsze jednostronny, zawsze biorący w opiekę interes kolonialny, „interes cesarstwa,“ rozpoczął „haniebne dzieje koercyi“... Z jakim skutkiem w łonie włościaństwa, pozbawionego prawnie wszelkiej nauki, religii i cywilizacji na gruncie narodowym?... „Panie, — mówił Gladstone — w różnych przejściach życia społecznego, są niestety liczne małżeństwa niepłodne i liczne wymierają rodziny; ale jedno jest małżeństwo, które nie jest nigdy bezpotomnem: gdy ucisk z jednej strony, wiąże się w małżeństwo z nędzą z drugiej strony — natenczas z związku takiego powstaje fatalny i ohydny ród — zbrodni! a zbrodnia ta obdarzona jest żywotnością straszliwą, uwieczniającą się i przekazującą z pokolenia na pokolenie dziedzictwo okropne, brzemiennie mściwą nienawiścią!“... „A teraz, panie, jakież ma obowiązek W. Brytania? Streszczam go jedném słowem — my rąk naszych od odpowiedzialności obmyć nie możemy! Jesteśmy *participes criminis*, bośmy z władzą w ręku przypatrywali się i nie tylko przypatrywali się ochocie landlordów, aleśmy ich wspierali i zachęcali!“

Chcielibyśmy przytoczyć w całości to *exordium* pierwszego ministra korony, stanowiące uroczyste *indictment* — oskarżenie i potępienie tej „kolonialnej“ ludności w Irlandyi, która po dziś dzień, po chwilę obecną zowie się „ludnością, lojalną wiernopoddańczą“ — w imię lojalności obryzgując sztandar ucywilizowanej Anglii błotem dwojakięj chuci: okrucieństwa i chciwości. Nie lud Anglii odpowiada za wieki męczeństwa Irlandyi, za dzisiejsze jej położenie moralne i materyalne — lecz rządy Anglii dawne, gdy faworytyzm wspierał się na pomocy awanturników, nagradzanych glebą irlandzką... i rządy Anglii współczesne, poniewierające stanem Irlandyi w zamiarach, manewrach i widokach stronniczych.

Ale gdy tak znakomitemu, jak Gladstone, krasomówcy nie trudno było zalewać izbę potokami ognistęj wymowy, dopóki tematem była mu przeszłość — przez nikogo niezaprzeczona... zapał jego znikł zupełnie, kiedy przystąpił do wyjaśnienia swego bilu, mającego przynieść Irlandyi wyzwolenie, a Anglii spokój wynikający z zadośćuczynienia. I nie dziw! Dopóki minister zechce pogodzić interes włościaństwa z interesem landlordyzmu — z jednej strony; i dopóki starać się będzie o zadowolenie Irlandyi bez najmniejszego uszczerbku interesów brytańskich — dopóty też sam musi być przeświadczony o brachości swych szematów i dla tego ma tylko pół serca — jak się tu mówi — w swém przedsięwzięciu. A to tém więcej, — gdy w opozycji namiętnęj najzacietymi są długoletni jego towarzysze, zarazem koryfeusze idei radykalno-liberalnej w ciele prawodawczém.

Bil agrarny ocenia wartość gleby ornęj w Irlandyi na... 50,000,000 funtów. Jakże wytkomaczyć tę, czwartą z rzędu, zniżkę? Gladstone nie dał wyjaśnienia — znajdujemy je przecież w artykułach bilu: nie

jest to bowiem projekt przymusowego wywłaszczenia, lecz dowolnej wyprzedaży; a dalej, wyjęte są z pod akcyi tego bilu wszelkie parki, pałace, zwierzyńce, grunta sportowe i grunta przez właściciela obrane na jakiegobądź cele! Pięćdziesiąt milionów wydaje się sumą stosunkowo nieznaczną, gdy wspomnimy, że tylko trzy tygodnie przed wniesieniem bilu w izbie, Gladstone naznaczył w radzie gabinetowej sumę 113 milionów! A jednak p. Parnell sumę tę uważa za ogromnie wygórowaną, gdy p. Chamberlain i cała niemal izba uważają ją za bezproporcjonalnie niską, dla tego nie dającą żadnej gwarancyi, iżby po upływie lat kilkunastu nie przyszło do koniecznej pożyczki 63-ch lub może i 100 milionów! Oto bowiem, w jaki sposób ma się odbywać dowolna wyprzedaż. Streszczam artykuły:

Art. II. Po dniu naznaczonym i aż do 31-go marca 1890 (tylko!) każdy bezpośredni właściciel ziemski może uczynić podanie do „State Authority,” ofiarując na sprzedaż swą ziemię rolną za cenę statutową; władza zaciągnie to podanie do rejestru i rozbiierać je będzie kolejną pierwszeństwa.

Art. III. Skoro tylko sprzedaż zostanie dokonaną, wszyscy osadnicy na kluczu sprzedanym staną się (z pewnemi ograniczeniami czasu i warunków) właścicielami absolutnymi, *in fee simple*, swych odnośnych osad; gdzie zaś osadnicy nie staną się właścicielami, tam władza stanu będzie właścicielką i rozporządzi ziemią według woli.

Art. 17. Statutową cenę ziemi stanowić ma miara czynszu *netto*, w sposób następujący: 1) czynsz *netto* równa się ogólnej sumie dochodów z klucza po strąceniu pewnych ciężarów, jak: podatku kościelnego (*tithe rent-charge*), płaconego do komisji ziemiańskiej i zwyczajnych sum przeciętnych na stracone długi (*bad debts*), podatki lokalne, reparacye i t. p. 2) Za „ogólną sumę dochodów“ uważać należy sumę, stwierdzoną oficjalnie przez cyfrę przeciętną w ostatnich latach dziesięciu aż do 25-go marca 1885 r.

Art. V. Wysokość statutowej ceny sprzedaży równać się będzie sumie 20-to letnich czynszów *netto*; otrzyma ją zaś sprzedający właściciel z osobno na ten cel kreowanego funduszu 3^o/_o-ego—the *Three per Cent. Perpetual Annuities Fund*.

Art. VI. Jeżeli właściciel, uczyniwszy podanie, nie przyjmie zdecydowanej następnie ceny statutowej, wolno mu będzie cofnąć swe podanie, pod warunkiem opłacenia kosztów i t. d.

Z licznych sub-paragrafów tego i następnych 12-tu artykułów wyjmujemy postanowienia najważniejsze: Gdzie właściciel zechce sprzedać swe ziemię, lecz dzierżawcy i osadnicy jego nie będą mogli nabyć ich za pomocą czynszu 20-letniego z powodu ubóstwa lub innych przyczyn, tam władza stanu albo się umówi z właścicielem o cenę niższą, przystępną dla dzierżawców, albo sama nabędzie ziemię i z jakiegobądź (opisanych w bilu) remanentów skarbu irlandzkiego uzupełni roczne czynsze dzierżawców; w tym jednak razie, nie osadnicy lecz władza stanu dzierżyć będzie ziemię tytuło własności przez dany (20—25-io

letni) przeciąg czasu. W jednym tylko przypadku może właściciel być zmuszony do sprzedania ziemi, mianowicie w okolicach przeludnionych; i z w tym razie władza stanu będzie dzierżycielką, lecz cena sprzedaży naznaczona przez właściciela, musi być przyjętą bezwarunkowo. (Podobnie ma się rzecz z właścicielami domów w londyńskiej City i z ich transakcjami z kompaniami kolejowymi, lub budowniczymi). Przyjmując liczbę lat 20-tu za normalną granicę zależności włościństwa od władzy stanu, przekonujemy się, że wpłacając do skarbu roczny czynsz, od dotychczasowego (mniej więcej $7\frac{3}{4}\%$), uprawiacze roli będą potem absolutnymi i wieczystymi właścicielami.

Artukuły 13—27 określają warunki, w jakich dzierżawcy długoterminowi (long lease-holders) mogą zmodyfikować swe kontrakty tak, aby należeli do ogólnej kategorii 20-to letnich dzierżycieli *cum jure possessionis*.

Nakoniec pośrednicząca władza stanu wpłacać ma roczne czynsze (a raczej roczne spłaty) do urzędu „poborcy generalnego,“ który znów sumy te prześle z sumami „ciężarów cesarskich“ Irlandyi do skarbu cesarskiego. Gdyby po spłaceniu rocznej raty pożyczkowej i po spłaceniu ciężarów podatkowych, pozostała w kasie poborcy nadwyżka, to należec ona będzie bezwarunkowo do skarbu narodowego, który jęj użyje według woli i upodobania parlamentu narodowego.

Słówko jeszcze o potrzebnej, według bilu pożyczce. Gladstone proponuje trzy emisje skarbowe: pierwszą, wysokości 20,000,000 funtów w brytańskim budżecie 1886/87; drugą i trzecią w dwóch budżetach następnych, każdą z wysokości albo 15-tu milionów, lub też 20-u i 10-iu milionów. Z dniem 31-go marca 1890 r. ma upłynąć, jak wiemy, termin „przeniesienia“ (!) własności ziemskiej w Irlandyi. Powstaje zatem ważne pytanie: Czy w przeciągu lat trzech i pół, władza stanu i komisye ziemiańskie w Irlandyi potrafią uporać się z wszystkimi kwestyami? Nam się to wydaje czystém niepodobieństwém, bo nikt nie wątpi, że olbrzymia większość dzisiejszych landlordów zechce czempredzć korzystać z aktu, dającego im dochody zapewnione w miejsce spazmatycznych i nieznaczących dopływów pieniężnych w chwili obecnej. Ta jedna kwestya, choćbyśmy pominięli zupełnie niepodobieństwo załatwienia stosunków włościńskich za pomocą sumy tylko 50-iu milionów, daje nam jasno do zrozumienia, że p. Gladstone dobrze jest przekonany o bezproporcjonalności środków do zamierzonego celu, że więc pragnie tylko poruszyć raz chaotyczną masę trudności irlandzkich, poruszyć w kierunku właściwym i jedynie słusznym, pokładając największe nadzieje w rozwoju przyszłości; rozwoju idei decentralizacyjnej w Anglii i idei narodowej odpowiedzialności w Irlandyi.

W tém miejscu kończymy dzisiaj uwagi nad nową konstytucją Irlandyi; powrócimy do nięj skoro tylko wyjdzie z zamętu walki,

zawiści, wzajemnych nieufności i stronniczego współzawodnictwa wyjdzie miara sprawiedliwości zupełna. To jużci przecie pewna, iż oprzeć się ona musi na podwalinach, założonych w projekcie kwietniowym. Jedno ministerstwo po drugim zmuszone odtąd będzie zajmować się Irlandyą, już nie w celach koercyi, lecz w celu jedynym: ostatecznego załatwienia kwestyi krzywdy siedmio-wiekowej na zasadach, które odpowiedzialny minister cesarstwa złożył przed Anglią i światem, w części z konieczności faktycznej, w części z przeświadczenia o obowiązkach i odpowiedzialności moralnej względem cywilizacyi chrześcijańskiej.

Londyn, 4-go maja.

WARTOŚĆ PEDAGOGICZNA MUZYKI.

NAPISAŁ

Bolesław Wilczyński.

Piękno muzyki, poczęte przez polifoników w wieku X-ym, wzrastało stopniowo, przechodząc kolej od dyscypliny surowej i ćwiczeń ścisłych, aż do mistrzowania w imię powagi indywidualnej i prawidłowości najmnieżej ograniczonej. Okres ów, zakończony niekorzystnym dla sztuki obłędem romantyków, znaczy w dziejach przewagę wiedzy nad samowolą, a zatem rozwój i ustalenie się zasad, bez których pięknozawstwo istnieć ani społeczność estetycznie używać nie może. Patrzmy: na Zachodzie mnożą się szkoły coraz znamienitsze, powstają pracownie osobnicze, to wspólne, a geniusz twórczy jaśnieje blaskiem coraz wspanialszym wśród mieszkańców Italii, Francji, Holandyi i Niemiec. Nie dziw iż cenić umieją skarb, zdobyty nie bez mozola uczestnictwem własnym. Otóż do Polski ruch ów nie sięgał. Ztąd poszło, iż gdy romantyzm obudził w nas chęć zajmowania się sztuką, ta odwróciła się do nas tyłem, niby do nieuków, którym ochota przyszła poetyzować bez przygotowania, opartego na doświadczeniach psychicznych, na tradycji. Pragniemy słysząc. Czyliż jednak stać na to społeczność zleniwiałą, która przywykła omijać szkołę i rządzić się przywilejami indywidualizmu skrajnego? Niech nas pozory nie mylą. Dość zwrócić uwagę na biedny stan muzyki w wychowaniu domowym i w zakładach, dość poznać na ziemi polskiej tę wieszczkę uroczą, pieszczoną bezmyślnie, częstokroć chłostaną i kaleczoną, by złudzenia lubowników ustały na korzyść prawdy. Uczucie piękna, chociażby było dziedzicznym, należy rozwijać nie za pomocą uprawy powierzchownej, lecz systematycznie, poczynając od najprostszych pierwiastków świadomości. Tak postępują Niemcy. My urzą-

dzamy arystokratycznie wystąpienia popisowe, żądając, iżby je popierała publiczność niewtajemniczona, niezasobna, lekceważąca nauczanie zasadnicze. W Polsce nie ma kąta, gdzieby struny fortepianu nie drgały pod palcami grajków płci obojęd. Konserwatorium wysęta też corocznie poczet wyzwolenców, poszukujących zarobku w nauczycielstwie. Ruch niby artystyczny szerzy się i wzmacnia, a duma podszeptająca nam mogła myśl, iż opiekunowie, zmuszający młodzież do uprawiania sztuki, nawet pomimo braku uzdolnień, powodowani są celowością doniosłą, że troszczą się o zdobycze na przyszłość i przygotowują dźwignie dla geniuszów oryginalnych. Wieleż znaleźlibyśmy matek dość świątłych, by zdołały dowieść, iż próżność naganna nie jest ostoją ich postulatów pedagogicznych? Anglicy, szwedzi, szwajcarowie, lubo w tradycyi szkolnej nie zbyt mocniejsi od nas, oddalając marzenia o oryginalności twórczej, usiłują poznać wartość muzyki w systemie pedagogicznym, ocenić jej wpływy na wykształcenie i pojąć umiejętność wszechstronnie. Gdzie młodzież zna doskonale teorię piękną, tam uczestnika nawoływać nie trzeba do wysłuchania oratorium Haendla lub Bacha. A jakaż to korzyść moralna, jak promienna czystość zadowolnień wynika ztąd, że człowiek może przez chwilę znajdować się na wyżynach ideału, odczuć więcej i pomyśleć głębiej. Właśnie tę korzyść mając na uwadze, chcę mówić o stosunku muzyki do władz psychicznych i o jej wpływach dodatnich. Przedstawię potem szkodę, jaką nam przynosi uprawa sztuki wadliwa, oraz warunki dobrej.

I.

Muzyka — to mistrzowanie wyraziste, czynne, oddziaływające w sposób wręcz oryginalny na ustrój osoby. Technikę sztuki tej znamionują dwie dźwignie zasadnicze: 1) istota dźwięku i 2) rytmika. Co do pierwszej, wiemy, iż przedstawia skalę różnic, ustopniowanych za pomocą doświadczeń apriorycznych, w czém nauka odkryła ścisłość liczb znamiennej. Wysokość dźwięku zależy od sumy drgań, zaś pełnia i gatunek — od doboru akustycznego, to jest od względnej zgodności częstotliwości wyższych, jakie wchodzi w skład całości muzycznej. Słuchacz, lubo drgań policzyć ani porządku w doborze ocenić nie zdoła, przejmując jednak różnice same, jako dynamikę ruchów utajonych, przenikających się nerwów uczucia. On objaw nazwie wrażeniem przyjemnym, a unikając badania, zażąda następstwa objawów, by mógł je porównać i mieć więzankę wrażeń tém przyjemniejszą. Gdybyśmy chcieli symbole muzyczne odrywać od źródła i zamieniać na określniki, liryzm straciłby moc wyrażania żywostanów naszych. Nie znając dźwigni zewnętrznej, odczuwamy jej wpływ uwrażliwieniem organów najdelikatniejszych, gdzie promień światła zwiastuje tęczę, gdzie dźwięk pojedynczy wróży o akordzie. Właśnie ów ład zjawiska, porządkując prądy nerwowe, zapładnia uczucie radości pię-

kno-twórczej, które rozwinąć usiłujemy za pomocą jawniejszych związków lirycznych. Nie dość na tém. Krom prawidłowych tworzymy związki nieregularne, usprawiedliwione istnieniem rozdźwięków w naturze, oraz dwulicowością stanów psychicznych. Radość i smutek—oto odmiany główne skali uczuciowej, której bogactwo liryzm wyrazi za pomocą zestawień mnogich, wciąż innych aż do indywidualizmu najskrajniejszego, o ile dźwięki nabrzmiewają rozmaicie przez ugrupowanie i znaczą kojarznie osobliwym doborem stopni. Uczuciem porządku nazwać przystoi to uczucie wielkie, nieporównane, jakim nas darzy prawidłowy ruch harmonii. Dla tego śpiew, oparty na podstawach wielodźwięczności, pozyskuje logiczną pełnię myśli.

Lecz grupy nie dątyby poznać wątku, gdyby kto chciał uwydatniać je luźnie, zamiast wiązać figurycznie. Odrzuć rytmy w a d a g i o Mozarta—zamienisz postać na cień. Piękno muzyki polega całkiem na wymiarach dokładnych, na owych wartościach iloczynowych, to głównych, to podrzędnych, które masie dźwięków nadają kształty, nie dopuszczając zamętu ani na chwilę. Rytmika — to dźwignia najcenniejsza, ostoja złożoności i powaga rządów w sztuce, uznanej słusznie za najwyrazitszą ze wszystkich. Lubo pieśniarz dąży do uniezależnienia głosu i potęgę śpiewu usiłuje oprzeć na wartościach dynamicznych, niemniej wszakże w samém odstępstwie zachowa miarę, skoro jest mistrzem wymowy. Rytmika oddziaływa na nerwy ruchu i podnosi temperaturę mięśni, stwarzając w ustroju osoby stan czynny, grupowany rozmaicie wedle pobudek muzyki. Kompozytor umie rozszerzyć pierś uczestnika i zniewolić serce jego do uderzeń żywszych; umie podrażnić błonę głosową i spotęgować działalność nerwów sympatycznych; umie wywołać rumieniec i łzę, uśmiech lub wyraz smutku. On usposobi cię nieraz pantomimicznie, budząc ochotę do postaciowania i nadając objawom woli kierunek obyczajowy. Muzyk, baczny na ekonomię wzruszeń estetycznych, o ile jest znawcą natury ludzkiej, opanowyywa słuchaczy zręczną grą rytmów, dając odpocząć po wysiłku i użyć spokojniej po każdym wezbraniu. Czyliżby miał godzić na wytrzymałość tych, którzy pragną w uczestnictwie znaleźć naprawę nierównowagi, zwaną zadowolenieniem? Nie dziw, iż mu ulegną, skoro dotknięci mocami sztuki w sposób wytworny, uczują w sobie chociaż przez chwilę większą dzielność i gotowość do życia.

Dwie dźwignie—dźwięk i rytm—zachowywać zwykły względem siebie stosunek odwrotny, podobnie jak nerwy czucia i ruchu. Człowiek nie zdołałby wykonać wielu poruszeń odśrodkowych, gdyby do tego sposobionym lub wręcz pobudzonym nie był przez wpływy dośrodkowe. Że tak jest — niech świadczy choreografia. Wszak tańczyć moglibyśmy przy jakiegokolwiek muzyce rytmów. Dla czegoż pożądamy wymownej? Bo bez poezyi dźwięków nie ma poezyi balu. Dynamika melodyi tanecznej rozgrzewa doborem stopni, rodząc we wnętrzu biesiadnika wezbranie czynników, a zatem niezbędną w poruszeniach lekkość. Kto wie jak trudnym jest ruch wysiłkowy, zwłaszcza

rytmiczny i złożony, przyzna, iż tańczyć pięknie można jedynie pod wpływem uniesień radosnych i uroków w salonie, gdzie dobra orkiestra niezaprzeczenie główną stanowi podniętę. Nierównie znamiennej stosunek ów przedstawia się w operze. Tu śpiewak przemawia do uczuć i usiłuje uniezależnić liryzm, by mógł tém dokładniej wyrazić moc związków psychicznych. Ztąd figurowanie orkiestry, której zadaniem opis, charakterystyka zewnętrzna i wiązadła akcji. Pamiętać należy, iż dwoistość dźwigni jest również podstawą nowoczesnej muzyki instrumentalnej.

Jakże sformułować należy pojęcie o oddziaływaniu sztuki muzycznej? Pomimo różnic, jakie istnieją między liryzmem i harmonią dźwięków z jednej a rytmiką z drugiej strony, muzyka oddziałuje przeważnie na stronę psychofizyczną, odnosząc się wprost do owych źródeł we wnętrzu osoby, gdzie ogromna treść życia spoczywa w stanie sił nieznanych lub na wpół uświadomionych. Owa bezpośredniość stosunku nadaje powagę wyłączną mistrzowi, umocowanemu do rozkazywania w państwie bezgraniczném, niby w podziemiach, dokąd światło umiejętności innej nie przenika w sposób podobny. Żadna bowiem obejmę się nie może bez pośrednictwa władzy, która ze zjawisk stwarza całokształty i rządzi w dzielnicy form stałych, umiejscowionych. Tu ruch już drugostopniowy, a czynnikami—postacie uprzedmiotowane lub znaki martwe. By całą duszą odczuć kompozycją malarza, musisz rozłożyć psychicznie przedstawienie unieruchomione; by odżyć myślą poety, winienes znaleźć jęj dźwięki i barwy, przejąc znaczenie jęj układu kryształowego. Otóż sztuka muzyczna, jakkolwiek usiłuje zająć stanowiska najwyższe w umysłowości, jest wszakże najpierw potęgą bezpośrednią, skierowaną wprost do żywostanów naszych. Ona naprawia wpływy natury, zkąd właśnie pochodzi jęj urok, jęj moc tajemnicza. We wnętrzu człowieka jest toń niezgłębiona. Tam prawem rozwoju mnożą się zarodki bezkształtne; tam macierz powszechna składa nasiona nierozgatunkowane; tam czas porusza wciąż fale i sprowadza nieraz burze straszliwe. Kto wgląda w tę otchłań, gdzie leżą się namiętności nasze? Nie jeden osobnik, wykształcony jednostronnie, zawdzięcza im wiele natchnień dobrych i złych, lecz nie wie częstokroć jak mu usłużą za chwilę, bo ich nie zna wcale. On przyczynę niewoli nosi w sobie, lecz jęj szuka gdzieindziej. Nie dziw, iż ponosi skutki rozejmu pomiędzy dwiema dzielnicami osobowości, skoro społeczeństwo zdobywać się zwykła na wysiłek w kierunku wiedzy oderwanęj, zaniedbując uprawę stanów żywotnych. Czynimy odskok tak wielki już od pierwszych ćwiczeń w szkole, że nie pozostaje nam jak tylko nauczyć się ukrywania żądź własnych. Muzyka, pojęta jako czynnik przeciwdziałający, stanowi w systemie wychowawczym pomoc skuteczną. Mówię o muzyce dobrej i o jęj zastosowaniu rozzumném. Uprawiona bez wyboru, lekkomyślnie a jednostronnie, osłabi umysł i korzyści moralnych nie przysporzy.

Muzyka waży wiele w sprawie kształcenia ruchów towarzyskich,

o ile wpływa na piękny układ ciała. Wszak w obcowaniu, zanim kto poznać zdoła powagę osoby, wymaga od niej form ujmujących. One uchylają kolce miłości własnej i gładzą rażącą szorstkość sił fizycznych. Ztąd znamienne tytuły graczy u ludów romańskich; ztąd wartość obyczajowa pozorów, jako umówionej pomiędzy ludźmi harmonii, o ile ruchy wytworne nie przekraczają granic właściwych, nie prowadzą do zbytku, nie godzą na demokratyczną dzielność ducha. W dziejach muzyki był okres dworactwa. Wówczas mistrze upudrowani, przejęci urokiem form towarzyskich, uważni na symetrię ukłonów, uśmiechów i figur tanecznych, jeli uposażać sztukę przepychem rytmów, znajdując tu klasyczną dla muzyki instrumentalnej ostoję. Salon był pierwszą szkołą symfoników, a graczy dziś jeszcze w stylach muzyki francuzkiej wiele cenionym jest przymiotem.

Nierównie mniej zrozumiałym zdaje się być stosunek muzyki do objawów woli. Lubo determinizm wskazał granice tej władzy, czyliż przestaliśmy wszyscy pojmować ją jako bezwzględnie wolną, zależną jedynie od wpływów transcendentalnych? Pomijając upór zacofanych, sprostować należy błędne mniemanie tych, którzy utrzymują, iż bezpośrednią przyczyną czynów moralnych jest myślenie podmiotowe. Według ich teorii, dość zważyć rozumem pewną liczbę wniosków, wybrać i powziąć postanowienie. Tu nie ma mowy o dźwigniach przyrodzonych. A jednak wybór i postanowienie mogą pozostać w stanie rozwagi biernej, skoro kto rozkazywać nie umie. Dla tego ludzie światli lecz słabi, biadają nieraz na sprzeczność pomiędzy wskazówkami rozumu a niemocą ustroju. Otóż wola, w znaczeniu moralnym, nie może być czem innem jeno władzą psychofizyczną, zdolną powstrzymać żądze w ich kierunku szkodliwym. Tamowaniem porywów nazwaćby ją można. Wzdłuż kręgosłupa idą od mózgu rozkazy stanowcze, paraliżujące w mięśniach pożądlivość rozigraną. Jednocześnie znika wyobraźniowe przedstawienie jój przedmiotu. Walkę takową powtarzać wypadnie wielokrotnie, postępując od żądz najniższych, zanim namiętność da się opanować, użyć szlachetniej i pokierować różnostronniej. Przecież wystąpić musi, skoro jój praw nie zdeptały przesady ascetyzmu szkolnego; przecież obecność woli zależy od zachceń, których forma zmieniana być powinna, lecz nigdy waga. W czem będę się powstrzymywał, jeśli nie mam upragnień żadnych? Wolę kształcić należy nie ascetycznie, lecz za pomocą utrzymywania stosunku jój do namiętności. Mógłżeby geniusz wykonać dzieło pomnikowe, gdyby nie żywił ognia w swém łonie? Badając znaczenie wielkości, jako tytułu mistrzów cenionych najwyżej, znajdziemy, iż w ich tworzywie mniej waży zdolność niż moralna potęga woli. Schylamy głowy przed majestatem takich mocarzy, jak Schakespeare, Goethe i Mickiewicz, jak Haendel, Bach i Mozart, bo podziwiamy w nich nie tyle uposażenie wszechstronne, jak samodzielność niezwykłą. Ich wiedza buduje, lecz ich autonomia obudza wiarę. Walkę tytaniczną wiódł Beethoven, usiłujący pozyskać dla sztuki olbrzymie bogactwa żywo-

stanu swego. To téż rad był niezmiernie, ilekroć słuchacz uwielbił w nim moc artysty, zanim okazał współczucie dla cierpień poety. Zachowanie stosunku pomiędzy treścią a formą w żadnym mistrzowaniu nie jest tyle trudnem, jak w muzycznym. Tu żywioł powinien być gorącym, jego odpływ bezpośrednim i szczerym, jego prąd obfitym i pełnym, co właśnie muzyce najcenniejszy nadaje przymiot sztuki wyrazistój. Już sama istota dźwięku wprawia kompozytora w stan gorączkowy. Doznaje on wezbrania ruchu i słyszy grę pierwiastków w otchłani, gdzie mnogie powstają kojarzenie, niby porody luźne, do których przywiązuje się siłą miłości własnej. Nie dziw, iż go przerazi robota mętna, gdy ochłonie i oceni jój wartość trzeźwiej. Beethoven poczynał wielkie symfonie swoje szaleństwem bez granic, nie używając snu ani pokarmu, wśród wybuchów żalu, rozpaczy, to weselości rozkiełznanój. Jak lew rozdrażniony rzucał się w chwilach porodu ów pełen dobroci człowiek. A jednak burzę opanować umiał i z godnością królewską ujmował berło pięknotwórcy. Któż wiedzieć chce ile trzeba odcierpieć bólów, ile mózgiem wyrobić należy streszczeń, porównań i udokładnień, by z nieładu powstać mogło arcydzieło? To opanowywanie ruchów wewnętrznych przedstawia najwyraźniej muzyk, usiłujący zamienić treść żywostanu na przejrzystą technikę iloczynów i rytmów. Odczuwamy cały napływ tęten wezbranych, doznajemy prawem sympatii tych samych wzruszeń,—ale ułożonych wytwornie, o ile kompozytor nie ostudził natchnienia a uporządkował wątki. Przykład odniesionego podmiotowo zwycięstwa — to przykład wielce nauczający. Więc nie nadużyję prawideł sylogizmu,—utrzymując, iż uprawa muzyki wpływać może korzystnie, bo estetycznie, na ukształcenie samodzielnosci.

Powszechnie przyjętym jest zwyczaj puszukiwania w muzyce wyrazu uczuć. Że uczeń niejawny, zwłaszcza nie psycholog, zwykł wrażenia muzyczne określać ogólnikami—dziwić się nie można. Formy bowiem uczuć,— uważane w dwu dzielnicach przeciwnych, posiadają znamiona subtelne i granice niepewne. Ilekroć w praktyce popełniamy błąd, biorąc jedno za drugie, lub utożsamiając liczne objawy uczuciowości, której władza gubią się w przepaściach indywidualizmu i zależą, w rozwoju swoim, od mnóstwa wpływów zewnętrznych! Psychologii obrazu nie pojmiemy bez określnika, skoro przywykliśmy oświecać umysł jedynie znakami mowy. Lecz mała wskazówka wystarczy nieraz, by dzieło malarza odkryło tajemnice, jakich nie wyda opis. Podobny przywilej służy kompozycji muzycznej. Rzecz można, iż sztukę barw cechuje fizjognomiczność wyrazista, odwrotnie do sztuki dźwięków, której przymiotem wyrazistość fizjognomiczna. Obie nie noszą wykładu ani powag zarozumiałych, usiłujących narzucić im prawa świadomości oderwanej. By wiedzieć jak daleko sięga ich ideologia, trzeba je zgłębiać za pomocą ich dyalektyki własnej. Muzyka, jako bezpośrednia przyczyna wzruszeń, pobudzając silnie czynniki wewnętrzne, spowodowywa pełnię żywostanu. Wśród téj powstawać mo-

gą grupy, niby kryształły osobliwe, dość spójne, by miały wartość formacji psychicznych. One urosną z zarodków, z owych nasion plennych lecz nieuprawionych, które istnieją poza granicami świadomości, oczekując na działanie wpływów potężniejszych. Wieleż z zasiewów etyki dojrzewa we wnętrzu osoby? Jedne uwięzły w pamięci, inne uległy rozkładowi, inne poszły z wiatrem. Pomimo skłonności dobrych, czyliż każdej chwili gotowi jesteśmy do spełnienia czynów moralnych, wymagających pobudki, któraby wesprzeć zdołała humanitarne przysposobienie umysłu? Lecz dźwignie słabe—skłonność i pojęcie—zejsz się mogą wśród egzaltacji estetycznej i przedstawień kojarznię dojrzałą, nacechowaną znamienne indywidualnym uposażeniem osoby. Widziałem jak dobrze, mało skłonna do okazania litości, pełniąc pod wpływami piękna, zamieniła się w prześliczny czyn miłosierdzia; widziałem jak inna, nie skora na wezwania altruizmu, poruszona do głębi uczestnictwem w sztuce, śpieszyła złożyć ofiarę na ołtarzu przyjaźni. Ów winę przebaczy, ów z serca wypędzi zawiść. Liryzm, uprawiany od czasu trubadurów w imię ideałów miłości, uszlachetnia rozliczne barwy erotyki i pobudza do moralnych wyzwoleń w tym właśnie kierunku. Ale muzyce służy inna jeszcze moc wpływów. Chcę mówić o rodzajach i stylach, wypracowanych przez historią, a uposażonych tak niezmiernie pięknym ideałem, że je przejmujemy przedmiotowo, jako treść sformułowaną. Wszak styl gregoriański, uprawiony harmonicznie przez Palestrinę, skłania wielu słuchaczy obojętnych do podziwienia dziejowej potęgi katolicyzmu. Że hymny mistrza tchną prostotą wiary, wyrażając słodczye bożostanu za pomocą składni konsonansowej, ztąd niemylna określność harmonii *alla capella*, użytej do scharakteryzowania sceny w operze. Podobną wartość ma styl fugowy, ów przewodnik mistycyzmu i głębokich nastrojów poezji. Gdy Francja, odrodzona demokratycznie, stawiała pomniki na cześć ojczyzny, gdy republikanie ubodzy dźwignęli sztandar przeciw najezdom, wówczas Rouget de Lisle wyśpiewał marsyliankę. Tu uczucie patriotyzmu tryska życiem tak promiennym, że dziś jeszcze pobudza do ujęcia trójkolorowej chorągwi. Pieśń tę bowiem odznacza charakterystyczne połączenie rytmów wojskowych, to jest rozkazu w imię waleczności, z liryzmem, wyrażającym szlachetniejszą stronę natchnień rewolucyjnych. Zważyć należy, iż najgłębsze tajniki treści wyrażać się zwykły fizyognomicznie i postaciowo w życiu społecznym. Niech mistrz przejmie dokładnie rysy i poruszenia, jakie znamionowały charakter okresu, niech użyje szczególniejszych dźwigni liryzmu, harmonii i rytmiki, już da nam odczuć samą istotę treści. Tak Meyerbeer, wtajemniczony w dzieje rycerskie Francji, przedstawił w „Hugonotach“ dzieje dramatu rzeczywistego ze znawstwem psychologa i badacza. Chopin, ów nieporównany poeta uczuć, umiał rozpoznać postać i odtworzyć najdelikatniejsze tętna polskości w dobie romantyzmu. Moniuszko widział Polskę kontuszową i przedstawił w pieśni rozmaitą ludność kraju. Do muzyki zastosowywać nie można formalizmu

myślowego, jak czyni Hanslick. Wszak określności pospolitej unika nawet poezya, wymagająca klucza do niejednej kojarzni oryginalnej. Klucz otworzyć też może podwoje świątyni, gdzie czarodziejskie grają moce, lecz pozostać powinien u wejścia, nie krępując w niczém psychicznej swobody uczestnika.

Uwaga o przedmiotowym muzyki charakterze prowadzi do oznaczenia stanowisk wyższych, jakie sztuka dźwięków, ubezpieczona psychofizycznie, zajmuje wśród ogólnej systematyki umysłowej. Że ostoja sztuki tej porządek ściśły, matematyczny, o tém świadczą poszukiwania badaczy, jak: Pythagoras, Arystoteles, Descartes, Rameau i inni, których myśl snuła teorie o muzyce wszechświatów lub spekulacye o samej składni harmonicznój. W wiekach średnich rozwój muzyki kierowanym był przez scholastyków, usiłujących mistrzowanie oprócz na samookreślności figur geometrycznych. Z mnóstwa cegiełek powstawał gmach wielki, zrazu niekształtny, niby wieża babilońska, lecz coraz spójniejszy, w miarę znikania cząstek w planie ogólnym. Niktby dziś nie odnalazł śladu owych rozkazów hataśliwych a sprzecznych, jakie szkoła wydawała codzien w imieniu piękna. Bo też nowoczesną teorię muzyki odzuacza przymiot nader cenny—racyonalizm, sprowadzony do pewników zasadniczych, naukowych. Tu systemat techniki, wielce złożony i różnostronny, znajdujemy uporządkowanym umiętnie kwoli fantazyi swobodnej, która dzieł wielkich tworzyć nie zdoła bez pomocy rozumu. Ztąd przywilój znawców rzetelnych, umiętnych oceniać muzykę przedmiotowo, ile że nauka harmonii, łącznie z zasadami kontrapunktu, instrumentacyi i kompozycyi, stanowi organizm wiedzy uniezależniony, jako bezwzględne rozwiązanie tajemnic piękna. Lecz wiedzę tę dopełnia ze strony humanitarnej historia fantazyi. Gdy scholastyk uczony pracował samotnie nad urobieniem form kunsztownych, świat słuchoł pieśni, którą mu przynosił poeta wolny. Ten wzruszał natchnieniem, opiewając nie tylko miłość rycerską, lecz ideały wiary—wzruszał możnych i ubogich, aż mu zjednać wypadło samych przedstawicieli piękna. Liryzm wsiąkał we wiedzę suchą, a lubo zrazu nieśmiały, jał ożywić organizm bezduszny coraz treściwiej. Długo sztuce muzycznej przyszło nosić sukienkę niepokalaną. Jój zadaniem wzniosłość, raczej dobro niż prawda. Wszakże pieśń ludów dojrzewa. Już wiedzie ciemżonych do walki, już wyraża tragedye życia i tętni tysiącem ruchów indywidualnych, charakterystycznych. Teraz rozdźwięki i rytmy mnożyć się będą prawem kontrastów, bogacąc harmonią potęgami symboliki najwyrazistszej; teraz mistrze zapragną zgłębiać tajniki duszy ludzkiej i tworzyć poematy wielkie na tle stosunków człowieka do rzeczywistości.

Widzimy tedy że muzyka, uważana jako całość, jest systematem humanitarnym, odpowiadającym naszej potrzebie porządkowania treści wewnętrznej. Systemat ów posiada wartość stroju żywego, o ile sztuka muzyczna pozwala na utrzymanie łączników psychicznych pomiędzy dzielnicą wrażeń a władzami umysłu. Wszak sztuka

ta stanowi przedmiot badań nie tylko dla przyrodników, lecz dla filozofów. Znać w niej bowiem dążność do ziszczenia równowagi, jakiej człowiek poszukuje w wypracowanych myślą całokształtach. Piękno, dobro i prawda—oto pojęcia osobnicze, które wynikły z naszych wyzwoleń życiowych. Chcemy tę trójcę mieć zawsze przed sobą; chcemy pewniki wiedzy przejmować w formie wytwornej i czcić w nauce powagi moralne, usiłując też czynić nie tylko dobrze, lecz pięknie i rozumnie. Nie dziw, iż spełnienia życzeń takowych wymagamy tém prawomocniej od geniuszów w postannictwie wyzwoloném, że ci nie potrzebują rozkładać syntezy na ułamki określniejsze. Systematyczność doskonała, wolna od przesady, stanowi rękojmią zadowoleniu wszechstronnych, jakich doznawać może człowiek zupełny. Kto we wnętrzu swoim rozwinie pień o trzech konarach, ten potrafi uniknąć starć zgubnych, rozwiązać nie jedno zagadnienie ważne, przyjąć i spełnić wiele obowiązków społecznych. Dla tego też wyznać należy, iż znajomość sztuki muzycznej, przedstawiającej syntezę osobliwą w dziedzinie piękna, nie może być lekceważoną bez szkody w dziedzinie wiedzy.

II.

Systematyczność nie zawsze była dźwignią społeczną w Rzeczypospolitej polskiej. Tu szlachcic przedstawicielem przywileju, przeczącym porządkowi aż do granic ostatecznych — rycerzem butnym, zbłąkanym wśród bezprawia i bezrządu sił. Jego ostoją indywidualizm bezwzględny, nie znoszący przymusu ani ograniczeń na korzyść osoby innej; jego znamieniem rozstrój oryginalny, nadający mu patologiczną wartość nowotworu w organizmie państwowym. Pomnieć należy, iż cywilizacja staropolska, oparta wyłącznie na chrześcijańskiej idei dobra, obwarowywała się nadto szansem obyczajowości rodowej, zachowawczej, która unikać zwykła sprawdzianów rozumu, utrzymując spójnię społeczną jedynie mocą tradycyi. Lecz cnoty domowe straciły urok, jak skoro postawić je przyszło w świetle sceptycyzmu naukowego. Opoka pękać poczęła, a jej szczeliny dały odpiływ potokom ognistym, których powstrzymać nie zdołał bezbronny geniusz narodu. Obcy wśród nowych kierunków umysłowości, on też wiedzieć nie chciał czém symetria i jedność, czém złożoność a zgodność, stanowiące istotę piękna. Ztąd ta noc straszna, jaką odcierpieć przyszło naszej świadomości dziejowej, kiedy wśród rezprężenia żywiołów sejmowały furje krzykliwe, kiedy zamęt pojęć sięgał do szczytów, by strącić literaturę i wymowę w otchłań makaronizmu. Patrzmy na obraz szlachty, obradującej pod berłem ostatniego króla. To obraz dziwny—nawpół smutny, nawpół zabawny—rzekłbyś tragikomedia, gdzie role ważne powierzonymi zostały nie ludziom poważnym lecz dzieciom. Tu wiara naiwna zdaje się być żartem w obec rozkazów polityki żelaznej; tu rzuty konwulsyjne budzą litość dla nieszczęśli-

wych. Im grozi zagłada. Czyliż umieją stanąć w obronie praw nieznanymi, niesformułowanymi? Pamiętniki dają nam poznać przodków z żywotności niezmierną, jaką indywidualizm rozkiełznany zużył na korzyść bezprawia. Czém szalone wichnięcia w gospodarstwie społecznym, tём we wnętrzu swoim bywał pieniacz nieprzytomny, którego osobę rozrywały żądze sprzeczne, mocne przeistoczyć naturę dobrą w potwora.

Taki majątek odziedziczyliśmy prawem rozwoju po dziadach. Zmienić wypadło wiele. Uczuwając potrzebę oczyszczenia ideałów narodowych z pleśni, daliśmy im oblicze szlachetne w poezji a nawet w sztuce; poznając grozę przeszłości, weszliśmy z otuchą na drogę uświadomień pracowitych. Czyliż przeto systematyczni jesteśmy? Powierzchnia umysłowości podniosła się i rozszerzyła znacznie, lecz u spodu czyni ten sam niedomiarek się, niby gra odruchów błędnych, przypominająca dzieje sejmików i bezrządu. Stan taki trwać musi, dopóki w postępiństwie matek nie zajdą zmiany poważne, dopóki wychowanie pokoleń zależeć będzie od niewiast słabych, pozbawionych pomocy mężkiej. Uważmy jak w rodzinach naszych pielęgnowane bywają bezwiednie zбочenia typowe; jak dziatwa rozwija się swawolnie pod opieką życiodawczyń rozkochanych; jak wiele pierwiastków zdrowych tonie w rozmiękcżających mętach pieszczoły; jak znaczny pieniądz idzie nie na istotę potrzeb pedagogicznych, lecz na opłatę pozorów i okup niedołęztwa. Niech aniołkom służy czeladź liczna—niech sami nie dotkną rzeczywistości. To nie wychowanie—to romans. Ztąd charakterystyczne choroby woli, objawiające się brakiem zgody i wytrwałości w życiu obywatelskim; ztąd niemniej osobliwe połączenie uzdolnień umysłowych z niemocą psychofizyczną. Znamy się dobrze i narzekamy, jak gdyby winowajcą był ktoś obcy. Czyliż w tём nie znać stanów rezdwojenia chorobliwego? Nie dziw iż zdobyć się nie możemy na filozoficzny systemat nauki, etyki i estetyki, skoro w domu naszym nie istnieją podstawy porządku.

Ktoby chciał poznać przedmiotowo czynniki psychofizyczne, cechujące w pewnej mierze młodzież polską, niech je bada przy lekcjach muzyki. Tu uczeń wyda na jaw treść utajoną, na którą zwrócić bacność podmiotu nikt nie usiłował. Przełożeni bowiem zwykli określać wyrazem: „żywość“—wszelką nierównowagę, właśnie złą ekonomią ustroju, tamującą rozwój istotnej żywotności umysłu. Najcięższym szkopułem w nauczaniu muzyki jest niedołęztwo bez granic. Niezmiernie małym znajdziesz poczet uczniów, nawet pomiędzy starszymi, zdolnych wypracować samodzielnie lekcję zadaną. Trzeba mieć cierpliwość psychologa i moralisty, trzeba dobrać środków przymusowych i prowadzić szkołę za pomocą najmożniejszej ze wszystkich metody nawyków. Znam rozliczne stopnie oddalenia pomiędzy sztuką a indywidualizmem nowicyuszów, wstępujących do jój przybytku. Znam chętnych, pojmujących wykład teorii, a jednak nie zdolnych rządzić prawidłowo ruchami celowymi. Jakże im tru-

dno przywieść do zgody działalność trzech zmysłów—wzroku, słuchu i dotykania—by osiągnąć jakąkolwiek jedność wykonawstwa. Ci, jeśli wzrokiem wyprzedzają następstwo znaków, nie śledząc grupowania, to słuchem postępują leniwiej, gdy tymczasem rękami dać sobie rady nie mogą z aplikaturą instrumentu. System palcowania dla nich nie istnieje. Inni,—usposobieni lirycznie, chcieliby wygrać wątek przedź, niż im pozwala błędne przystosowywanie rąk i żreń. Wszyscy,—o ile nie są w stanie uposażać palców równomiernym i stosownie urozniczowanym dopływem siły nerwowej, przedstawiają oryginalne okazy gry poplątanęj. Możeż być zadanie osobliwsze dla przewodnika sumiennego, któremu uczeń wciąż odpowiada że chce i pojmuje wiele, lecz nie łatwo wykonać nie zdoła? Znałem wychowawców łagodnych i dobrego serca, gotowych wpaść w rozdrażnienie, graniczące z obłądem furyatów, ilekroć zwałczyć im przyszło najmniejszą trudność rytmiki i czasowania. Podśłuchaj ich grę wewnętrzną, a poznasz przyczynę naszych rozstrojów towarzyskich, czynniki niewytrwałości i źródła porywów niedojrzewających. Nie jeden z tych, wdzięczny za przymus, śpieszył na lekcję jak na poradę, zachowując długo stosunek powinowactwa względem kierownika. To też moc wpływu znaczy wiele dla chwiejnych i bezwłasnowolnych, którzy bezwzględnie ulegać zwykli rozkazom i są poprawni tylko przez poduszczenie. Przywieść ich możesz do wykonywania kompozycji mniej lub więcej dokładnego, lecz pod warunkiem, że z przepisów szkoły nie pozostanie śladu poza godziną lekcji. Dla siebie, dla obcych nie zagrać nie potrafią. A jednak kto w ich wnętrzu znajdzie iskierkę drobną i tę rozdmuchać zechce na czynnik moralny, już ich skieruje na drogę wysiłków ku samodzielności. Zważyć należy iż upowszechniony dziś zwyczaj obarczania młodzieży nadmiarem pracy mózgowęj nie sprzyja uprawie muzyki. Pod względem wiedzy korzyść żadna, Wszak to ładunek ciężki, złożony częstokroć z materjałów martwych. stosowany wadliwie, którym przez lat kilka zapycha się głowa chyba dla tego, by ofiara nauki przeszła później pod opiekę lekarzy. Zabraniamy w szkole wypoczynku i swobody, lubo dzieje rozwoju przekonywają o zanikaniu wszech istot, pozbawionych słońca, powietrza i odżywiania wiosennego. Godzina muzyki, wymagającej własnie swobody ruchów, mogłaby stanowić dobroczynną chwilę wypoczynku, gdyby uczeń, mniej męczony nad książką, zwłaszcza przepisywaniem, mógł przychodzić na lekcję rytmów rzeświejszym, zdrowszym. Otóż przychodzi bezwładnym, steranym psychofizycznie, jak długoletni więzień. Jego tkanki osłabły, straciły sprężystość, jego zmysł stępsiał, a ruch płynów nerwowych zwolniał aż do застоju. Jak przystosuje rękę skurczoną, jak uniknie fałszów? Nie dziw iż w obec sztuki okaże niechęć tém większą, im mniej jest przygotowanym do używania jej darów; nie dziw iż wróciłby chętnie do zajęć biernych, nie z upodobania lecz z nawyku.

Poziom uzdolnień nie upoważnia nas wcale do zaniedbywania

uprawy muzyki. Owszem, należy lubownictwo podnieść na stopień wyższy i podjąć pracę raczej w imię dobra pokoleń niż na rachunek bieżący. Że zdolności powstają z nasion i potęgują się kolejną spadkobrania przez dorobki, dla tego wychowywanie o tyle roztropnym być może, o ile opiekunowie młodzieży usiłują mieć na względzie przyszłość narodu. Otóż przezorności takowej przyznać sobie nie możemy bez szowinizmu. W okresie Stanisławowskim, lubo polacy uczuli potrzebę kształcenia się w kierunku estetycznym, lubo im dano oglądać oblicze piękna, to jednocześnie wprowadzono do kraju wiecznego wroga sztuki—modę. Ta zwykła szkodzić dogadzaniem próżności, o ile pobudza do błyszczenia przyborem powierzchownym. Moda—to lichwa, której społeczeństwo zasobna wystrzegać się powinna. Patrz jak zaraza ta oszpeca polskość i obdziera ją z bogactw, jak niszczy znamiona indywidualne i naznacza młodzież piętnem zwyrodniałości. Ona to muzykę sprowadza do rzędu ozdób w salonie, gdzie mowa paryżan i beletrystyka francuzka mają wyróżniać wychowanie rzekomo estetyczne od gminnego. Kto stanowi radę pedagogiczną w rodzinach naszych? Oczywiście nikt; naśladownictwo bowiem nie potrzebuje wskazówek. Fortepian oklepywanym być musi, skoro popis w granicach nieużyteczności należy do dobrego tonu. O zawodzie artystycznym myśleć nie wolno bez ubliżenia godności szlacheckiej. To też z nauczania wykluczyć należy teorią i poezją sztuki, kolej ćwiczeń, znajomość stylów, zgoła porządek szkolny, by oszczędzić trudów niepotrzebnych uczniowi, który przecież tworzyć ani koncertów dawać nie będzie. Nieuctwo i słabość rodziców bywają przyczyną, że młodzież radzi sobie samowolnie w zatrudnieniach, nieobjętych programem gimnazjalnym. Wychowawcy mogą wybierać i zmieniać nauczycieli muzyki według upodobania, mogą stawiać opór ich wymaganiom słusznym i zmuszać powagę do rachowania się z kaprysem. Strona bez głosu będzie nieledwie zawsze wygrywającą przed trybunałem opiekunów. Nie dziw że schlebianie jej staje się warunkiem koniecznym zawodu, którego nie wszyscy przedstawiciele mogą lub chcą być misionarzami; nie dziw że dla tandety muzycznej, przeznaczonęj na handel codzienny, pominąć wypada arcydzieła mistrzów. Że młodzież nie pragnie poznać istoty piękna i godzinę muzyki bierze za chwilę rozrywki swawolnej, wina ciąży na owym domu polskim, gdzie pozór odbiera cześć prawdy i poniża wartość ideału.

Skutki takiego postępowania muszą być wielce ujemne. Polacy nie znają wcale mowy powszechnoludzkiej, która węzłem sympatycznym łączy plemiona i wzywa namiętności ślepe—do stawiennictwa wśród oczyszczających światła harmonii. Muzyczne lubownictwo nasze nie przekracza granic mody lub zgoła trywialności naiwnej. Pieściny zmysł italianizmem jałowym, nie bacząc iż rozkosze czysto zmysłowe geniusz historii przeznaczył dla starców i reakcyjistów; hołdujemy bożyszczom nierozumu, bawiąc się dziecinnie

operetką, to jest rozpustną karykaturą piękną. Mogłaby potęga muzyki rozwijać się na scenie, gdzie dramat ustąpić musi przed be-myślnym popisem głosów, gdzie uczestnik zwykł unikać zadań poważnych i szuka rozrywki ubocznej? To też opera nasza przedstawia szereg porywów i upadków, niby zwierciadło, świadczące niekorzystnie o tém co się dzieje w domu. Kto lekceważy wartość systemu, ten nie zrozumie nigdy mądrzej dyalektyki ani poetycznej mowy symfoników. Ileż darów olimpijskich omija karciarzy, nie będących w stanie po pracy obowiązkowej zasiąść do kwartetu; ileż swarów rodzinnych zażegnałoby mogło muzykowanie zbiorowe! Młodzież zna nudy i marnotrawstwo. W jej wnętrzu roją się nieraz dziwadła fantastyczne. Czemuż tam nie ma idealnych kojarzni ze świata dźwięków?

Obojętni na ruch artystyczny w ogóle, zachowujemy się tém naganniej względem muzyki polskiej. Wszak dziecię to, poczęte w bólach romantyzmu, żyje przez chwilę siłą porywów, potem upada i zamiera. Lud nasz nie skąpo ma udzielałym sobie dar tworzenia pieśni. Gdzie stąpisz, idąc wzdłuż i wszerz kraju, usłyszysz liryzm odmienny, zawsze świeży i charakterystyczny. Lecz on nie piękny, nie rozwinięty, bo jest nawpół świadomem utworzem natury. Nadto, pomiędzy skarbami poezji śpiewanej, znajdziesz u ludu nie jeden motyw dawny, uroniony przez rycerza a przechowany przez chłopka. Trzeba materiały ów uporządkować umiejętnie, przetopić kruszec w ogniach fantazyi wyższej, nadać bryłom kształty i blaski świadomości zupełnej. Kto to wykona? My umiemy zniechęcać naszych mistrzów, którzy w około siebie nie znajdują pomocy do budowania. Wszak dzieła wielkie powstają z mniejszych; wszak geniusze to ludzie wybrani, zdolni urzeczywistnić posłannictwo zbiorowe.

Posiadamy dwie instytucje—Konserwatorium i Towarzystwo muzyczne—obie z nadto poważne by zasługiwały na lekceważenie, obie wśród nas obce, jak gdyby je zakładali przybysze z daleka. Konserwatorium liczy szereg zasług, przerwany koleją wypadków od roku 1830. Tu pomoc otrzymał nie jeden talent rodziny, tu garstka ludzi, przejętych miłością dla sztuki, walczy z niedostatkiem, usiłując prowadzić w porządku wykład umiejętności. Dla czego szkoła ta nie jaśnieje blaskiem akademickim? Ona omdlewa wśród zapomnienia, gdy tymczasem Warszawa trwoni kapitał na kupno pozorów i przywłaszcza sobie bezwstydnie tytuły miast najmuzykalniejszych. Inaczej sprawami sztuki zajmuje się Towarzystwo muzyczne. Tu rozstrój nieustanny zniechęca kierowników najwytrzymalszych; tu ogół szuka zabawy płochęj i radzi gwarnie o wszystkim, byle nie o zadaniu wskazanem. Nasze ciała zbiorowe, odznaczające się separatyzmem, wpadają bezwiednie w stan niemocy, jakiej ulegać zwykł indywidualizm skrajny. Nawet pokrewne nie wspierają się wzajemnie, bo ich nie łączy systematyczna jedność idei. Instytucje wyższe rozwijać się nie mogą tam, gdzie brak jest podstaw najpierwszych,

gdzie społeczność lekceważy dźwignie pedagogiczne i nie uczuwa potrzeby zogniskowywania sił swoich w danym kierunku.

Tyle co do szkód, ponoszonych przez społeczność polską w zakresie sztuki muzycznej. Nie utrzymuję iż naprawę zawdzięczalibyśmy jedynie dobrenu tejże sztuki nauczaniu, byłby to bowiem objaw specjalny systematyczności, kształconej wszechstronnie. Baczycie jednak należy na pomoc znakomitą, jaką gruntowna uprawa piękna przynieść może w przedsięwziętych przez naród zabiegach. Wszak on na ubóstwo pod względem pierwiastków uczuciowych biadać nie powinien. Czemuż je trwoni? Bo mu ciężko przewyciężyć miękkość natury słowiańskiej, bo zdobyć się nie może na potęgę woli, utrzymującą w porządku kształtowanie wyobraźniowe. Dopóki językoznawstwo polskie nie otrzyma podstaw trwalszych, a naukowość ogólna nie zostanie unarodowioną w imię samodzielności twórczej, tak długo myśl o postępie pozostanie dla nas czczem tylko marzeniem. Piękno, to systemat, bez którego nie ma pomysłów oryginalnych ani uwłasczeń wśród obszarów idealizmu powszechnego.

III.

Społeczność, dbająca o prawidłowy rozwój stosunków pomiędzy osobą a towarzystwem, uwzględnia w wychowaniu pokoleń dwie dźwignie: dom rodzinny i szkołę. Pierwszej zaleca ona opiekę nad dziedzictwem jednostek, pielęgnowanie indywidualizmu, kształcenie pierwiastków egoistycznych; drugiej nadaje powagę odmienną, o ile jej obowiązkiem baczycie na korzyść wielu, przestrzegać spójni, kształcić altruizm. Obie dźwignie współdziałać powinny. Jeśli bowiem wpływami domowymi należy długo równoważyć kodeks szkolny, to towarzyskość ma wiązać młodzież w dobie najwcześniejszej, już pod postacią ogródków i zabaw pouczających, o jakich pomyślał Froebel. Otóż wyrazem towarzyskości w muzyce jest śpiew zbiorowy, znany najdawniejszym uspołecznieniom teokratycznym i humanitarnym. Chóry hebrajskie przedstawiały jedność ludu wybranego, spójnię w imię deizmu. Chóry greckie były, niezależnie od mitologicznych, w tragedji bohaterów głosem sumienia narodowego, wśród igrzysk pochwałą dzielności pięknotwórczej. Lecz chórom starożytnym brakowało składowi harmonicznej. Tu homofonia wyrażała bezwzględną moc idei, więc zjednoczenie wręcz nieuróżnicowane, wzbraniające osobie mieć głos własny. Używany był podział antifoniczny śpiewaków na dwie grupy jednostajne, które deklamowały po kolei strofy i antistrofy, zachowując względem siebie różnicę kwinty lub oktawy. Podobna melopea uprawiana też była w ustanowionem przez Grzegorza W. państwie chrześcijańskim. Polifonią poczyna duch szkoły—harmonią geniusz realizmu. Śpiew wielogłosowy uroznicowuje się znamienne. Zrazu nieskładny, pełen ruchów samowol-

nych, właśnie jak towarzyskość w wiekach średnich, kształci się on jednak pod wpływem systematyki, porządkującej coraz dokładniej stosunki różnic w imię syntezy. On teraz wyraża ugodę dobrowolną, opartą na sympatyi i nie wyłączającą wcale charakterystyki indywidualnej. Ztąd niezmierna potęga liryzmu zbiorowego, gdzie uczucia odmienne, sformułowane dość niezależnie by miały cechy osobnicze, ocenić się dają przez kontrasty harmoniczne. Chór spełnił usługę znakomitą, ilekroć poezya i muzyka wezwanemi były na pomoc przez ustawodawców religijnych i przewodników ruchu, ilekroć przyszło zagrząć jednostki do wyzwoleń i postawić pomnik na polu działalności ludzkiej.

Skoro tak jest dotąd, chciałżeby kto zaprzeczać wartości pedagogicznej rodzajowi muzyki, najbardziej ze wszystkich humanitarne-mu? Śpiew wielogłosowy wzywa do porządku młodzież rozigraną i zamienia rozterkę szkolną na uczestnictwo uroczyste. On uczy hamować porywy osobnicze na korzyść harmonii, która tém przyjemniej zajmie uwagę wykonawców, im lepiej ci potrafią zachować jój warunki estetyczne, im ochotniej staną pod sztandarem piękna. Uważ jak im miło ulegać rozkazom, mającym na celu spójnią sympatyczną, jak coraz świadomiej pojmują role wskazane i odczuwają pełnię sił połączonych. Śpiew wspólny nadaje szkole powagę świątyni, uszlachetnia zabawy i umacnia węzły koleżeństwa, stanowiąc nadto środek najdzielniejszy, bo łatwy i praktyczny, do uzasadnienia znajomości muzyki. To też do postępowych nie powinny zaliczać się zakłady wychowawcze ani uczelnie, gdzie zaniedbaną jest chociażby skromna tój umiejętności uprawa. Tak właśnie sądzą przewodnicy młodzieży w krajach Europy zachodniej. Niech chóry niższe, zaczynając od ćwiczeń wstępnych i homofonii, wyśpiewują w partyach mało złożonych pogodną rzewność i niewinność uczuć, jak przystoi na wiek bezchmurny uczestników. Liryzm patetyczny nie dla nich. To mogłoby spowodować tkliwość przesadną, rozdrażnić lub uspokoić czułośćkowo naturę prostą. Tylko harmonia spokojna licuje z dobrocią sere dziewiczych. Niech chóry wyższe złożą harmonią różnostronniejszą, głębszą, by wykonawcy poznawać mogli piękność muzyki stylowej i kształcić uczucia dojrzewające. Wybór pod względem osnowy ma znaczenie równorzędne, skoro śpiew spotęgowya natchnienie poety i nadaje słowom-oblicze żywe. Na ów stosunek poezyi do muzyki zwrócić uwagę uczniów należy koniecznie. Myśl i jój wyraz odosobnione, przebrzmia nieraz bez śladu, lecz związane, zaciągają w pamięci prawem wrzuseń psychicznych.

Zważyć należy iż śpiew wielogłosowy posiada moc spójni demokratycznej. On wyraża liczbę mnogą i odnosi się zawsze do uświadczeń przedmiotowych, do praw natury i związków rzeczywistych. Tę jego wartość poznał Pestalozzi, zalecający uprawę muzyki, jako dźwigni wielce ważnej w systemie wychowawczym dla ludu. Pfeiffer, znany w dziejach sztuki muzycznej dydaktyk, pośpieszył wykonać

pomysł filantropa, urządzając w Yverdun popularny wykład oraz praktykę śpiewu. Inny mąż świątły, Naegeli z Zurichu, gromadził głosy, przewodniczył im i kształcił słuchaczy za pomocą odczytów. On zasłużył na pomnik. W Szwajcaryi bowiem obaczysz mnóstwo stowarzyszeń czynnych, mających na celu zdrowy rozwój uspołecznienia, a pobudzanych do ruchu przez ożywczą potęgę harmonii. Stany zjednoczone helweckie — to jeden chór wielki w małej krainie górskiej. Cóżby utrwać mogło ów związek ludności różnojęzycznej, jeśli nie wychowanie szkolne, usuwające nierówność w zakresie zobowiązań moralnych? Szkolnictwo niemieckie usłuchało wskazówek z sąsiedztwa, a towarzystwa orfeiczne powstają coraz liczniej wśród ludów, którym pora iść naprzód pod hasłem porządku.

Ale śpiew nie posiada wielu przymiotów cennych, znamionujących nowoczesną sztukę muzyczną. On głosem poezyi, z którą pieśniarz rachować się musi, pomimo nieliczności dwu składni — podobnych lecz niejednakowych. Inną bowiem jest prozodia wiersza niż melodyi, zwłaszcza pod względem miary, zawsze uwarunkowanej sprzecznie na szkodę mistrza słów lub mistrza dźwięków. Nie dość na tém. Im potężniej śpiew oddziaływa wyrazem uczuć żywym, bezpośrednim, tém mniej zadawalniać może zmysł, poszukujący dźwięczności czystej, matematycznie wytwornej. Pomijając mechanizm krtani, już same spółgłoski stanowią przeszkodę niezwalczoną. Nadto, że figurowanie głosu jest raczej wymownem niż reprezentacyjnem, że liryk stwarza motywy wewnętrzne, nie zaś charakterystykę ruchów, ztąd wielce ograniczony rozwój rytmiki i symetryczności, których bogactwa nie przystoją wcale śpiewowi. Inaczej w muzyce instrumentalnej. Ta, o ile całkiem uniezależniona, przedstawia doskonałą pełnię i subtelne granice tonowania, zwracając uwagę słuchacza na więź harmoniczną i modulacye, na swobodę ruchów, jedność składni i symetrię formy. Niemcy przyznają jej wyłącznie tytuł sztuki, zapominając iż od klasyków neapolitańskich otrzymali pierwowzory piękna w cantilenie, iż sensualizm włoski dziś jeszcze lekceważy wymowę na korzyść uroczych całokształtów śpiewności czystej. Skoro jednak ów sensualizm spełnił posłannictwo swoje, skoro symfonikowi przyszło ująć samodzielnie berło mistrza-poety, to wyznać pora, bez ujmy dla pieśniarza, iż w muzyce instrumentalnej uchylonemi zostały sprzeczności i rozwiązaniemi najtrudniejsze zadania techniki.

Z rodziny instrumentów, żaden równie dobrze celom pedagogicznym nie odpowiada, jak fortepian. Udoskonalony wszechstronnie, on przedstawia skalę orkiestralną i posiada nader cenne przymioty gry złożonej. Czy bogactwa rytmiki wynagradzają krótkotrwałość brzmienia, czy różnice dotknięcia pozwolą zapomnieć o kolorytach panharmonii, dość że artysta okaże samodzilność wykonawczą i ześrodkuje poloty fantazyi w mistrzowaniu reprezentacyjnem, gdzie znajduje największą pełnię zadowolnień estetycznych. Pamiętać należy iż pul-

pit fortepianowy, niezależnie od literatury specjalnej, niezmiernie różniczej, dźwiga partye wszelakie, niby streszczenia, obznajamiające lubownika z wielkim światem muzyki. Nie dziw iż instrument ów zajął w salonie miejsce pierwszorzędne, jako dar cywilizacji; nie dziw że mu przyszło być pośrednikiem uciech estetycznych wśród rodzin i narzędziem właściwem, ze strony muzyki, dla pielęgnujących indywidualizm jednostek w wychowaniu domowem.

Całe niemal nauczanie muzyki objąć można lekcjami przy fortepianie. Mówię o nauczaniu rzetelnem, mającym na celu znajomość przedmiotu, nie zaś instrumentu wyłącznie, raczej istotę piękna niż grę automatyczną. Jaka ztąd korzyść iż uczeń posiadać pozorną biegłość ręki i potrafi wykonać nie źle kompozycją bez stylu? On pozostanie obcym w dziedzinie systemu i zapomni dość wczesnie o lekcjach, które mu tajemnic sztuki poznać nie dały. Dwie ostoje psychiczne uwzględniać głównie należy: 1) bierne przymioty zmysłu i 2) czynniki woli. Obie służą łącznie za podstawę znawstwa podmiotowego, o ile zmysłem ukształconym posługuje się świadomość w stosunku do systemu dźwięków, o ile znów osoba porządkować zdoła ruchy własne równoważnie i rytmicznie na korzyść stosunku do strony postaciowej w muzyce.

Kształcenie zmysłu muzycznego powinno być uświadamiającem. Chodzi tu o umiejętne do lekcji fortepianu zastosowanie wykładu szczegółowego, więc oczywiście o godzinę poglądów, którymi przewodnik zajmie wyobraźnię ucznia, postępując z nim coraz śmielej drogą szkolną. By uświadamianie takowe przyniosło korzyść istotną, należy, w miarę czynionych postępów, nakłaniać ucznia do rozpoznawania zasad już w samych dziełach sztuki. To mu wskaże źródło zadowolnień estetycznych, o ile umysłem ocenić on zdoła każdy szczegół nieznan i uczuje się być szkolnikiem nieobojętnym w obec symboliki symfonicznej.

Estetyczne kształcenie woli opłaca się korzyścią znakomitą, mało znaną tam, gdzie pedagogowie nie są poszukiwani. Doświadczenia dynamometryczne przekonywają, iż zachodzi ścisły stosunek pomiędzy ruchem umysłowym a zewnętrznym ruchem kończyn. Gdy głowę zajmiesz książką lub słowem żywem, a prąd wszelaki skierujesz do środka, wówczas członki spoczywające pozyszczą większą sprężystość w mięśniach i okażą się zdolniejszymi niż były przedtem do ruchu wysiłkowego. Oddziaływanie może być odwrotnem, skoro czynność mózgowia ustanie, a organ szlachetny zapotrzebuje pobudki ze strony sił, wyćwiczonych najdzielniej. Chod umiarkowany przywraca myślicielowi zgubioną nić wątku; poruszanie rąk pomaga do ożywienia rozmowy. Że człowiek myśli znakami mowy, której rządy spoczywają w lewej półkuli mózgowia, że tuż umiejscowionemi są również dźwignie ręki prawej, ztąd osobliwe objawy mimiki u rzeczników niespokojnych, używających nierównie wyraźniej prawicy niż ramienia lewego. Tacy,

o ile nie wytrawni i niezdolni panować nad sobą, wpadają częstokroć w obłąd, okazując uderzeniem pięścią grozę i gniew bez przyczyny. Słyszano ich w zgromadzeniach nieparlamentarnych, ilekroć czas zamącił namietności ludzkie. Inaczej zwyczaj postępować aktor, który mimiką rytmiczną wspomaga przedstawienia myślowe również usystematyzowane. On umie wyrazić wszystkie uczucia, nawet uniesienia, za pomocą równoważnych ruchów w postaciowaniu i w wymowie, nadając tém samém grze swojej cechę spokoju pięknotwórczego. Rzecz można ogólnie iż ruchy kończyn, wyrobione estetycznie, odpowiadają ruchom słowa, utrzymanym w granicach rytmiki siłą porządkującą woli. Kto baczy przeważnie na poruszenia zewnętrzne, może być pewnym zręczności swojej; kto wymierza ruch myśli, może być pewnym wymowy płynnej, nie przerywaną węzłami, które powstają wśród bezładnej gonitwy pojęć. Podobne węzły, spotęgowane rozlicznie, znajdziesz w zająkiwaniu się lub poszarpanej mowie osobników, źle uposażonych pod względem równowagi psychofizycznej i nie uzdrawianych za młodu. Ta sama wada znamionuje grę wielu uczniów, nawet starszych, o ile ci bezsilni są w obec trudności rytmicznych w muzyce.

Muzyka instrumentalna — to przedewszystkiém figurowanie dźwięków, gdzie zachowaną być winna ścisłość matematyczna, więc doskonała hierarchia wartości i niezachwiana proporcya w całościach iloczynowych. Uświadamiając teoretycznie o tém, należy grajka nałamywać, by zdobył samodzielne poczucie rytmiczności w mięśniach większych, nim je wyrobi wytworniej w palcach. Niech zaczyna od muzyki łatwej, gdzie linie i wymiary są proste, ułożone tanecznie, gdzie nie znajdzie przeszkody ze strony nacisków ani częstych zmian ruchu. Przewodnik powinien obmyślać środki metronomiczne i trzymać uczniów w korbach ścisłości tém surowszej, im mniej są oni karni w stosunku do prawideł sztuki. Tylko w dawniej szkole klasyków znajdziesz tę rzeźbę taktów wytworną, jaka pod wpływem przedstawień postaciowych uczy rządzić subtelnie poruszeniami palców. Couperin, Rameau, Haydn — to mistrze „wymiarów złotych,“ przedstawiciele formalizmu, który w wiekach XVII i XVIII urabiał prześliczną manierę salonową. Ich styl waryacyjny znaczy wiele w nauczaniu muzyki, oczywiście nie dla powagi innej jak tylko pedagogicznej, rozsądnie ograniczonej. Głęboki Bach przystoi nie poczynającym — raczej wyzwoleńcom. Rozwijając najwyższe stopnie samodzielności, on stawia zagadnienia zanadto oderwane, by mogły zająć wyobraźnię żywą.

Kształtując wolę osobnika, winniem mu dać moralny przykład panowania nad sobą. Jak to rozumieć w zastosowaniu do godzin muzyki? Nauczyciel bierze w lekcyi udział czynny, usiłując kierować wykonawstwem podług własnej samodzielności artystycznej. On pobłądzi jeśli uwzględniać zechce indywidualizm rzekomy, który długo jest tylko materiałem do wyrobienia. Otóż z kolizyi dwu żywiołów sprzecznych — porządku i nieładu — wynikają stany psychiczne zbyt

uciażliwe, by nie wybuchaly objawami zniecierpliwienia i gniewu. Lecz pedagog swiatly wybuchow takowych nie dopuscil nigdy, wiedzac iz pierwiastki metne slabeja pod silnym wplywem wladzy porzadkujacej. On zachowa spokoj stoicki, jakkolwiek stanowczym i rozkazujacym byc nie przestanie; on powaga moralna zniwoli ucznia do uleglosci, opartej na zaufaniu. Wszak lamac czynniki woli—to trud nie mały. Uczeń nic nie wie o pierwiastkach ujemnych swojej istoty, nie zna winy zadnej. Należy tedy obejściem najłagodniejszym kocić spowodowane muzyką rozdrażnienie i okazywać wyższość przewodnictwa w sposób delikatny. Wypada przedewszystkiem poznać psychiczne przymioty wychowauca. Bywają natury biernie lub rozkiełznane, uporne lub tklive, ubogie lub posażne. Gdy wzrokiem znawcy przeniknę gmatwaninę pierwiastków, jakie znamionują charakter, wówczas zdołam nakreślić plan szczegółowy, rozstrzygający o wyborze środków pedagogicznych. Te, o ile poparte sympatyczną mocą spokoju, pomogą mi zaprowadzić ucznia na szczyt indywidualizmu, gdzie już kierownictwo moje przydać się może jedynie w znaczeniu rady nader względnej.

Dwustronny stosunek uczestnika do sztuki, oparty na objawach doskonałości oraz na symbolizmie wyrazistym, pociąga za sobą konieczność kształcenia dwu sprawdzianów podmiotowych: 1) pojęć i 2) uczuć.

Ręce, o ile wykonać mają pewien szereg ruchów celowych, są narzędziami władzy wyższej, to jest ośrodką, gdzie in potentia istnieje pewien szereg przedstawię, dość określiwie zarysowany, by mógł być przez czynniki zewnętrzne ujawnionym. Wykonawca muzyczny musi wprzód ująć kompozycyą w karby myśli rozsądkujacej, odtworzyć i upodmiotować pomysł obcy, zanim w grze zdobędzie panowanie wirtuoza. Jak sposobie świadomość ucznia w tym właśnie kierunku? Przewodnictwo prywatne, wychodząc z zasady, iż powaga sama mogłaby zrazić młodzież do uprawiania sztuki, urozmaica lekcye przyjemnostkami, które téż ofiaruje uprzejmie w utworach stylu mieszanego, niby w barokizmie muzycznym. Zasada to fałszywa, o ile zakrawa nie na ułatwienie pracy lecz na ustępstwo. Młodzież lubi owe podarki nauczycielskie, bo one ją bawią. Nie dziw iż staje się wymagającą, nabiera wstrętu do prawidłowości i zwycięża w imię zachcianek kapryśnych. Tak zwane *pièces modernes*, to jest utwory nijakie, przyczyniają się wielce do szerzenia ciemnoty w dziedzinie piękna. Lecz stokroć gorszym w skutkach jest ustępstwo, czynione niepełnoletnim wielbicielom romantyzmu. Patrz jak cheiwie pochłaniają oni narkotyki słodkie, czytając pokryjomu powieść cudowną, jak wyobrażniając szałonym wirum przedstawię nieprawdziwych a jednak suowanych prawdopodobnie, jak żyją wezbranym żarem gorączki, by omdleć i wpaść w otchłań tęsknoty. Ledwie setny z dzisiejszych wychowauców weźmie do ręki Homera. Inni wolą upojenia, zwiększono

ponętami owocu zakazanego. W romantyce muzycznej znajdziesz harmonią zwichniętą i rytmy połamane, wątki bez związku i modulacye mętne. Tu całokształtu nie ma, lecz są szczegóły powabne, owe właśnie wątki melodyjne, wyszukane, delikatne i pełne uroków niewieściich, które najbardziej pociągają młodzież dzisiejszą, rozlubowaną we wdziękach słabości. Uczeń powinien unikać długo téj muzyki syreniej, podobnie jak wszystkiego co trąci sentymentalizmem, co prowadzi drogą negacyi do przesady w uczuciach, do ubolewania bez przyczyn.

Piękno znamionuje muzykę klasyczną, gdzie istnieje doskonała jedność przedstawień, ułożonych symetrycznie w całokształt nieposzlakowany. Typem téj muzyki jest Sonata, której kompozytca daje poznać budowę Symfonii orkiestralnej i przypomina sceniczny układ Opery. Są tu bowiem części osobnicze, niby akty, wyróżnione obrazowaniem odmienném, są okresy, niby stawiennictwa, są zawiązki, stopnie szczytowe i rozwiązania — wszystko prowadzone tak umiejętnie, by kompozytcy nie zepsuł najlżejszy brak ani rys niepotrzebny. Mistrz sztuki prawidłowej, nie zrywając ciężarów, jakie na szalach humanizmu stanowiąc powinny równowagę władz, hołduje majestatowi piękna i nie dopuści nigdy wypaczenia formy na korzyść treści. Jego ideałem — namiętność uspokojona; jego królestwem — harmonia świątek; jego potęgą — twórczość jednolita, oparta na prostocie stylu. By wydać arcydzieło, on nie potrzebuje symbolów mnogich. Dość że posiada natchnienie, zmysł niemylny i wiedzę. Kompozycją klasyczną poznasz po liniach kształtnych i wymiarach proporcjonalnych, po zбочzeniach naprawionych i harmonii ściślej. Tu chromatyka miękka ustępuje wciąż przed dyatoniką, chwiejność przed dokładnością; tu powaga mistrzowania polega na jedności tonicznej, zaś oryginalność na zestawieniach wielorakich. Przedstawiciele téj sztuki — to pokrewni arcymistrzów plastyki. W ich areopagu przoduje Haydn — twórca symfonii typowej, ów poeta naiwny, który połączyć umiał wdzięki natury z manierą arystokratyczną. Wślad po nim idzie Mozart — symfonik myślący, wytworny, poeta najsympatyczniejszy w zakresie optymizmu. On to założycielem szkoły fortepianistów, prowadzonej później przez dwu odstępców — Hummel'a, twórcę gry popisowej i Moscheles'a, twórcę kolorytów subtelnych. Scarlatti — to mistrz brawury, ujętój w karby symetrii klasycznej. Clementi stanął również na czele szkoły, której przewodniczył pedagogicznie, tworząc zbiór sonat wiele pouczających, ustopniowanych podług wymagań postępu. Zawsze oryginalny, poważny i pełen pomysłów treściwych, on umie zająć wyobraźnię i nadać ton wytworny nawet igraszkom fantazyi. Field i Cramer idą tuż za nim. Pośród klasyków odznacza się postać Bacha, który wiąże romantyzm gotycki z realizmem nowoczesnym. Jego symetrie polifoniczne — to niby architektura ostrołuków i wieżyc koronkowych. Niemniej przeto arcymistrz fugi składa na ołtarzu piękna dar

cenny — umiejętność pogłębiania ruchów harmonicznycn. Potęgą wieszczą góruje Beethoven. On w formy symfonii typowej tchnął ducha poezji dramatycznej, wyzwolił fantazyę z pod przewagi prawideł ścisłych i wskazał romantykom niedościgniony szczyt systematyki wyższej, ideologicznej. Muzyce mistrzów wymienionych historia przyznała słuszenie tytuł sztuki wielkocostylowej. Wszak mowa o kilku geniuszach, którzy odtwarzali ideały powszechnoludzkie, dając je poznać nie tylko w utworach wielce złożonych lecz w najmniejszych. Lubo każdy z tych mistrzów był w pewnej mierze indywidualnym, o ile miał do uporządkowania inną treść, inną potęgę namiętności, to jednak wszystkich znamionuje humanizm, towarzyszący nieodzownie bezwzględnej idei piękna. Ich muzyka roznieca ognie estetyczne — radość niezmierną i podniosłość duszy.

Spieszę powiedzieć iż epoka romantyzmu nie samém odstępnstwem waży w dziejach sztuki. Kiedy prysnęły oguiwa piękna, jednocześnie zawartym został sojusz pomiędzy fantazyą wyswobodzoną a realizmem, który oddawna postępował naprzód pomimo przeszkód licznych. Ów realizm zbliżał mistrzów do natury, wskazując im cele wśród otoczenia i ostoję bezpieczną w granicach prawidłowości coraz mniej sztucznej. Jawią się geniusze narodowi, a w poezji i w muzyce poczynają rozbrzmiewać dźwięki charakterystyczne. To pieśni, wyjęte z gorących serc ludu, świeże i wymowne, podniesione do wzniosłości idealnej w imię praw indywidualizmu. Romantyzm chciał być uczuciowym, a szalał wyobraźnią. O doskonałość nie troszczył się wcale. Otóż, ilekroć trafił na przedmiot żywotny i celowością rozumną ograniczył egzaltacyę, wtenczas stwarzał dzieła oryginalne, znane nam jako całości kształty raczej wyraziste niż piękne. Pomiedzy przedstawicielami muzyki fortepianowej w stylu romantycznym są umiarkowani, jak Weber, Schubert i Mendelssohn, są śmielsi lecz wytworni, jak Schumann, Chopin, Rubinstein, Grieg, są znów uniesieni kołowrotem bez hamulca, jak Liszt i zwolennicy wagneryzmu. Oceniając tę twórczość oryginalną, znajdujemy iż nie wszystkie dzieła mistrza-romantyka mają wartość jednaką. Poeta dźwięków, że się opiera na dźwigniach natchnienia, że zależy całkiem od stanów wyjątkowych, częstokroć wielce zawodnych, wydaje naprzemian pomysły genialne, to znów porody fantazyi zbłąkanęj. I nie dziw. Wszak on tworzy wysiłkiem niezmiernym i znosić musi omdlenie długie. Czemże są utwory natchnione mistrzujących w muzyce romantyków? Są wprost dziełami fantazyi, która wstępuje w dziedzinę poezji opisowo-lirycznej, by mogła za pomocą techniki swobodnej wyrażać mnóstwo przedstawień określonych. Tu obfitość środków niezwykła i różnaitość kompozycyi ogromna. Romantycy bowiem usiłują stwarzać formy, odpowiadające stanom podmiotowym osoby, a razem ujawniać stosunek tych stanów do czynników zewnętrznych, do otoczenia, jak gdyby chcieli śpiewać najwymowniej i opisywać żywo, fizyognomicznie. Wszystkie ich kompozycye noszą nazwy poezji opisowo-lirycznej, uświadamiające uczest-

nika o treści przedstawienia. Schumann, przejęty hoffmanizmem, tworzy galerje obrazków, gdzie chce dać poznać rozliczne nastroje ironii i humoru. On słucha muzyki w duszy dziecięcej i podaje mnóstwo ucieleśnień, znamionujących egzaltacją młodzieży współczesnej. Mendelssohn opromienia *Gemüth* niemieckie tysiącem świateł przeslicznych. Chopin, współnik wieszczów narodowych, przedstawia najpoetyczniejszą w życiu polskiem dobę uniesień, żalów i upragnień. W jego utworach poznasz dumę rycerską, usłyszysz płacz rzewny i podziwiesz wysokolotne harmonie marzycielstwa naszego. Tę rozmaitość uczuć wyobraźnia romantyków umieszczać rada wśród ruchów i barw przedmiotowych. Ztąd też ich muzyka pobudza do przypomnień, do zestawiania wrażeń, rzecz można do twórczości indywidualnej, tém płodniejszej, im więcej uczestnik widział, czytał i poetycznie zbierał.

Otóż wirtuoz znajduje w mistrzowaniu takowem trudność nie małą do zwalzenia. Skoro nie zna dziejów romantyzmu w Niemczech, czyliż potrafi wykonać „Kreiserianę“? Skoro mu obcą ojczyzna Mickiewiczza, czyliż wie jakim duchem ożywi ballady i poematy taneczne Chopin'a. Wykonawca powinien stworzyć komentarz do natchnień pierwotwórcy. On w myśli ułoży obraz fantazyjny, byle treściwy, jeśli pragnie zająć słuchaczy. A jednak przywilój poety nie zwalnia go wcale od obowiązku służenia sztuce w imieniu piękna. Wszak on ma naprawić nieład romantyczny, usiłując przywieść rozmaitość porywów uczuciowych do znaczenia wykształtów skończonych. Wypadnie mu nieraz podjąć pracę mozolną, by mógł wzniosłość i wyrazistość ująć w karby przedstawienia. To też poezją muzyki romantycznej najlepiej wydatniać może tylko wyzwoleniec szkoły klasycznej, który potrafi spajać dźwięki harmonii rozległej i umiejętnem zastosowaniem gry wypukłej nadać wysoką wartość nie jednej kompozycji źle pojmovanej. Wykonywanie muzyki w stylu romantycznym wymaga ćwiczeń długoletnich i dojrzałości. Trzeba posiadać skalę sił, zawartą pomiędzy uderzeniem herkulesowem a dotknięciem aksamitnem kobiety, by podolać trudnościom techniki, opartej na wyszukanych dźwigniach sensualizmu.

Że ów kierunek sztuki, nawet realistycznie ukrzepiony, zasad szkolnych nie posiada, dla tego pedagogicznym właściwie nie jest. Czyliż przeto lekceważyć należy wpływy muzy nie-klasycznej? Rynajmniej. Ona kształci uczucia, ilekroć młody uczestnik zbliża się do niej jako przygotowany do ślubów kochanek. Ona zamienia radość młodzieńczą, ów promień jednobarwny, złocisty, jaki wynika z równowagi estetycznej, na mnóstwo związków rdzennych i uniesień przyczynowych. Należy wszakże ów promień posiadać, bo w romantyzmie są noce ciemne i zasadzki zgubne. Przewodnictwo powinno dać wskazówki, rzucające światło na osobliwy stosunek muzyki do poezyi, a mianowicie na żywotność wykształtów psychicznych, które odtwarzać należy za pomocą czytania i pięknoznawstwa. Romantyzm oddziaływa potężnie na system nerwowy. Nie dziw iż staje się przyczyną owych upojień

obezwładniających, które muzyk roznamiętniony rad przedłużyć, zapominając o warunkach równowagi fizyologicznej. Fortepianista nowoczesny wiedzieć nie chce, że w imię rozkoszy coraz despotyczniejszej okrada władze szachetne na korzyść siły mięśniowej, że wyrazistość harmonii, zjeżonej rozdźwiękami a nierówną, raz subtelną jak pajęczyna, raz chmurną i weszbraną, spowodowuje rozkład strun uczuciowych, które też pękać muszą z jękiem, zwanym tęsknotą. Tej choroby unikać należy, bo ona nieuleczalna i wtrąca pokolenia całe w otchłań pesymizmu.

BOHDAN ZALESKI.

(Wspomnienie pośmiertne).

PRZEZ

Sewerynę Duchińską *).

III.

W dniu 8 września 1831 roku, Bohdan Zaleski z wielu innymi opuścił Warszawę; przez Zakroczym udał się do Prus, ale tam nie pozostał, od granicy zawrócił w inną stronę, pospieszył do Lwowa. Zastał tu miłego sercu Józefa Zaleskiego, którego, jak mówiliśmy, poznał u brata w Krzewcu, a później spotykał chwilowo w Warszawie. Pociąg, jaki przy pierwszém poznaniu złączył małego ucznia humańskiego z okrytym ranami wiarusem napoleońskim, wzmocnił się we Lwowie. Z sercem pełném miłości obaj poślubili sobie braterstwo i dotrwali w niém wiernie. Do każdego z tych ślubnych braci zastosować możemy słowa Mickiewicza:

Szczęśliwy na ziemi
Kto świętą przyjaźń zawarł ze świętymi;

bo jeśli praktyczniejszy i więcęj doświadczony Józef czuwał jak ojciec nad Bohdanem, to znów Bohdan Zaleski, przejęty na wskroś duchem religijnym w domu ciotki Jasięńskiej, rozdmuchał w płomień wiarę przygasną nieco w sercu dawnego legionisty. Obaj dopełniali się i uświęcaли nawzajem.

Krótki czas spędzony we Lwowie, obfity był w różnego rodzaju przygody. Śpiewak cudnych dumek ukraińskich znalazł tu liczne

*) Dokończenie— patrz zeszyt za m. maj r. b.

grono wielbicieli. Do tych należał Józef hr. Borkowski utalentowany tłumacz pieśni nowogreckich i ztąd nazwany grekiem. Usprawiedliwiała tę nazwę sama powierzelichowość: rysy miał pociągłe, klasycznie piękne, cerę smagłą, oko czarne pełne wyrazu. Zył w sposób bardzo oryginalny, jak nam opowiadał Zaleski. Zajmował wspaniałe mieszkanie matki, w ogromnym salonie pod żyrandolem kazał postawić łóżko, przy nióm stół; wątki już na zdrowiu tu pracował, nie poruszając się z miejsca.

Dnia jednego Józef Borkowski zaprosił Zaleskiego do siebie, chcąc mu dać poznać przekłady greckich poetów. Wśród najzapalczyszej deklamacyi, siedemnastoletnia panienka, siostra jego otwiera drzwi cichutko, skinieniem daje znak poecie naszemu, aby zbliżył się do niej. Podaje mu obie ręce z uśmiechem.

Po chwili spostrzega Borkowski, że nie ma przed sobą słuchacza; obraca nagle głowę, cóż widzi? ręce jego splecione z rękoma siostry.

— A z kąd-że wy znacie się z sobą? zapyta zdziwiony, ja właśnie miałem zamiar przedstawienia cię dziś siostrze mojej. No proszę, jakie to szczęście poetów!

Jakoż w rzeczy samój, nie pierwsze to było spotkanie. Widzieli się już z daleka może nie raz, a lubo słowa nie wyrzekli jeszcze do siebie, oczy ich zbiegły się już nawzajem. Cudne dumki śpiewaka „Rusałek“ porwały wyobraźnią panienki, a zasługi poety na inném położone polu tém silniej przemówiły do jój serca.

Wszystko jednak na tém się skończyło. Pobyt Zaleskiego we Lwowie zwrócił uwagę władz miejscowych; wkrótce potem zatrzymany, odzyskał wolność dzięki usilnym staraniom Wacława Zaleskiego, ojca dzisiejszego namiestnika.

Panna Borkowska poszła niebawem za męża, za bogatego obywatela z Galicyi pana Niezabitowskiego. Żyła z nim tylko sześć miesięcy. Po śmierci męża urodził się syn, lecz i ten wkrótce umarł. Ogromny majątek spadł na matkę. Młoda wdowa nie weszła w powtarzalne związki. Zamiłowana w literaturze wiele świadczyła akademii lwowskiej, liczne ufundowała stypendya. Odtąd unikała spotkania z Zaleskim, aby, zdaniem jego, jak Aldona na wieży, nie zatrzeć mu obrazu, który tak uroczo odbił się niegdyś w wyobraźni poety-entuzjasty. A może téż i sama, jak mówił Zaleski, nie chciała doznać podobnego zawodu, na widok starca z siwą brodą i pooranym czołem.

Z łałem w sercu poeta nasz opuścił Lwów w towarzystwie Worcestera. Józef Zaleski pozostał jeszcze w Galicyi dla urządzenia spraw majątkowych, poczem miał pospieszyć do brata. Zatrzymał się Bohdan Zaleski w Krakowie na dzień jeden. Ukradkiem pobiegł na Wawel, ukląkł na grobie Kościuszki, gorącemi oblewał go łzami. Te łzy nie uszły pilnych oczu, zwróconych na niego. Zmuszono go niezwłocznie opuścić Kraków; wyjechał do Paryża.

W zgiełku wielkiego miasta czuł się Zaleski dziwnie osamotnio-

nym. „U nas inaczej! inaczej! inaczej! powtarzał sobie w duchu, zadumany o drogiej Ukrainie. Wkrótce jednak ożywiło go spotkanie z Mickiewiczem. W wiele lat później opisał tę chwilę w liście do syna wielkiego poety.

„Z różném powodzeniem ale spótcześnie, pisze Zaleski, na dwóch krańcach ojczyzny, i wielki Mickiewicz i ja, bezwiednie o sobie jeliśmy się swojskiej lutni, spótcześnie téż po pierwszych rozdźwiękach, wywiązał się pomiędzy nami sympatyczny duchowy prąd. Na dziesiątek lat wprzódy, zanimeśmy się poznali i zaprzyjaźnili, kochałem już Mickiewicza i wielbiłem, nawzajem od niego ceniony i miłowany. Z Wilna, Odessy, Moskwy i Rzymu, za pośrednictwem spólnych znajomych, jako to Józefa Jeżowskiego, Bonawenturowej Zaleskiej, Joachina Lelewela, Waleryana Krasińskiego, A. E. Odyńca, Stefana Witwickiego i innych, wywiadywaliśmy się ciekawie o sobie i znosili się w rzeczach parnaskich. Pierwszą wileńską edycją poezyi, a potém Sonety Krymskie, Wallenroda i wydanie pism petersburskie, przysłał mi Mickiewicz zaraz po wyjściu z druku do Warszawy, z pochlebnyemi własnoręcznymi dopiskami. Za przybyciem do Paryża w roku 1832-im prosto z dylizansu przyszedł do mnie z Joachimem Lelewalem, który sam jeno cichaczem dla sprawienia mi niespodzianki, czekał na Mickiewicza w biurze messażeryi. Od razu stanęliśmy na stopie przyjacielskiej. W dniu zaznajomienia się czytał mi do późna w nocy świeżo napisaną w Dreźnie precudowną swoją trzecią część „Dziadów.“ Odtąd żyliśmy, rzec można, nierozłączni, w spółce duchowej z kilkoma jeszcze druhami.“

Do innych oddalonych przyjaciół pisywał Zaleski długie listy: obznajmiał ich z ruchem politycznym i umysłowym. Krew żartko kipiała w piersi młodej: stan gorączkowy podniecały burze, wzbierające w powietrzu. Nieraz téż ostre słowo wybiegło z pod pióra poety, ale po chwilowém uniesieniu następowała szczerza skrucza. Zobaczmy jak Zaleski określa sam siebie w liście do Ludwika Nabielaka, przebywającego w Szwajcaryi w końcu 1832 roku.

„Nie pamiętam już com do ciebie pisał; może się uniosłem, może niesprawiedliwie! Przepraszam cię w zupełnej skrusze i pokorze serca za wszystkie przyostre słówka, jakie w ówczesnym kapryśnym i romansowym humorze moim wymknęły mi się nieumyślnie z pod pióra. Poeta i ukraińcie! W podwójnej takiej skórze z natury muszę być żywy, fantastyczny, dziwaczny—i często brać na kiel, jak brat—koń tabunowy. Drażliwy i drożący się jak rozkochana dziewczyna,—jak ta w miłości, tak ja w przyjaźni lubię dręczyć się i dręczyć drugich, a dalibóg! sam nie wiem dla czego i na co? Chyba dla przyjemności czulszej potém zgody. Cóżkolwiek bądź, taki to jest chleb mój powszedni—twardy, obozowy, który nie bardzo tuczy, ale krew utrzymuje wiecznie w potrzebnym ruchu i cieple. Kochający przyjaciel po mojemu, płomiennie, bo przyjaźń u mnie jest namiętnością; biada wam i mi! jeśli coś nieczystego spostrzege. Mam osobno prorockie uczucie prawdy i wszystkie zmysły przez poczuję jak instru-

ment ograne, tak że dźwięk, woń, barwę czuję pod palcami memi. Słabsze uściśnienie ręki, gra fizyognomii, promień nieco ukośny oczu, wyraz ust, głosu i t. d. nie prześliznie się płazem przed mojem baczeniem. Raz między tysiącem mogę się omylić i przypuszczam, że mnie się to wydarzyło z tobą w Zurychu czy Baden. Kochany Ludwiku! żałuję za grzechy. I oto w téj chwili zadałem sobie strzelistą pokutę. Mimo niezdolnego bólu głowy, postanowiłem koniecznie napisać list do ciebie. Piszę tedy jak w zaćmieniu, zielonym atramentem na żółtym papierze; ale piszę, osiodłałem wolę moję i choćby miała pęknąć czaszka, nie zatrzymam się w drodze...

...Żyję jak pustelnik, sam, wśród pójczyznych, porodzinnych, pomysłonych moich pamiątek. Wiele piszę. I pieśni moje, jak wody strumienia, w miarę swego łożyska, płytkie to głębsze, mętne to jasne, odbijają atoli coś z blasku i barwy nieba i okolic, przez które płyną i dźwięczą. Wieczory przepędzam sam na sam z Adamem Mickiewiczem. Kochamy się jakby rodzeni bracia, którzy się poznali dopiero z sobą na wygnaniu, w nieszczęściu i sieroctwie. Drogi nieoszacowany nasz Mickiewicz! Jak świat—wielki, cudowny poeta i człowiek. Mam u siebie jego rękopisma, które na kilka grubych tomów wystarczą. Jaki skarb dla literatury polskiej! Dziady, będzie to olbrzymie, oryginalne, narodowe, poema, coś nakształt Divina Comedia nasza. Ogromne ramy, które wszystkie światy poezyi i filozofii obejmą. Ani się domyślisz treści, ani podobna dać o nięj wyobrażenia. Jakiemi słowy odmalować złotą nić, która przechodzi przez środek tylu różnych zdarzeń i uczuć! Bohaterami poematu są Bóg i sam poeta. Na klęczkach czytałem drukowane i niedrukowane części poematu. Genialne, szekspirowskie sceny!

Po przybyciu do Paryża w końcu 1832-go roku, Mickiewicz zaczął się pilnie „Panem Tadeuszem,“ którego plan obmyślił już w Poznaniu i tam nakreślił już początek poematu. W pięćdziesiąt lat potem Zaleski, w innym liście do syna poety, opowiada jak w oczach jego tworzyło się i rosło arcydzieło. Przytaczamy ustępy z tego listu, który uważamy jakoby piękną kartę, wyrwaną z autobiografii ukraińskiego wieszca. W każdym słowie jego drga najwznioślejsze uczucie, miłość dla twórcy poematu i zachwyt pod wpływem arcydzieła, które miało stać się chlubą literatury naszej.

„Zajęty wydawnictwem „Dziadów“ i poezyi Stefana Garczyńskiego, mówi Zaleski, użalał się często Mickiewicz przed przyjaciółmi, że te zajęcia dławiały mu w pielnuszkach Tadeuszka. W pogodniejszych jednak godzinach ówczasowego a z znojnego życia dorzucał po kilkadziesiąt wierszy do swéj „ulubionéj powieści“ jak ją sam nazywał.

Otaczało już wtedy Mickiewicza kilku rodaków, do których przyłączył się sercem. Bliższe to, niejako przyboczne grono składali: Antoni Górecki, Ignacy Domejko, Bohdan Jański, Stefan Zan, ja, a nieco później Stefan Witwicki i brat mój Józef. Mieliliśmy wolny przystęp do Mickiewicza o każdej godzinie dnia, czy dumał, czy pisał, czy obiadował. Używaliśmy też swego przywileju i często nadu-

żywali, osobliwie przynosząc niepotrzebne rozgwary z bruków paryzkich. Wielkoduszny i czuły Mickiewicz pobiłażał wszystkiemu, kochał nas pomimo nieznośnych wad tego lub owego w gronie. „Ulubiona powieść“ niejednokrotnie szkodowała i od przyjaciół. Najwięcej nadokuczałem Mickiewiczowi ja z mojem politykowaniem.“

Był to w rzeczy samej czas wielkiego wzburzenia w umysłach: przy ulicy Taranne garstka rozbitków naszych toczyła namiętne spory: echo ich dobiegało Mickiewicza, a kto wie, czy nie znalazło oddźwięku w owym wykrzyku Dobrzyńskich: „Hejże na Soplicę!“ Nasz Zaleski, śpiewny słowik ukraiński, ulegał mimowoli tym panującym prądom, wyparty z gniazda szamotał się jak drudzy. Miejscowe zawichrzenia utrzymywały jeszcze ten zamęt. Tron Ludwika-Filipa chwiał się na trzęsawisku; ledwie rozwalone barykady wznosiły się na nowo. Ład społeczny widocznie był zagrożony. Wśród takich burz zewnętrznych Mickiewicz tworzył swą piękną epopeę.

„Z początku pisanie szło twardo, mówi Zaleski, aż rozgrzał się w duchu i wkrótce tém obficiej dlań wytrysło źródło Hypokreny: napisał drugą i trzecią księgę Pana Tadeusza. Przy czytaniu piękniejszych ustępów z poematu, którego nie znaleźmy jeszcze rozmiarów, ani obejmowali całości, napędzał i nas do pracy, osobliwie do pracy wewnętrznej nad sobą. Radził, abyśmy zaniechali na czas reformy społeczeństw, aż on i my z nim zreformujemy się sami wprzód, aż rozniecimy w skołatanych sercach stygnącą wiarę, miłość i nadzieję. „Smutni, chorzy, my zamiast cieszyć się i leczyć, wolimy wzajem siebie smuć i kaleczyć!“ W rzeczach wiary wszyscyśmy już wtedy stali przy kościele, z odcieniami różnych osobistych uwidzeń przeciw księżom, które druh Jański usiłował szarmonizować. Około tego czasu zaczęliśmy u Mickiewicza wspólne modlitwy, które wygłaszał najstarszy wiekiem Antoni Gorecki z osobliwem namaszczeniem. Ku wiośnie zapachniał Mickiewiczowi las, opanowała tęsknota za wsią, poetycka tęsknota, którąśmy obadwaj zawdy po bratersku współczuli. Ogród Luksemburski wtedy okazały, przestronny, zaciszny, nęcił go ku sobio głównie z powodu Pana Tadeusza.“

W onym to czasie Zaleski powitał z radością przybyłego z Galicyi brata Józefa. Zamieszkał z nim w Sévres pod Paryżem, nie przerwało to jednak najściślejszych stosunków między poetami. Zaleski odwiedzał raz po raz Mickiewicza, który rozgościł się chwilowo u Domejki, ucznia szkoły górniczej, tuż obok ogrodu luksemburskiego, gdzie musiał po raz drugi tłómaczyć Giaura, zatraciwszy rękopism ustąpiony wydawcom.

„Po niemiłej przerwie, mówi Zaleski, z wypogodzonym umysłem zasiadł Mickiewicz do bogostawionego swego arcydzieła i natchnienie powróciło mu wnet strumieniściej. Wtedy to pisał po sto i sto pięćdziesiąt wierszy na dzień za jednym zamachem, które nam odczytywał wieczorami, jeszcze nie zaschłe na papierze. Podziwialiśmy ich świeżość, krasę, barwę i woń rodzinną. Rozdobruchany

Mickiewicz zachęcał rymujących swoich przyjaciół, aby przynosili mu luźne rapsody szlacheckie, które on wcieli do swęj powieści, na pamiątkę stosunków między nami. Tym to sposobem kilkadziesiąt wierszy Witwickiego zostało się w opisie matecznika wplecionych tak zgrabnie, że zaledwie je kto rozróżnić zdoła. Zaczęły się skwary letnie. Wieszczył pisał a pisał, korzystając z dobrego usposobienia. Rzadko wychodził z domu, chyba wieczorami na przechadzkę. Kiedy niekiedy po większém znużeniu i wyczerpaniu, zabiegał na dzień jeden i drugi do mnie, mieszkającego w Sévres, jak nawiązał na wypoczynek i dla chłypnięcia świeżego powietrza. Wiedziałem doskonale o każdym przyroście Pana Tadeusza. Już róg myśliwski pana Wojskiego grał mi bez ustanku w stuchu i sercu, i gwary braci szlachty zaściankowej poczynałem rozumieć. Księga czwarta już była napisana a i piątą wykończył. Przyjaciele życzyli końca Panu Tadeuszowi, bo Mickiewicz wędznął nam i sechł w gorączkowej pracy.

Smutna okoliczność wytręciła wtedy pióro z rąk poecie. Odbiera z Drezna list, że Stefan Garczyński bardzo słaby, wyjechał ku Szwajcaryi. Mickiewicz bez namysłu spieszy do gasnącego przyjaciela, przewozi go z miejsca na miejsce, zdążają oba do Włoch. Zatrwożony Zaleski pospiesza w te tropy za Mickiewiczem, pragnie, jak mówi, pielęgnować trzech biedaków: „Stefana, Mickiewicza i Pana Tadeusza.“ Wielka to podróż, nie było wtedy dróg żelaznych, ale miłość bratnia łamie najtrudniejsze zapory. Listy pokrzyżowały się, tymczasem Stefan umarł w Awinionie, Mickiewicz pogrzebał go ze łzami i wyjechał, lecz gdzie? niewiadomo! Długo Zaleski goni za nim na domysł; szukają się nawzajem, bo i Mickiewicz wie, że opuścił Paryż; nakonec znajdują się w Lyonie.

„Przechodząc około jakiegoś hotelu, mówi Zaleski, zaoczyłem Mickiewicza w oknie, z papierem w ręku; zastałem go dostownie zaciętrzewionego nad panem Tadeuszem. Wieczorem tegoż dnia, ostatniego września 1833 roku, puściliśmy się w podróż ku Paryżowi.

Od razu wpadł Mickiewicz na swój trop i cieszył się najlepszém natchnieniem. Pan Tadeusz wystąpił teraz dopiero w zarysach wyrażnych architektury swęj epicznej. Mistrz potężny opanował całkiem swe narzędzie: język, rytmy, rymy, jak roztopiony kruszec, lały się w ogromne tygły, że na skinienie czarodzieja, posąg, dzwon, lub działo wyskakiwały w mgnieniu oka już z pod ziemi. Rozkoszowaliśmy się wspólnie z Mickiewiczem, spożywając te nowalie poetyckiego jego geniuszu. W czasie odczytów żyliśmy jak przemienieni, jak przeniesieni cudownie do Polski między braci i siostry, tak w „Panu Tadeuszu“ wszystko jest żywe i swojskie. Zapomnieliśmy bied i trosk powszednich, zapomnieliśmy piekących tęsknot porodzinnych. Unosiliśmy się chlubą Mickiewicza, a zarazem dumą narodową, że oto Polska posiada swęj epopeę. Błogie wieczory u Mickiewicza nie zamierzchną nigdy w pamięci przyjaciół. Nuciliśmy pieśni litewskie, białoruskie, ukraińskie w chorowód za wieszczem. Mickiewicz opowiadał nam

ustępy z dziejów swęj młodości w Nowogródku, Wilnie i Kownie, wzywając nawzajem do poufnych zwierzeń, że każdego z nas poznał niejako na wskroś. W uroczystych godzinach z lubością rozprawiał o tajemnicach ziemskiego życia, o świecie duchów, słowem do subtelności mistycznych miał już od owego czasu niepowściągnięną skłonność. W codzienném obejściu z nami był nad podziw dobrotliwy, słodki, że pomimo woli Witwickiemu i mnie przypominał się do broduzny Kazimierz Brodziński. Umiął każdemu umilać dolę wygnańca, zażegnać bóle i boje wewnętrzne, których nam nigdy nie brakło. Z tego okresu czasu Tadeuszowskiego ileż osobiście zadłużyłem się Mickiewiczowi. Nosilem ucisk w sercu, bolesny jak zastrzał. Otóż zabliznił tę ranę moję czułością brata i pieśczoćtami siostry. Łzę zcaćowaną wtedy, po dziś dzień odwzięczam łzami przed Bogiem za jego duszę.“

Zima bardziej jeszcze ścieśniła przyjacielskie kółko. Bracia Zalescy opuścili Sèvres, osiedli w Paryżu i znów codziennymi byli gośćmi w domu Mickiewicza. Z uniesieniem Zaleski wspomina tryumfalny dzień, kiedy wieszcz ukończył wielki poemat.

„W połowie lutego 1834 roku, mówi on, wieczór pod szarą godzinę, kiedyśmy się już byli zebrali i po cichu gwarzyli, widząc gospodarza w drugim pokoju przy kominku, szparko machającego piórem powstał od stolika Mickiewicz z rozpromienioną twarzą i zawołał ku nam: Chwała Bogu! oto w tej chwili napisałem pod Tadeuszem wielkie finis. Radośnie za nim powtórzyliśmy: Chwała Bogu! i wykrzyknęliśmy trzykrotny wiwat, z oklaskiem przy uściskach serdecznych. Nazajutrz staropolskim obyczajem wysłuchaliśmy Mszy Ś-ęj, a potem zaprosiliśmy go na skromną ucztę.

„Żądał odtąd Mickiewicz, abyśmy wcześniej do niego przychodzili, odbędzie się bowiem jeszcze jedna ceremonia, to jest imienin i chrztu pana Tadeusza. Tak nazwał autor niezbędne poprawki w poemacie. W pierwotnym tekście stały imiona własne i rodowe osób z przeróżnych miejscowości na Litwie, które należało koniecznie przekreślić, to jest zastąpić wymyślonymi. Oczywiście na pierwszym zaraz posiedzeniu nawymyślaliśmy bez liku dziwnych imionisk, które Mickiewicz rozgatunkował i przyjinował je lub odrzucał. Najpożyteczniejszemu mu w tém służył Domejko, który jako Litwin i współpatriotnik pana Tadeusza, doskonale znał ojczyście strony. Mickiewicz wymagał także od nas, zaklinając na przyjaźń, abyśmy póki czas po temu, wskazywali mu do sprostowania ważniejsze błędy, bądź w duchu bądź w treści, bądź w formie, bądź to nakoniec w wyrażeniach. Wymawialiśmy się w tej mierze i targowali z nieudanym sromem, ale w końcu musieliśmy uleść jego niezłomnej woli. Mickiewicz z piórem w ręku sam czytał „Pana Tadeusza,“ księgę po księdze, a kiedy uczuł zmęczenie odsuwał rękopis ku Witwickiemu lub ku mnie do czytania. Z początku branie inicjatywy tej cenzorskiej szło twardo, ten to—ów bąkał jakieś uwagi, które Mickiewicz po krótkim

namyśle uznawał za niesłuszne lub słuszne i natychmiast mazał lub podkreślał do poprawki, a czynił to z nieocenioną skromnością a nawet z pokorą. Nieraz w czasie czytania wyrwał mi rękopis i przekreślał piękne wiersze bezlitośnie. Wypraszałiśmy je najwymowniej od śmierci. Mickiewicz zbywał głębokiem słowem: „Wiersz umorzony jak ziarno pszenicy rozradza się tém bujniej.“

Ten obraz genezy „Pana Tadeusza,“ nakreślony z tak głębokiem uczuciem, jakże cudne światło rzuca na ówczesne stosunki braci po piórze! Skupieni około wieszczą, patrzą nań z młością i dumą, nie pytają czy aureole ich nie zbledną w słonecznym blasku jego chwały. Wyższa myśl ożywia ich i raduje: naród pozyskał arcydzieło!

Lato rozproszyło przyjaciół. Życie paryzkie wstrętném było Zaleskiemu; schronił się więc do Sèvres z bratem Józefem. Mickiewicz pozostał w Paryżu dla dopilnowania druku „Pana Tadeusza;“ ale odwiedzał często przyjaciół, niekiedy nawet przybywał na czas dłuższy. Zaleski wspomina z uczuciem te miłe odwiedziny. Wiosna w tym roku nadzwyczaj była pogodna i ciepła, w pobliskim Wersalu pełno przebywało życzliwych druhów. W Marly mieszkał Maurycy Mochnacki, zagrzebany w pracy około swój historyi. Dwaj poeci nasi, dalekie odbywali przechadzki po lasach okolicznych; sam Zaleski mógł w chodzeniu sprostać Mickiewiczowi. Zachodzili nieraz do Saint Germain, odwiedzając po drodze Mochnackiego i innych rodaków, gwarząc i dumając o tém, co pozostawili daleko.

Mickiewicz chętnie przebywał u Zaleskiego, raz że kochał go całym sercem, a potem, że w domu jego spotykał nieraz typowe postacie ukraińców, którzy, garnąc się do druha, przynosili z sobą jakiś powiew stepowy. Do tych należał major Kosmański, vulgo Kosmans, butna postać, oryginał niezmiernie wymowny, zapalający się za każdym słowem.

Razu jednego Mickiewicz przyszedł do Sèvres z Paryża piechotą. Dzień był skwarny: czując się zmęczonym, położył się na łożku i począł drzemać. W tém słyszy w przyległym pokoju, jak ktoś rozprawia z niezmiernym zapałem i co chwilę powtarza: „niech bombę połknę.“ Zaciekawiony Mickiewicz pyta, kto tam jest: Zaleski przedstawił mu Kosmansa. Buńczuczna postać uderzyła poetę.

— „Powiedzże mi bracie, kto ty jesteś, zagadnął.

Kosmans nastroił minę uroczystą, pokręcił wąsa, podniósł głowę do góry.

— Jestem, zawołał, synem nieszczęścia a kapłanem wolności!

Mickiewicz uśmiechnął się, ale upodobał sobie ukraińca. Wyciągnął go na słowa, śmiał się szczerze z jego prawdziwych a często zmyślonych dykteryjek.

Zaleski znał Kosmansa w Warszawie. Raz na krótko przed opuszczeniem kraju, wszedłszy do kawiarni zastał go perorującego z wielkim ogniem i żywą gestykulacją, w obec towarzyszków przy

szklankach. Na widok Zaleskiego, Kosmans przerywa mowę, biegnie do poety: „Oto nasz wieszcz i nasz wódz!“ woła z uniesieniem i upada mu plackiem do nóg. Obecni otaczają mówcę, a on im prawi, jak Zaleski na czele jakiegoś oddziału dokazywał cudów waleczności. Określił to w tak żywych i świetnych barwach, że zelektryzowani słuchacze rozszlochali się mimo, że poeta powtarzał bezustanku, iż to wszystko wierutna bajka.

Ale oprócz Kosmansa i innych podobnych mu typów dni bezpowrotnie zaginionych, odwiedzali Zaleskiego w Sèvres inni jeszcze ukraińscy druhowie. Dot akich gości należał także słynny powieściopisarz Hohol. Ten sygnął mu pełną dłonią macierzanki z nadnieprza i stęsknionego do mogił i limanów skapał, rzec można, w domowej atmosferze. Długie rozmowy z Hoholem, w których i Mickiewicz brał udział, wprowadziły Zaleskiego w tę czarodziejską krainę mów i marzeń, opiewaną w owiej nieporównanej dumie.

U nas inaczej! miłość i tęsknota
To jak dwie prządky naszego żywota,
Bożeś mój Boże! łzami modłę Ciebie,
Jak umrę daj mi ukraiń w niebie;
Nie ma bo rady dla duszy kozaczéj,
U nas inaczej! inaczej, inaczej!

Na zimę Zaleski z nieodstępnym bratem Józefem powrócił do Paryża. W końcu tegoż roku obaj z Mickiewiczem i kilku innymi towarzyszami zawiązali po spowiedzi w dniu 19 grudnia 1834 roku bractwo p. t.: „Bracia zjednoczeni w celu chrześcijańskim i polskim ćwiczenia się w pobożności tudzież pobudzania do niej innych rodaków“. Akt założenia, skreślony przez Witwickiego, pozostał w rękę Zaleskiego. Podpisali go Antoni Gorecki, Adam Mickiewicz, Stefan Witwicki, Cezary Plater, Bohdan i Józef Zalescy. Wkrótce przyłączyli się do nich Ignacy Domejko i Bohdan Jański. Ten ostatni w żarliwości ducha, z przybranymi do boku swego Hieronimem Kajsiewiczem i Piotrem Semeneńką, rozszerzył wkrótce zakres działania między młodszą bracią na szerszą skalę w tak zwanym klasztorze swoim. Z wybrańców tego klasztoru, spowinowaconego z powyższym bractwem Zjednoczenia wytworzył się następnie zakon ojców Zmartwychwstańców.

Następnego lata, Zaleski wyjechał z Józefem nad Ren w okolice Strasburga, krótko tam jednak bawił, gdyż w końcu tegoż roku 1835 widzimy go w Paryżu, w chwili gdy umarł Maurycy Mochnacki. Opowiadał nam bolesną niespodziankę, jaka go naówczas spotkała. Dostąpił jeden polak, obecny przy śmierci Mochnackiego, powziął szczególną myśl: uciął umarłemu głowę i przywiózł ją do Paryża, dla modelowania. Zaprosił do siebie kilku bliższych znajomych, między którymi był nasz poeta. Gdy się zebrali, rozwinął w obec nich płótno,

i ukazał im dobrze znaną głowę, którą śmierć okropnie zeszpeciła. Widok ten przeraził obecnych, i na pocie naszym zrobił najsmutniejsze wrażenie.

IV.

Zgiełk paryzki coraz to bardziej ciężył Zaleskiemu. Duch jego potrzebował ciszy i głębokiego skupienia. Tęsknił do pieśni jak ptak więziony w klatce, pragnął rozwinąć skrzydła i rączym polotem wybiedz w nieskończony świat ideału, od którego życie powszednie nazbyt go odrywało. Z wiosną r. 1836 dwaj bracia opuścili na długo Paryż, pospieszyli nasamprzód do Strasburga, potem zamieszkali w cieniu gór Wogezkich, to w Robertsau, to w Molsheim, gdzie prowadzili życie pustelnicze. W tój to pustelni Zaleski czuł się prawdziwie natchnionym, tu wyśpiewał cudny poemat: „Duch od stepu,“ tu również utworzył wielki poemat historyczny p. t. „Potrzeba zbarzka.“

Odwiedził przyjaciół Ignacy Domejko, który zdeptał Wogezy w celu geologicznych poszukiwań. W liście do Mickiewicza geolog nasz wystawia pobożny lud góralski. Do listu tego przypisuje się wesoło nasz poeta. Słowa jego świadczą o niesłychanej sile twórczej, jaką uczuł i rozwinął w tём życiu pustelniczém.

„I ja tu, Mickiewiczu kochany, pisze Zaleski, mieszkam w cichój i pustój okolicy u podnóża Wogezów. Był czas w Paryżu, kiedy myślałem, że już zapomniałem wierszować. Gdzie tam! kropię i kropię, jakby upust ze łba wystrzelił; rymuję okwiciój niż przez cały wiek, okwiciój niż ty kiedyś w Dreźnie. Dobrzem zrobił, zem się nie kwapił z drukowaniem dawnych moich bredni; w dzisiejszych rzecz, duch i forma więcój warta. To, co piszę, będzie obszerne, obszerniejsze może niż „Pan Tadeusz.“ Jestem już w połowie, a daj Boże skończyć. Treść wzięta z początku 1650 roku. Wesele i smutek narodu. Dni moje pogodne i chmurne, wiara i miłość wsiąkają tam jak w gąbkę, zapachną na milę. Daj Boże tylko skończyć. Wyobraźcie sobie, że ja wojuję gdzieś na straszliwój wyprawie. Zmówcie więc pobożnie o r e m u s.

Podobno, że naszych braci wiernych ciemiężą, nie ma rady; cierpmy, bośmy długo grzeszyli. My choć żyjemy na ustroniu, złość ludzka i tu nas nawiedza. Nie może darować, że modlimy się i siedzim cicho. Mniejsza, nie warto o tём wspominać. Odkąd zostałem po prostu literatem, nie dbam na krzyki.

Trzaskajcie gromy zgubnemi
Pioruny niebios i ziemi,
Oka nie zwróć od księgi!

Najzapalczywsze słowa, jakie w całym życiu wyrzekł ś. p. Brodziński, stały się godłem mojem.

Co też tu za cudowne widoki, naprzykład z góry ś-tój Otylii. Myślę osiąść w klasztorze. Dowiesz się od Żegoty, ale co tam wiedzą geologi, wilki, astronomy i tym podobni poganie.

Rok 1836 był dla Bohdana Zaleskiego dobą zupełnego rozkwitu poetycznego. „Duch od stepu,“ długo zapewne wypastewany w duszy, wylał się z pod jego pióra w ciągu kilku dni, jak nam powiadał o tém. Ów liryczny poemat, pełen twórczej fantazyi, przesiąkły na wskroś duchem chrześcijańskim, zyskał serdeczne uznanie tych, którzy zdolni byli ścigać orła w wysokich polotach. Mickiewicz w prelekcjach zowie go utworem drugieję, to jest podniesionęj potęgi; utrzymuje, że Zaleski urosł tu w siłę i wzniósł się wyżej niż we wszystkich poprzednich utworach.

Cudnaż to owa „przygrywka do nowęj poezyi,“ w której syn Ukrainy, upowity w pieśń od dziecka, wypastowany na łonie Rusałek, napojony mlekiem dum i mleczem kwiecia, kołysany wiatrem stepowym, przy podźwiewku gęśli bojanowęj, ulata wysoko nad poziom i z wyżyn podstępnych patrzy na ziemię, przebiega dzieje ludzkości, to krwawe, to promieniste chwałą, to zanurzone w powodzi błędów, to rozkwitające na nowo, w miarę jak idą za głosem Bożym lub odwracają oczy od światła.

Ogół nie pojął cudnéj pieśni, nie mógł się do nięj podnieść. Bolał poeta nie nad sobą, ale nad tymi, którzy zrozumieć go nie umieli. Sercem rodzicielskiem ukochał on to dziecię ducha swego; na jednym z ofiarowanych egzemplarzy czytamy piękną zwrotkę:

I ja brzmiącą pieśń od młodu
Ogrywałem w jęk narodu,
Zwiastujący Boże dziwy,
To uczestnik chorowodu,
Rozmodlony, to senliwy
Wtórorałem wielkieję pieśni,
Którą bracia tu rówieśni
W świat posłali na podziwy.
Godyż, gody narodowe!
Między pary tam książęce
Ruską nutę, polską mowę,
Jak dwie siostry, dwie królowe,
W onem gody wiódł pod ręce.

Grzmiałaż pieśń! dodaje smutno, ale jesienny wiatr zadął, rozwiął pióra górnym latawcom i potargał ich wieńce.

Wczesna zamroź, mgły i deszcze,
Inne, inne, z zewnątrz dreszcze,
Spopieliły żary wieszczel!

W tymże roku w tężce samęj pustelni wogezkieję poeta nasz wys-

piewał wielki poemat historyczny, obejmujący do tysiąca pięćset wierszy, wspomnianą wyżej „Potrzebę zbarazką.“ Jest to opowiadanie kozaka po ukończonej wojnie. Poemat ten, z niewiadomych nam przyczyn, od pięćdziesięciu lat spoczywa w ukryciu. Ukaże się wkrótce jako pośmiertny upominek wieszczu naszego. Wydaniem zajmie się Teofil Lenartowicz zgodnie z wolą zmarłego poety.

Obok dwóch ważnych dzieł, wykonanych pod wpływem tak rozbudzonej siły twórczej, widzimy jeszcze rozpoczęty w tym czasie przekład rapsodów serbskich o bojach na Kossowém polu. Zaleski odczuł głęboko boleść serbów, pokonanych przed pięciuset laty, ową boleść, którą w ciągu wieków karmił się naród i rozwijał ją w pieśni dopóty, aż pieśń wydała owoc. Królestwo Serbskie utworzone wczoraj, nie jestże wynikiem owej boleści, wylewanej ze łzami przez liczne pokolenia! Odczuł nasz lirnik ważność tych pieśni, świadczy o tém precudnie dokonany ich przekład.

Świeża śmierć Brodzińskiego dała zapewne pobudkę Zaleskiemu do zajęcia się pieśniami bratnich plemion, które zmarły mistrz pierwszy ukazał w tłumaczeniu ziomkom, jako źródło żywój, odradzającej wody. Silniejszą pobudkę jeszcze dał mu prąd powiewający w czasie. Była to właśnie pora, kiedy idea narodowości, dawniej już podniesiona w teoryi, zaczęła rozwijać się na polu praktycznym u słowian południowo-zachodnich; dość tu przypomnieć usiłowania Gaja, powstanie pism peryodycznych w Zagrzebiu, ruch umysłowy w świeżo utworzonym księstwie Serbskim, wydawnictwa naukowe w Pradze i t. d.

W końcu lata rozspiewany lirnik opuścił z bratem pustelnię, pośpieszył do Ostendy, gdzie znalazł dla ducha nowy pokarm. Poznał tu siostrzenicę Józefa Zaleskiego, panią Dyonizę Poniatowską, kobietę głęboko religijną i wykształconą naukowo, z którą dozgonna połączyła go przyjaźń. Nazwał ją Beatrice swoją, w najbardziej uduchowioném znaczeniu słowa, to jest przewodniczką w świecie niebiańskich ideałów.

Z Ostendy bracia Zalescy powrócili do Alzacyi, zatrzymali się czas jakiś u Trapistów na Oelbergu; snać w skupieniu ducha i modlitwie chcieli usposobić się na pielgrzymkę do Rzymu. Pospieszyli tam wreszcie przez Marsylią. Jak głębokie wrażenie sprawił na Zaleskim ów Rzym od wieków panujący narodom, to jako potężny gród Cezarów, to jako potężniejsza ostoja świata chrześcijańskiego, wyraził to nasz pielgrzym w wierszu do Hamilkara (Stankiewicza). Cudnyż to ów obraz kolosum:

W krąg klatki

Szczwalnia na chrześciany, wielkich panów jatki;

Wojują z wiarą świętą, pokonaliz ducha?

Spytajmy wiatru, o czém w przysionkach tam dmucha...

Oto krzyż ubożuchny, niepyszny, drewniany
 Króluje w koloseum, a sprośne pogany:
 Ich cezary, tygrysy, lwy i zwierzętarnie,
 Jak plewy po wymlocie rozwiały się marnie.
 Po nocy idź tam dumać,—rozjęki tysięcy
 Słychać,—słychać oklasków grzmot i ryk zwierzęcy;
 Pomimo zgrozy lubość jakaś igra w łonie,
 O! ludożerców krwawych takąż noc pochłonie!

Ale wśród czarów pogańskiej, wśród cudów chrześcijańskiej Ro-
 my, dobiega poetę jakiś dźwięk swojskiej liry; słyszy sobótkę Jana
 z Czarnolasu, który jak on stapał po tych odwiecznych rumowiskach.
 Wita go słodką, pełną uroku pieśnią:

Janie! jako na ziemskiej, ciężkiej tu żalobie
 Matka twoja z Urszulką jawiła się tobie,
 Takż ty mnie nawiedzał... pamiętasz pachole
 Jako ongi przez bujne szalało gdzieś pole,
 Sierotka—och! zaledwie świecący się proszek,
 Prosił cię o dźwięk pieśni—u kolan pieścioszek,
 Tyś mnie nauczał mistrzu, po ojcowsku, czule,
 Bom sercem dziecka kochał ciebie i Urszulę.

Gdziekolwiek w wędrowce swojej poeta zwróci kroki, wszędzie
 go ściga drogi sercu obraz Ukrainy. Szeroka przestrzeń morza Śród-
 ziemnego, przedstawia się jego oczom, jak step szeroki, nieskończony.
 Ale wiatr ustał, na morzu cisza głucha... I czemuż to, pyta, nie szu-
 mią burzany stepowe?

Gdzież te wrące, grzmiące wały,
 Co jak tabun w stepach dziki,
 Białogrzywe swawolniki
 Tyle dni nam tu hasały?
 I łódź z nimi—jak na łowy,
 Niby sokół ponad głowy!

Burzy! burzy! milsza burza
 Niż ten pokój na otchłaniach,
 Niechaj wicher w żywe wzgórze
 Łódź pomiecie! niech rwie, nurza!
 Człowiek śmielszy w tych płasaniach;
 O! w uściskach śmielszy śmierci,
 Niż gdy w ciszy tak—bezwładnie
 Myślą—deskę swoją wierci,
 A drga sercem gdzieś—aż na dnie.

Dziwna zagadka serca ludzkiego; poeta spragniony burzy, nie

rzucał się przecież w wir życia. Za powrotem z Włoch, osiadł z bratem w odludnej pustelni, wśród nagich skał prowancek, w Endoume pod Marsylią. Rozśpiewał się tu na nowo, a pieśń jego w téj samotni, przy huku pobliskich fal morskich, spżozowem brzmiała podźwięki Ztąd rodem strzelisty wykrzyk „Sam z pieśnią:“

Tulę smutek i płaczę,
Bo jak pisklę sokole,
Tam na źerdzi,—to kracze,
Ale wyjdźmy no w pole,
Niech wiatr pocznie poświsty,
Step zapachnie ojczysty,
Nuta ozwie się w dumie,
Obaczmy w tym szumie!

Bracia! znacież Bojana?
Dziw omroczny,—wiesć stara
Jarych moich snów mara,
A słowiańska, kochana.
Bojan zmierzohłych stuleci,
Oho! leci—już leci!

Wieszcz ten, niby wcielona
Prawda Boża—w polocie
Jak kometa z ogona,
Trzęsie w koło gwiazd krocie;
Mieci wichry pod stopy,
Skrzydły bije w nieb stropy,
Gdzie po drodze zapuka
Wszystko na głos odpowie:
Starosławni ojcowie,
Z mogił wstają do wnuka.

Listy Mickiewicza przynosiły radość Zaleskiemu. Obaj tęsknili do siebie. Kiedy Zaleski oglądał się za druhem i zamierzał odwiedzić go w Paryżu, Mickiewicz ze swéj strony zapytuje go, co kosztuje życie w Endoume? radby, jak pisze, przyjechać tu z rodziną.

Zachwycał się Mickiewicz oryginalnością dumek Zaleskiego, ale gniewały go nędzne ich naśladownictwa, tak powszechne w tych czasach. W liście pisanym do Endoume, po przeczytaniu nowych poezyi w „Tygodniku petersburskim,“ chłoszcze żartobliwie tę nieszcześliwą modę. „Ukraińcy, mówi on, jak wsiedli na Zaleskiego, tak téż i jada, pokrzykując hop! hop! cup! cup!“ aż muie nakoniec rozgniewali. Cóż u licha, żeby im téż nic nowego do głowy nie przyszło! staje mi w myśli mania ballad niegdyś panująca. Kułakowski napisał balladę o szczurze, gdzie były kapitalne wiersze:

I strzyże uszami,
I kłapie zębami,
I kręci ogonem...

Warto, żeby ktoś napisał coś o hop! hop! aby tych pismaków z konia ukraińskiego zrzucić.“

Przyjazd Mickiewicza spełził na niczém, bracia pozostali sami. Żegnając w końcu cichą ustron, Zaleski upamiętnił ją śliczną pieśnią: „Nasze Endoume,“ poświęconą miłemu towarzyszowi.

Mój jedynaku, Józefie kochany,
W tém naszym Endoume sierocém,
Dwaj samotniki jako pelikany,
Ku sobie jeno klekoceć;
Zawsze to samo,—daleko od ludzi,
Niechciwi wielkich tam rzeczy,
Lecz nas natrętny pyszałek nie nudzi,
Ni nam bezbożnik złorzeczy.

Mokro coś w oczach, patrz-no w mój zakątek!
Gniazdko gdzieś w skałach—altanka,
Ileż tam codzień rozbrzmiewa pamiątek
Chrześcianina, kochanka.
Pieśń swojczysta, porodzina, święta,
Dźwięk, to wojenny, to czuły,
Te krasnopióre— z pod serca—piskłeta
W tém mi się gniazdku wykluły.
Kiedyś ta dziatwa moja mnie odleci,
Ku słońcu wionie świecąca,
Józefiel ojcu ukazesz w zamieci,
Które z którego miesiąca.

Niestety zabrakło dziś Józefa, aby nam wskazał, które z tych piskląt wyleciały na świat z prowanckiej pustelni. Pieśni Zaleskiego w ogólnym zbiorze lwowskim wyszły nie opatrzone datami. Niektórych tylko i to późniejszych lepij nam znany rodowód.

Po drodze z Endoume zatrzymał się Zaleski w Awinionie, odwiedził grób Stefana Garczyńskiego, a następnie grób Laury w Wokluzie; na pamiątkę przełożył sonet z Petrarki, ztąd pospieszył żywo do Paryża. Mamy w tych czasach własnoręczne jego zapiski, które tu powtarzamy.

„W Endoume wiele dumałem i wierszowałem. Owocem tego rozśpiewania się na pustyni, był spory zwitek rytmów, który żywnie pragnąłem co najrychlej pokazać Mickiewiczowi najpierwszemu. Jakoż w r. 1838 wróciliśmy z Józefem pod Paryż do Sèvres. Jak dawniej tak i teraz odwiedzaliśmy się z Mickiewiczem, nawzajem i nie-

mal codziennie. Mickiewiczowi podobały się pieśni moje, i rozgrzały go do tego stopnia, że wiele z nich nauczył się na pamięć od deski do deski. Odtąd ciemniejszy mnie codostównie o druk moich poezyi. Sam dobrowolnie zajął się wynalezieniem nakładcy dla mnie, i również w troskach nawet późniejszych i smutkach domowych nie zaniechał interesować się ich losem na świecie. Nadmieniam o tém dla tego, że jak ongi tak i po dziś dzień rozrzewniam się i buduję tą dobrocią serca dla mnie naszego wiekopomnego.“

W roku następnym (1839) widzimy dwóch Zaleskich w Fontainebleau. Tu odwiedzał ich często Mickiewicz. Przypomina Zaleski przechadzki z nim po lesie. W Fontainebleau, mówi on, przeżyłem z Mickiewiczem bodaj najmiłsze chwile na obczyźnie. Obadwaj mie waliśmy widzenia, sny, dużo natchnień, które przebrzmiały bez śladu w improwizacyach.“ Później w témże samém miejscu wydzwonił poeta śliczną pieśń do anioła, co przed laty, gdy brnęli obaj z Mickiewiczem wśród wrzosów i paproci, cudownie zsyłał im widzenia.

Pomnę, w odludziu ongi tém samém,
Ze spółtułaczem, bratem po lutni,
Och! z wieńconośném, wieszczem Adamem
Szliśmy pod ręce obadwaj smutni.

W tém, tyś aniele w jasnowiedzeniu,
Ponad głowami przemknął naszymi,
Wkroś promieniący, gęśl na ramieniu,
Bliżej i bliżej waleś ku ziemi.

Spojrzym—przed nami wzdłuż przestwór siny,
Step i na stepie Dniepr w skały pluszcze,
Dwa morza—Tatry—znowu równiny,
Piaستowe Gopło,—litewskie puszcze!

Obok tych słonecznych chwil, miał tu Zaleski inne pochmurniejsze. Dobiegały go zdala jakieś dotkliwe zarzuty; widzimy to z listu Mickiewicza, drukowanego w tym czasie.

„Że też ty bierzesz do serca broszury strasburskie, mówi Mickiewicz. Spotkałem Goszczyńskiego, żartowaliśmy z ciebie, żeś taki vates irritabilis. Zresztą niech sobie bazgrzą; my budujemy swoje, oni swoje, obaczmy czyja robota ostoi się. Mnie lżej teraz na sercu, kiedy mnie łąją o katolicyzm, niż wtedy, kiedy mnie chwalono za szurum burum, z którego nic dobrego nie wyniknęło. Gdybym ja był teraz w takim sztosie pisania jak ty, toby mi na chwilę humoru nie popsuły broszury całego świata.“

Jakoż w rzeczy samej gęśl Zaleskiego podzwaniała w tych czasach na ton uroczy, powiewny, samodzielny, godny Rusatek, tych kwiatów młodzieńczej fantazy. Tu wyśpiewał „Kalinowy most,“ ów tęczyowy obraz złudnych obrazów, odbiegających lirnika w miarę, jak włos srebrny połyska mu na skroni.

Ale napróżno lirnik woła: „Cyt! cyt pieśni!“ Ta szczebiotka snuje mu z kołowrotka swego to srebrne, to złote niteczki, i płacze je w dziwną tęsknotę. Wyśpiewał tu „Smutną krakowiankę,“ i inne dmki, które wprawiły w zachwyt Mickiewicza. Widzimy to z listu do Domejki, przebywającego już w Cocquimbo u stóp Kordyliarów. „Bohdan Zaleski przyjechał tu z ogromnym plikiem poezyi, pisze Mickiewicz, poezye to najcudniejsze zdaniem mojem, i stawia go na czele naszych poetów.“ W innym późniejszym liście oznajmia Domejce pocieszającą wieść: „Czekaj na poezye Zaleskiego, które niezadługo wyjdą, będziesz miał na kilka miesięcy najmilsze czytanie.“

Szczególny oddźwięk w sercu Mickiewicza znalazła „Wiośnianka w spółce ze Słowikiem.“ Cudnie téż lirnik wyśpiewał w niej tęsknotę do swego gniazdeczka. Smutno słowikowi wśród cudzych zarośli, milczkiem biedzi się z wieszczym snem swoim, a jednak śpiewać musi. Dla czego? On sam powie:

Jeżeli śpiewam niekiedy tu,
To, aby w piersiach sprobować tehu,
Czy po staremu lekki i czysty,
Stepowe wiatru wygra poświsty.
Żeby co rychlój, żeby... och! och!
Z nóg moich cudzy otrzepać proch,
Bojan ja młodszy, jako on stary.
Z pod serca ziomkom rozbrzmiałbym czary!

W tym roku właśnie Mickiewicz opuścił Paryż i przyjął katedrę łacińskiej literatury ofiarowaną mu w Lozannie. Miejsce przyjacielskich pogadanek zastąpiły listy, Zaleski posłał do Lozanny kilka ostatnich dumek; z wdzięcznością przyjął je Mickiewicz. „A przecież, pisze z nad Lemanu, przysłałeś mi swoje piosenki. Muza ci zapać! Tém lepiej mnie się te pieśni wydały wśród chłódów i mgły łacińskiej, środkiem których brnę a brnę. Ale i bez tego arcy piękne. Bieda, przygrywka cudnie wykoncypowana, i żebym teraz wiersze pisał, tobym ci konceptu pozazdrościł. Nie raz ją sobie śpiewam, i mam zamiar kiedyś do niej muzykę zrobić ¹⁾. Ale, ale, twój wiersz senny, dziwna to, dziwna, arcydziwna rzecz; bo uważ, że ja kiedyś w Augustcie czy Septembrze rzuciłem na papier kilkadziesiąt wierszy, w celu dorobienia pierwszjej części Dziadów. Owoż rzecz ta sama: Chłopiec tuła się między mogiłami.. Twój ułomek aż mnie nastraszył tak jest ładny. Kto wie, czy ty teraz nie okradasz nas przez sen z wszelkiej poezyi? Kto wie, czy mocą teraz silniejszą nie ciągniesz do siebie całego ciepła i światła poetycznego? i widno, dla czego my nie piszemy!”

¹⁾ W Petersburgu Mickiewicz z kompozytorem Kozłowskim ułożył muzykę do dumki Bohdana o Kosińskim, i przysłał ją do Warszawy piewcy ukraińskiemu.

W innym liście z Lozanny, Mickiewicz nalega silnie na Bohdana o wydanie pieśni. Radzi drukować je w Poznaniu. „Poznańscy, mówi, regularni i zapewne nie zdradzą arcywieszcza. Nie uwierzysz, jak czasem gniewam się, żeś dotąd nic nie ogłosił, jak doskonale czuję tego potrzebę, szczególnie dla Poznańczyków. Dobry to znak, że oni zasmakowali w tobie i że cię arcymistrzem zowią.

„Ja pożeram łącę i pluje francuzczyzną. Nie prędko będę mógł spotkać się z tobą na lutnię. Śpiewaj tymczasem za nas, mój słowiku, nie ustawaj póki ci skrzydła służą.“

I Bohdan nie ustawał w pieśni. Z lutnią swoją podróżną zmieniał raz poraz i miejsca i widoki, przyspiewując żałośnie:

Przez miejsce tyło, chwil tyle,
Każdy dla mnie zakątek,
Wszystkie moje tu chwile,
Są bez wrażeń, pamiątek.

Wiosną jednak w 1840 roku znalazł się w miejscu pełnym pamiątek, bo zdeptanym tułaczą stopą Stanisława Leszczyńskiego, gdzie wspomnienie króla żyje na każdym kroku. Kilka tygodni spędził Bohdan w Plombières. W cieniu Wogezów, jakby zaklętą przywołana siłą, Ukraina stanęła przed oczyma poety, głosy z mogił dobiegły mu do ucha, szeptały stare wieści. Tu wyśpiewał owe prześliczne dumy: Z mogiły Sawor, o pierwszym atamanie Daszku, orłęciu wyrośłem pod skrzydłami lackiej orlicy; o niemowlęciu Iwoni, wyniańczonem na kulbace przez brodaczy, osmalonych prochem w tyłu bojach; tu struny jego liry drgnęły z całą potęgą, słowo zadźwiękło spiżem, jak oto w pysznej dumie o Lachu serdecznym u marach:

Żal się Bożo, step i morze, obiegliśmy z nim,
Grody dawne, kraje sławne; Wołosza i Krym
Nie zapomną na wiek wieków jak z pola na pole,
Bujał orzeł tam i wodził swe stada sokole.

Z bujnie zebrany plonem pospieszył nasz lirnik z Plombières do Lozanny, powoływany przez utęsknionego Mickiewicza. Przeszło miesiąc gościli tam bracia Zalescy. Kurs roczny jeszcze się nie skończył; z zachwyceniem słuchał go Zaleski i chlubnie wyraża się o nim. „Pomimo sarkau Mickiewicza, mówi on, kurs lozański był arcypięknym, zajmującym. Mickiewicz wypogodził się był w duchu, odmłodził pod wpływem reminiscencyi z czasów wileńskich, po swoim profesorsze Grodku. Improwizował cudne rzeczy, co do słowa oczarowywał młodzież szwajcarską. Byłem osobiście na kilku jego ostatnich prelekcjach, kiedy mówił o poezyi i poetach na rozświecie chrześcijaństwa. Mickiewicz stał wtedy na zenicie żarliwości katolickiej. Budował na około wiarą swoją, nawracał nawet protestantów.“

Po zamknięciu kursu, obaj Zalescy z Mickiewiczem odbyli wycieczkę na Montblanc, obiegli pieszo najpiękniejsze okolice Szwajcaryi, jesienią powrócili do Fontainebleau. Wkrótce potem Mickiewicz przeniósł się do Paryża, powołany na profesora w Kolegium francuzkiém. Po pierwszém zaraz wystąpieniu pisze list do Zaleskiego. „Odbylem tedy pierwszą próbę, ale to początek. Każda lekcyja jest bitwą. Bóg jeden wie jak się uda. Stary żołnierz Józef zna może najlepij moje uczucia w takich razach. A módlcie się za mnie. Bo to tylko łaska Boża, żem z téj katedry nie spadł haniebnie.

„Wczoraj byliśmy na sutéj wieczery u Eustachego Januszkiewicza. Wyzwany przez Słowackiego improwizacyą, odpowiedziałem z natchnieniem, jakiego od czasu pisania Dziadów nigdy nie czułem. Było to dobre, bo wszyscy ludzie różnych partyi rozplakali się i bardzo nas pokochali; na chwilę wszyscy napełnili się miłością. W tę chwilę duch poezyi był ze mną. Chciałbym wiedzieć, co ty wczoraj robił i co myślał? bo mnie się zawdy widzi, że my we dwóch tylko jednego mamy ducha i że w jednym czasie nie możemy być poetami na ziemi. Bo choć duch jest wieczny, ogranicza się czasem, kiedy się w nas wciela.”

W ciągu zimy Zaleski opuszczał niekiedy Fontainebleau, przybywał do Paryża, słuchał z rozkoszą genialnych wykładów. Z wiosną bracia puścili się do Burgundyi, jak mówił Mickiewicz „na czumactwo:“ zatrzymali się dłużej w Beaune. Tu 15 sierpnia spada jak piorun pismo Mickiewicza: „Bohdanie, skro ten list przeczytasz, upadnij na kolana i dziękuj Panu. Wielkie tu dzieją się rzeczy. Spiesz zaraz, abyś serce swe pocieszył, rozradował, okwiecił, ozienił.

Słowiczku mój, a leó, a piéj
 Na zmartwychwstanie piéj.
 Wylanym łzom, spełnionym snom,
 Skończonéj piosnce twéj.“

Zaleski nie wie o niczém, nie pojmuje, co się stało. W takt zagadkowej pieśni Mickiewicza, podzwania równie zagadkową piosenką.

Kto? z jakich stron? w przeczysty ton
 Jak zwierciadlany zdroj,
 Niewoli słuch?... O! bliźni duch,
 Do chóruł głosie mój!

I w téjże chwili obaj Zalescy opuszczają Beaune, lotem strzały przybiegają do Paryża. Ale urok cały pierzchł przy pierwszém spotkaniu z Towiańskim. Widok mistrza w ciemnozielonym surducie, w złotych okularach, dziwne sprawił wrażenie na Zaleskim. Opuścił natychmiast Paryż z bratem Józefem: wkrótce potem wyjechali obaj do Rzymu. Przybyła tu właśnie z Ukrainy pani Felicya Iwanowska,

rodzona siostra Józefa, którą Zaleski, młodem jeszcze chłopięciem poznał w Krzewcu, gdy chory na ospę przebywał czas jakiś u brata.

Po skwarach życia tułaczego, dom czcigodnej matrony ukraińskiej stał się dla Zaleskiego jakby ożywym źródłem; uczuł w nim świeżą woń rodzimych macierzanek. W Rzymie poznał też młodszego druha w pieśni, słynnego już twórcę Irydyona.

Bracia Zalescy mogli nakoniec urzeczywistnić zamiar dawno wypiastowany w duszy. Nieraz czy to w pustelni alzackiej u podnóża Wogezów, czy w prowankiej nad morzem układali w myśli pielgrzymkę do Ziemi świętej, ale pragnienia ich łamały się o nieprzewyciężone trudności. Usunęła je pani Iwanowska. Otrzymała ona znaczny spadek; część jego przywozła bratu Józefowi.

— Na co nam to złoto? — rzekł do Zaleskiego skromny Józef — pospieszmy do Jerozolimy. Zaleski przyklasnął całym sercem tej myśli. Z początkiem roku 1842 przez Neapol, Maltę, Smyrnę i Jaffę udali się do Ziemi świętej; zwiedzili pobożnie wszystkie miejsca, zdeptane stopami Zbawiciela. Jak niegdyś ubodzy pastuszkowie, padli na twarz przed Żłobkiem Betleemskim, obleli łzami Golgotę i Grób święty. W pielgrzymce tej spotkali się na Malcie z pobożnym missyonarzem księdzem Ryłło; w inném znów miejscu z księdzem Ignacym Hołowińskim, późniejszym arcybiskupem Mohylewskim.

Pielgrzymka ta poruszyła nowe struny w lirze poety naszego. Natchniony widokiem miejsc świętych, zobrazował je za powrotem w precudnym poemacie „Przenajświętszej Rodzinie.“ To arcydzieło prostoty i religijnego namaszczenia, słusznie porównano do obrazów rafaelowskich. Z jakąż to miłością, z jakim naiwnym wdziękiem, właściwym tylko poezji ludowej, ale ujętym w formę wysoko artystyczną, maluje poeta owo pachole Boże, odnalezione w kościele przez stroskaną Matkę i Świętego opiekuna. Droga to perła w poezji polskiej. Biskup Hołowiński stawia ten poemat nad wszystkie epepee, osnute na życiu Jezusa.

Za powrotem z Ziemi świętej, znaleźli bracia Zalescy nowy zasiłek dla ducha w ściślejszej przyjaźni z księdzem Topolskim, z zakonu Kapucynów, który powracał z missyi po Indyach wschodnich, wyczerpany z sił, skutkiem podjętych trudów. Rychła śmierć pobożnego zakonnika była dla nich bolesnym ciosem. Zachwiane zdrowie Stefana Witwickiego stało się też dla Zaleskiego powodem ciągłego niepokoju. Związani serdeczną przyjaźnią za pobytu w Warszawie, tém ściślejszą połączyli się w duchu, że stali niezachwiani na gruncie Kościoła, podczas tak silnej propagandy Towiańskiego.

V.

Nadszedł rok 1846; rok to najważniejszy w życiu poety naszego. Poznał pannę Zofię Rosengartównę, upodobał ją sobie i pozyskał jej rękę.

Panna Zofia czas jakiś przebywała już w Paryżu, najprzód w domu Klementyny z Tańskich Hofmanowój, a po jój śmierci pod opieką innych poważnych osób. Była to panienka wysoko wykształcona, pełna wdzięku, artystka duszą całą. Obdarzona w niezwykłym stopniu talentem muzycznym, pragnęła rozwinąć go pod kierunkiem Chopina. W tym celu zamieszkała w Paryżu na czas dłuższy. Zналиśmy ją dobrze nim opuściła Polskę. Wówczas już melodyjne dumki Zaleskiego, miały dla niej niesłychany urok. Czytywała je z zachwytem, jakby modlitwę. Łatwo pojąć, że dwie dusze tak poetyczne, musiały przy pierwszym spotkaniu zrozumieć się od razu i ukochać na zawsze.

Zaleski przebył już „Kalinowy most“ młodzieńczych omamień, miał lat czterdzieści z górą, ale duch poetyczny, pełen zapału, czynił go jeszcze młodym. Nie znał wcale panny Zofii, kiedy pisał o sobie:

Guślarz, gęślarz dusza rwista,
Nie sto, żebym żył lat trzysta,
Wiem, że ptaszę sobie zwabię,
Chowam bowiem kwiat paproci,
Przędę śliczne zeń jedwabie,
Siatkę niby — co się złoci,
Śpiewam, śpiewam jak za młodu,
Co mi śni się i co nie śni.
Na zieloność wieczną pieśni,
Bom rajskiego stróż ogrodu.

Wśród tych słodkich rojeń spada piorunem wieść o rzezi galicyjskiej. Wieść ta przepełnia serce poety niesłychaną goryczą. Spiesz z bratem na Oelberg do Trapistów alzackich. Tam w pieśni „Zgryzota i Łaska“ wyplakał boleść swoją przed Panem. W zwrotkach tych podzwania jęk struny Dawidowój.

Co szkód — bez liku szkód — do nieprzeżycia!
Zieleniejące tak ślicznie nadzieje
Na niwecz starły oto gradobicia,
Że w przerażenia zgrozie dusza mdleje.

I smętny lirnik wyrzuca sobie owe pieściwe dźwięki, któremi dawniej kołysał do snu braci; wyrzuca sobie, że na zło bezdusznemi patrzył oczyma, że widział zło, a nie rzucił nań klątwy.

Widzę, ach Panie, winy mój szkaradę,
Toż nim zgryzoty dreszcze krew zamrozą;
Pod cień świętego Krzyża głowę kładę,
Do skonu różgę Twą całuję Bożą!

Ale w chwili głębokiej skruchy czuje lirnik jak światłość spły-
Tom II. Czerwiec 1886.

wa nań z ramion krzyża, jak stróż anioł wybłagał mu łaskę i odpuszczenie winy.

Ślub poety naszego odbył się w listopadzie 1846 r. Družbą jego był gasnący już Stefan Witwicki. Józef Zaleski pobłogosławił nowożeńców jak ojciec, przyrzekając do śmierci nie opuścić ich domowego ogniska. Po ślubie, Witwicki pośpieszył do Rzymu; Zaleski z żoną i bratem wyjechał na zimę do Hyeres, gdzie przebywała rodzina Poniatowskich. W tém rodzinném kółku, w którém obok czci-godnej matki, pani Dyonizya Poniatowska przyświecała jak gwiazda blaskiem nauki i wdzięku niewieściego, a raczej jeszcze wzniosłością ducha; błogo zeszała zima nowożeńcom; jedyny cień rzucały tu listy Witwickiego, z każdym dniem wtlejszego na siłach. Z wiosną Zalescy z bratem pośpieszyli do Rzymu, aby osłodzić ostatnie chwile przyjacielowi; zastali grób tylko co usypany!

W tymże czasie przybył do Rzymu hr. Aleksander Branicki; ztąd miał się udać do Paryża. Przywiózł on Zaleskiemu drogi upominek, garstkę ziemi z grobu matki w Stawiszczach. Z polecenia hrabiego, p. Szański zajął się pilnie odszukaniem tego grobu; znalazł go wreszcie, a w nim trumnę Maryi Zaleskiej, otoczoną sześcioma trumienkami dzieci, które ją poprzedziły. Ziemię tę chował Zaleski jak najdroższą relikwią. Widzieliśmy, jak tę ziemię ukraińską posypano na jego trumnę.

Pozostali Zalescy w Rzymie dopóki wiosenne upały pozwoliły im na to. Przyjęli błogosławieństwo Ojca świętego, zwiedzali pomniki i zbiory artystyczne. Między innymi poznali się z kardynałem Mezofantim. Słynny ten polyglotta opowiadał im, jakim sposobem odkrył w sobie zdolności do uczenia się obcych języków. Nasamprzód wyuczył się po polsku. Był jeszcze proboszczem, kiedy generał Dąbrowski stał kwaterą w jego parafii. Razu jednego uskarżał się wódz, że jego żołnierze nie mają przed kim odprawić wielkanocnej spowiedzi.

— A czy trudny wasz język? zapyta Mezofanti, może mi który z panów ułatwi jego poznanie.

Dąbrowski wskazał mu dwóch generałów, Rymkiewicza i drugiego jeszcze, jako bieglejszych w tym względzie od siebie. Ci dostarczyli proboszczowi książek, mianowicie Trotza i Meindyngera. I otóż w kilka tygodni potem Mezofanti z podziwieniem wszystkich, spowiadał żołnierzy po polsku. Po tej pierwszej próbie, z równą szybkością wyuczył się francuzkiego języka, następnie wielu innych.

Z Zaleskimi kardynał rozmawiał zawsze po polsku. Nie tylko, że wyrażał się biegle, ale znał nawet różne dodatki, używane w potocznej rozmowie, powtarzał Mości Dobrodziej, odzywając się bądź do męża, bądź też do żony. Na pożegnanie skreślił wierszyk polski, poświęcony pani Bohdanowej.

Za powrotem do Paryża, zamieszkali Zalescy opodal od zgiełku, na przedmieściu Batignolles; brat Józef nie odstępował ich wcale. Po długich wędrówkach poeta nasz zakosztował wreszcie słodyczy

domowego ogniska. Szczęście jego powiększyło się jeszcze, kiedy przy tém ognisku zakwilił piewszy synek. Tak upłynęło lat dwa niezmaconej pogody. Zburzyła ten spokój zamieć rewolucyjna w lutym 1848 roku, po czém nastąpiła groźniejsza jeszcze burza w krwawej pamięci dniach czerwcowych. Wypadki zaszły w świecie wyrwały Zaleskiego z zaciszy domowej: pospieszył do Pragi na zjazd słowiański, na który liczył wiele i Adam Mickiewicz. Zanim przybył tam Zaleski, kongres rozpędzony został, jak wiadomo, przez wojska austriackie.

Od roku 1850 Bohdanowie zamieszkali w Fontainebleau. Poeta upodobał sobie tutejsze lasy i skały omszone, cień ich „orzeźwiał niegdys błogo pierś młodą, świeżym krwawiącą zastrzałem,“ tu téż i na dalsze lata uszał sobie ciche gniazdeczko, tu jak mówi:

Przy towarzysze wiernej na pustyni,
Skleciłem gniazdo niby polikanie,
Druh obok—z nieba przysparzał opieki,
Tom zadomował tutaj—ptak daleki.

Gniazdeczko to stawało się coraz gwarniejszém. Raz po raz nowa w domu przybywała kołyska; do dwojga dzieciak przywiezionych z Paryża, przybyło troje zrodzonych w Fontainebleau. Brat Józef piastował przybywające dziatki, pomagał matce w zachodach gospodarskich. Kochający i kochany nawzajem był opieką i błogostawieństwem domu.

Pierwszy głos, jaki wybiegł z téj cichej ustroni, była to cudna przedmowa do pełnej namaszczenia książeczki Kazimierza Brodzińskiego: „Postanie do Braci.“ Nikt lepiej od Zaleskiego nie mógł ocenić zmarłego brata w pieśni. W tym wstępie czytamy wyrazy pełne głębokiej a szczerzej pokory, zlewające się do chóru z łabędzim śpiewem Brodzińskiego. „Rodacy, mówi Zaleski, nie śmiem wystawić uczucia, co rozpiera mi pierś. Jestem prostaczek małuczki i najmniejszy w gronie braci wieszczój. Zmarnowałem bodaj dawno talent swój. Ale nie zapomniał nigdy modlitwy pańskiej, alem tulił się zawždy do wielkich miłośników Chrystusa Pana w Polsce, to miwam téż w duchu i słuchu po nich cudowne rozbrzmienia, niestety, niklejsze i rozwiwne.

Mickiewicz odwiedzał jak dawniej przyjaciela; złamany troskami, osierocony śmiercią żony, przybywał tu niekiedy, aby orzeźwić myśl wspomnieniem chwil pogodniejszych.

Wyjechał Mickiewicz na Wschód; wkrótce potem dobiegła Zaleskiego smutna wieść o skonie wieszczki naszego, przeboleł ją głęboko. Lira potrącona łzami wydała jęk żałosny:

Aniele pieśni, gdzieżeś?—odpowiedz.
I przy mnie dzisiaj nie gwarzy,
Jam się pozostał sam narodowiec,
Z tego zastępu polskich pisarzy.

Zmierzoł, po niesporach, dzwony w około
 Huczą i anioł leci na zorzę.
 Im wyżej w słońcu skąpałem czoło,
 Tém niżej panu w prochu się korzę!

Smutno ów rok 1855 wyrzył się w kochającej duszy Zaleskiego. W tym to właśnie roku umarł starszy brat Eliasza w owym Krzewcu, gdzie poeta nasz pożegnał go przed trzydziestu pięciu laty. Słodką jednak pociechę przyniosła mu wiadomość o pięknej pamięci, jaką Eliasza zostawił po sobie, o czci, z jaką tłumy ludu i obywateli szły za jego zwłokami.

Dziesięć lat przebył Zaleski w Fontainebleau. Znalazł tu kółko miłych druhów i gorących wielbicieli. Do tych należał drogiój nam pamięci wuj nasz, Franciszek Trzcziński, podeszły już w latach, ale pełen życia i dowcipu niewyczerpany w wspomnieniach z dawnych czasów, zawołany myśliwiec. Obdarzał on Zaleskich zajęciami i kurapatwami; poeta nasz, lubo młodszy, nie towarzyszył mu w tych łowieckich pogoniach za zwierzyną, ale za to chodził z nim na rydze do lasu. W r. 1857 i my przebywaliśmy czas jakiś w Fontainebleau, w ówczas to pochylił się ze czcią głowę przed jednym z ostatnich wieszczów wielkiej plejady. Zaleski wystawiał przed nami urok fontenbłowskich lasów, szumy owych dębów tysiąco-letnich, sięgających epoki krucyat: jednego tylko nie dostawało im czaru: ptastwo nie stało tu gniazd; ni wiosną, ni latem nie było słyhać w powietrzu innych dźwięków prócz świergotania wróbli.

Wspomnieliśmy mu zakłątą fletnię Orfeusza. Lira bojanowa, w którą on tak cudnie potraça, nie miałyby tój samój siły? czyliżby na jój dźwięk nie zbiegły tu całe chmury skrzydlatych piewców.

Zaleski odrzekł na to z uśmiechem, że niedawno właśnie ściągnął jój dźwiękiem najspiewniejszego z mazowieckich skowronków, Teofila Lenartowacza. Nie mógł wypowiedzieć jak głęboko poruszyły go czarodziejskie tony jego lirenki, zachwycone żywcem z serca wiejskiego ludu. Ukochał on szczerze Lenartowicza, oceniał go wysoko, cieszył się nim jak dzieckiem ducha swego.

Niedługo potém nowy cios okrył załobą dom Zaleskiego: umarło jedno z pięcorga dzieci, Kazio. Nicutuleni w żalu rodzice przenieśli się z Fontainebleau do Paryża; wymagało tego zresztą wychowanie trzech synów. Zamieszkałi znów na Batignolles.

Lira Zaleskiego umilkła chwilowo, ale ilekroć potraćił jój struny jakiś powiew zewnętrzny, odzywała się z równą jak dawniej siłą. Taki to podzwitek wybiegł z niej na wieść o zgonie Tarasa Szewczenki. Zaleski oceniał geniusz piewcy ukraińskiego, boć jakże cenić i rozumieć go nie miał? Obaj wykarmieni od dziecka mlekiem jednychże pieśni i podań, obaj wsłuchali się w poszept stepowych mogił; kołysani pogwizdem wiatru i szumem burzanów, współcześnie nicomal pochwycili za teorbany, ale na inną nastroili je nutę. Zaleski w cud-

nych dumach swoich opiewał bohaterskich atamanów, którzy blysczą jak gwiazdy w dziejach narodu. Szereg ich zamyka Sulima, skazany na śmierć za spalenie Kudaku; Sulima, wierny królowi do kresu dni, rozżalony tylko przeciw potężnym panom, którzy pychą i bezmyślnością wykopali przepaść i sami w niej utonęli. Przez usta Sulimy rzuca poeta groźne na przyszłość ostrzeżenie:

Na kresach pustki, zamków tam nie zbroim.
Brak i żelaza, lub rdza na żelazie;
By spać wygodnie: Kudak staw ku swoim!
Pany, nie chcecie wojen, będą rzezi!

Słowa prorocze spełniły się niestety. Nie zbrakło na Ukrainie mołojców, którzy w późniejszych czasach wzrosli, jak on Sulima, w boju i wyzywali śmierć w zapasy. Tych nie opiewa Zaleski; rzeka krwi i łez płynie pomiędzy nimi a wielkim naszym lirnikiem, którego pieśń żywym jest obrazem ducha narodowego. Tych bohaterów odepchniętych przez Zaleskiego, opiewał Taras Szewczenko. Ztąd to wielu u nas widziało w nim jedynie apologistę Gonty i Zeleźniaka; nie tak sądzili przecież ci, którzy badali cierpliwie cały system jego poglądu na przeszłość i przyszłość. Do tych należał Zaleski; nie rzucił on kamieniem na Szewczenkę, wymawiał mu tylko, że słowa zgorzkniały w sercu chorém. Z wielkim żalem i wielką miłością wypowiedział ten zarzut w dumce „Mogila Tarasowa,” a wyrzuciwszy z serca słuszny żal, woła z głębokim uznaniem:

Poskramiajże braci grzeszne wstręty,
Podłuchaj w mogile wieszczby ptasie,
Z mogiły nawołuj o mir święty.
Poloniki spółpiewco mój Tarasie.
Ku nowój, nie znanój mi mogile
Co świeżo wyrosła u Kaniowa,
Połański wieszcz siwą głowę chyłę,
Przesławnać mogiła Tarasowa.

I milcząca chwilowo lira Zaleskiego zabrzmiała znów cudnym podzwiekiem. Wyśpiewał poeta do trzydziestu dumek, pełnych żaru i wzniosłego natchnienia. Te pieśni wydał w r. 1865, poświęcił je żonie, jako wydumane przy jój sercu. Tu spostrzegamy nowy zwrot w natchnieniu poety. Siega on wzrokiem w głęboką przeszłość, z pomroku wieków wydobywa zapomniane podania. W jednej pieśni ukazuje apostoła Andrzeja na wzgórzu ponad Dnieprem, błogosławiącego miejsce, gdzie ma stanąć sławny gród. W innej pieśni, nowy czardziej Bojan rozbudza duchy, śpiące od wieków w mogiłach nadnieprzańskich, wsłuchuje się w rozhówr kijowskiego Szczeki z Radymem, co przywiódł tu z powiśla garstkę druhów i siadł z nimi nad

Sozą. Wieszcz potrąca tu w nowe struny swój gęśli i toruje artystom nieudeptaną drogę, dotąd jedynie znaną archeologom.

Wśród tych dumek znajdujemy jedną dziwnie żalowaną, ku pamięci zmarłego brata Józefa: dunka to wyplakana raczej niż wypiewana.

Tułam się oto sam po nocy,
 Myślami lecę, lecę w dal,
 Wśląd za księżycem wzrok sierocy
 Czepiam o rąbki srebrnych fal.
 Po długiej spioce dnia—po płaczu,
 W osamotnieniu piersiom lżej,
 O! zmarły druhu—współtułacz,
 Jakże mi braknie duszy twój!
 Macierzankowa woń mych pieśni
 Tu cię rzeźwiła wiele lat,
 Zwano nas: bracia dwaj boleśni:
 Brat wieszczy—świętobliwy brat.
 Księżyc samotnik tam po niebie
 Przechadza się na jaśni wzdłuż,
 Druhu! samotnik twój bez ciebie
 Z za mgły nie wybrnie nigdy już!

Dzwon pogrzebowy, co zabrzmiał nad trumną brata, był jako-by hasłem do nowych dzwonów żałobnych nad grobami, które otwierać się miały kolejno i zabierać istoty najdroższe sercu naszego wieszczka. Rok 1868 rozpoczął się dlań w najboleśniejczy sposób. Z żoną od dawna staba, i młodziuchną córką zagrożoną cierpieniem piersiowém, wyjechał do Hyeres, gdzie dogorywała pani Dyonizya Poniatowska. Z rozkazu lekarzy odwiózł żonę z córką do Nicei i powrócił sam do Paryża, by otoczyć opieką młodych synów. Nagle, rozpaczliwy list pani Iwanowskiej, oznajmia mu, że córka jej Dyonizya niemal już konająca. Zaleski pospiesza co tchu, zamyka oczy tej, którą ukochał jakby rodzoną siostrę. Ztamtąd odwiedza żonę w Nicei. Zaspokojony wyprzedza ją o kilka dni z powrotem do Paryża. Niestety! mylą pozory. Bohdanowa, opuściwszy Niceę, zatrzymała się w St. Etienne, w domu doktora Michałowskiego; stan jej pogorszył się gwałtownie. Zaledwie że uwiadomiony mąż miał czas przybyć w porę i odebrać ostatnie jej pożegnanie.

Z ciałem żony przybył Zaleski do Paryża. Pogrzebał na cmentarzu Montmartre, obok brata wierną towarzyszkę, która osłodziła mu dwadzieścia lat tułaczycy.

Nastąpiła wojna francuzko-pruska; klęski Francji dobodły do żywego poetę. Patrzy ze zgrozą, jak armia nieprzyjacielska rączym pędem sunie na Paryż. W obec trwogi powszechnej, z rękoma wyciągniętymi ku niebu, wyrzuca z piersi gorącą skargę do Boga:

Mnich apostata, lennik spanoszony,
 I tu krzyżackie rozpostarł zagony!
 Grozi najstarszej Kościoła dziś córce.
 „Siła przed prawem!“ bezbożnie wykrzyka,
 O jakby ciebie nie było tam w górze,
 Taki rogaty wyzew bezbożnika!

Nim spiżowa obręcz dział i bagnetów opasała Paryż, Zaleski z córką puścił się do Hyeres, gdzie mieszkała pani Iwanowska, siostra Józefa Zaleskiego; pozostał tu zimę całą. Tu pobłogosławił związkom jedyniej córki z doktorem Okińczycem. Po ślubie wyjechał do miasta Aix w Prowancyi, gdzie syn jego Dyonizy, odbywał kurs prawa w tamtejszym fakultecie.

Powrócił Zaleski do Paryża, ale ciężko mu było samemu w obec tyłu bolesnych wspomnień. Na prośby córki i zięcia wyjechał do nich na lato do wsi Villepreux, w bliskości Wersalu. Odetchnął tu nieco swobodniej, przy kołysce maleńkiej wnuczki Bohdanki, słaby promyczek rozjaśnił mu zaciemniony widnokrąg. Ale nowy cios ugodził w to kochające serce. Piersiowa choroba rozwinęła się u córki z całą gwałtownością; umarła w końcu 1873 r. Zbolały ojciec pogrzebał ją obok matki i brata na paryzkim cmentarzu Montmartre, zachowując przy nich miejsce dla siebie; poczem wrócił do ciszy wiejskiej w Villepreux.

Głęboko religijny wieszcz nasz złożył krzyż swój u stóp krzyża Zbawiciela. Wypłakał oczy w cichój modlitwie przed Bogiem, a dla ludzi miał zawsze łagodny uśmiech na ustach, szczere współczucie w sercu. Nowe ciosy miały jeszcze ugodzić w to serce tak ciężko już zranione. Dziwnym zbiegiem—urodzony w lutym, „pogrzebowe i gromniczne dzieciątko,“ jak się sam nazwał w pieśni do matki, w lutym miał utracić wszystkich ukochanych, oprócz córki, która umarła w grudniu. W lutym pogrzebał żonę, a dawniej syna Kazia; w lutym umarł brat Józef i pani Dyonizya Poniatowska, którą nazwał rozmodlonym aniołem na jego Tebaidzie tułaczój.“ W lutym nakoniec 1876 r. zapłakał nad zgonem Seweryna Goszczyńskiego, szkolnego towarzysza, brata po lirze ukraińskiej i pani Felicji Iwanowskiej, przyjaciółki od lat najmłodszych.

W tymże czasie wyszedł na świat czterotomowy zbiór poezyi wieszca naszego. Zakończył go dumką wyspiewaną w Villepreux podczas śnieżycy listopadowej 1876 roku.

Płowieje siola krasa rodzima,
 W mroźnego wiatru poświście;
 Z poza gór ciągnie ponura zima,
 Co zwarzy kwiecie i liście.

Powiejcie dumki moje och! w górę;
 Nie długoć tutaj zabawim;
 Ptastwo serdeczne, hej krasnopiórc,
 Rozwiń się w szyku żurawim!

I ja za wami zagną odleczę,
 Minał bo dzionek nasz miły;
 W brzasku zarania, w południa spiecc,
 Przy was mi dziwy się śniły.

Na krótko jeno się pozostanę,
 Jaskółki w stawie niech usną;
 Aż lód im zamknie łożę świetlane,
 Na drzemkę mroczną i gnuśną.

I ja za niemi utonę w ciszę
 Pod zwały śniegów i lodu;
 Bodaj aniola pieśń znów zasłyszę,
 Niezrozumianą za młodu.

W śnieżycy ptastwa śladu ni znaku,
 Nad głową cynowe wieko;
 Ni żórawiego dopatrzeć szlaku,
 Dalekoć ptastwo, daleko.

Dumki o družki! Kędyż wy ninie
 I żegnać nawet daremnie;
 O wiecznej zmarze, o Ukrainie,
 Śpiewajcież teraz bezemnie.

Śpiewajcie matce słodko, miłośnie,
 Nim kiedyś w zmierzchu stuleci
 Ujrzym się jeszcze raz—gdy ku wiosnio,
 Bojan słowikiem wyleci!

Po tój pieśni łabędziej umilkła lira Zaleskiego; ale ktokolwiek miał szczęście zbliżyć się do poety naszego, ten wie, iż jego żywot do ostatniego tchnienia nie przestał być żywą pieśnią, pełną wiary, miłości i nadziei.

VI.

Poraz ostatni Zaleski odbył pielgrzymkę do Rzymu w r. 1881. Wówczas to ksiądz Aleksander Jełowicki przedstawił go Ojcu Świętemu, jako ostatniego ze słynnej plejady wieszczów polskich.

Umocniony w duchu, powrócił do zacisznego kącika swego

w Villepreux. Tu zacny doktor Okińczyc, mimo że nową otoczony rodziną, pozostał dla niego troskliwym i przywiązany zięciem. Bliiskość Paryża pozwalała również kochającym synom odwiedzać ojca, o ile zgadzały się z tém biurowe ich obowiązki. Dzięki téj bezustannej opiece, cierpienia nieodłączne od późnego wieku, a szczególnie gasnący wzrok i słuch, mniej ciążyły ojcu Bohdanowi, niż komukolwiek w podobnym położeniu. Z prawdziwem zdumieniem widzieliśmy, że znał doskonale nie tylko sprawy obchodzące ogół, ale śledził pilnie cały ruch literatury naszéj; każdy nowo pojawiający się talent napełniał go radością. Mimo sił ostabionych nie uchylał się od żadnych obowiązków; uczęszczał na wszystkie zebrania i uroczystości, to jako prezes Towarzystwa podatkowego „Czci i chleba,“ to jako członek Towarzystwa historyczno-literackiego, to wreszcie jako należący do rady szkolnej polskiéj na Batignolu.

Za każdą niemal bytnością w Paryżu, ojciec Bohdan uszczęśliwiał przyjazne mu rodziny odwiedzinami swemi. Wielką to była radość w każdym domu, ilekroć ten przezacny patriarchy z białą do pasa brodą, ukazał się wsparty na ramieniu syna; każdy z nas przyjmował go z głęboką czcią i przekonaniem, że błogosławieństwo Boże wchodzi z nim razem w nasze progi.

W lutym r. 1882-im Zaleski ukończył ośmdziesiąt lat. Obchodziliśmy ten dzień Mszą Świętą w parafialnym kościele polskim Wniebowzięcia. Towarzystwo historyczno-literackie ofiarowało jubilatowi ozdobny adres z podpisami wszystkich członków. W miesiąc potem w dniu 8-go Józefa mieliśmy zaszczyt należęć do delegacyi, reprezentowanej przez trzy pokolenia, która wręczyła sędziwemu poecie niezliczone adresa, nadestane nie tylko z różnych części kraju, ale co więcej ze wszystkich stron świata, gdziekolwiek garstka ziomków skupiła się w mniejsze lub większe ognisko. Te dowody miłości przyjął ojciec Bohdan z głębokim rozrzewnieniem. Zdało nam się, jakby odmłodził pod wpływem miłych wrażeń. W rysach jego panował spokój, na czole pogoda. Myśl krążąca bezustannie w wyższych sferach, wycisnęła na tém czole jakieś niezwykle piętno. Cera biała, lekko zarumieniona, ślicznie odbijała obok śnieżnéj, długiej do pasa brody. Patrząc na tę piękną postać, pełną prostoty i dobroci, powtarzaliśmy sobie w duchu słowa Wincentego Pola:

Geniusz, co bywa w pokorze natchnięty,
To już nie geniusz—to na ziemi święty!
Bo czemu świętość jak nie czętem trwaniem,
Wiecznem natchnieniem i wiecznem kochaniem!

Ożywiła Zaleskiego słodka nadzieja, że wkrótce powita ukochanego druha Ignacego Domejkę, z którym łączyła go półwiekowa przyjaźń, wsparta na jedności uczuć i wiary. Z jakąż to radością

ukazywał nam list przyjaciela z San Jago, oznajmiający rychły przyjazd.

„Ah! żebyś ty wiedział jak ja tęsknię za tobą, najdroższy sercu memu rówieśniku Bohdanie, pisał czcigodny Domejko, często przychodzi mi na myśl, że jeśli przeszkoda jaka nie pozwoli mi zasiąść przy córce, tobym z ochotą obrał sobie na mieszkanie ową wioszczkę pod Wersalem, gdzie ty mieszkasz, i dokonalibyśmy spokojnie gawędki na tym świecie, jak Gerwazy i Protazy!“

W kilka miesięcy potem przybył Domejko z drugiej świata półkuli. Nie zamieszkał w Villepreux, ale za to Zaleski częstym bywał gościem u przyjaciela w Paryżu. Niewyczerpani w rozmowach obaj rówieśnicy, przypominali sobie dawne czasy, ścigali myślą drogich sercu druhów, śpiących snem wiecznym po cudzych cmentarzyskach: Mickiewicza w Montmorency, Stefana Witwickiego w Rzymie i tyłu, tyłu innych. Widzieliśmy łzy płynące z pod ich powiek, kiedy Domejko, przyjmowany uroczystie na zebraniu Towarzystwa historyczno-literackiego, przypominał poważne grono, które żegnał tu przed laty zgorą czterdziestu, a z którego on sam pozostał już tylko z Zaleskim.

W pogawędkach Gerwazego z Protazym, jak je nazwał Domejko, obok dawnych wspomnień snuły się i projekta na przyszłość. Krzepki jeszcze nasz geolog, zaprawny do dalekich wędrówek po łąkach i morzach, przemyślał o pielgrzymce do ziemi świętej. Zaleski, który był już w Jeruzolimie, nie sięgał myślą tak daleko, byłby jednak pragnął odwiedzić raz jeszcze Rzym w towarzystwa miłego druha. Stał temu na przeszkodzie wzrok gasnący z dniem każdym. Katarakta zasłoniła już prawie oko, lewe niemniej było zagrożone.

Po dość długim wahaniu przystał Zaleski wreszcie na operacyą. Dokonał ję biegłą ręką słynny okulista nasz dr. Ksawery Gałęzowski. Udało się najpomyślniej, ale niestety, w osmdziesięciodwuletnim starcu brakło siły żywotnej, jakiej wymagało zabliznięcie rąki. Nadzieja przecież nie od razu zagasta. Nasz biegły okulista nie spieszył się z ogłoszeniem wyroku, aby nie rozdzierać serca tak Bohdanowi Zaleskiemu, jak kochającym synom i przyjaciółom.

Po operacyi odbytej w Paryżu, dwaj nieodstępni druhowie pożegnali się na czas jakiś: Domejko wyjechał na Litwę, Zaleski powrócił do Villepreux, gdzie dr. Okińczyc opatrywał troskliwie chore oko. Za powrotem do domu poeta nasz uczuł się swobodniejszym. Miłe mu było to gniazdeczko, w którym przebył już lat dwanaście. Znał tu każdy kącik, wiedział, gdzie po co sięgnąć ręką. Pokój jego na pierwszym piętrze ładny był i wygodny, jasny, pełen słońca i powietrza.

Dajemy tu najwierniejszy obraz tego pokoju z całym przekonaniem, że uczucie, z jakim oglądaliśmy to ostatnie gniazdko poety, zwanego przez Mickiewicza słowikiem ukraińskim, znajdzie oddźwięk w sercu oddalonych ziomków, którzy nie mieli sposobności wstąpić w te błogosławione progi. Pod główną ścianą stało łóżko żelazne, wygodne, nad niem rozwieszony kobierzec i drogie wizerunki: meda-

lion Adama Mickiewicza dłuta Marcinkowskiego, fotografie całej rodziny Poniatowskich, sztychowany portret Mickiewicza, litografowany księdza Ryłty i Domejki. Bliżej okna stało biurko, na którym od dawna Zaleski pisywał, a nad niem fotografie zmarłych ojców: Aleksandra Jełowickiego, Kajsiewicza i innych. Przy drugiej ścianie nad komodą zawieszony obraz Chrystusa kopia z Guido-Reniego. Dalej komin, na nim zegar, kandelabry. Powyżej medaliony Witwickiego i księdza Topolskiego dłuta Władysława Oleszczyńskiego; rysunek Szewczenki, wyobrażający „Taniec kozaków,” fotografie przyjaciół, a w posrodku śty Augustyn, sztych według obrazu Ary Scheffera.

Przed kominem piec okrągły na kółkach, według metody Szuberskiego, utrzymywał jednostajne ciepło w pokoju.

Przy innej ścianie stała obszerna szafa z biblioteką, wygodna kanapa, wielki, mięko wysłany fotel. Stół wielki, drugi mniejszy i kilka krzeseł dopełniało umeblowania.

Obok tego pokoju był drugi zajmowany zwykle przez synów, ilekroć na dłużej przybywali do Villepreux. Było tu łóżko, szafa z biclizną, komoda, stolik, fotel i cztery krzesa; ściany zdobiły litografowane portrety, kopie mistrzów, rysunki i t. d.

W tej to miłej i wygodnej ustroni, wśród drogich sercu wizerunków i pamiątek, żył ojciec Bohdan, otoczony troskliwą opieką przybranej rodziny, którą uważał za własną. Miłość i głęboka cześć dobrych synów napełniała serce jego pociechą, widok nieodstępnej wnuczki Bohdanki radował mu wzrok niedogasty.

Z chrześcijańską rezygnacją przyjął stratę prawego oka, lewe jakkolwiek zagrożone służyło mu trochę; mógł niemi nawet czytać po pół godziny na dzień. Ranki poświęcał modlitwie to w domu, to w kościółku wiejskim. Doktor Okińczyc w chwilach wolnych czytywał mu na głos „Potop.“ Z najwyższém zajęciem słuchał Zaleski tej pięknej powieści, osnutęj na wątku dziejowym, który on sam opiewał w „Potrzebie Zbaraskiej.“ Od czasu do czasu odwiedzał jeszcze Paryż. Po raz ostatni przybył tu na uroczystość pięćsetletniej pamiątki ślubu Jadwigi z Jagiełłą, obchodzonej w kościele Wniebowzięcia w dniu 27 lutego.

Nadchodził dzień ś-go Józefa, grono czcicieli wybierało się jak co rok z powinszowaniem do Villepreux. Nagle otrzymujemy przerażającą wieść o ciężkiej chorobie, a zaraz potem o skonie doktora Okińczyca. Umarł 18-go marca. Ojciec Bohdan przynębiony tym ciosem zniósł go z pobożną rezygnacją. Nazajutrz w dniu własnych imienin, wsparty na ramieniu syna, poszedł na Mszę do kościółka wiejskiego. Ostatni to był wysiłek; za powrotem do domu położył się napół omdlały, nie miał już powstać z łoża.

W parę dni potem przyjął Sakramenta święte z rąk księdza Witkowskiego, proboszcza parafii polskiej w Paryżu. Po skończonym obrzędzie, kapłan prosił chorego o błogosławieństwo dla ziomeków. Za-

leski podniósł obie ręce do góry, wyszeptał modlitwę i z głębokim namaszczeniem wyrzekł błogosławiące słowa.

Odtąd życie zwolna go opuszczało. Niekiedy tracił przytomność, ale i w tych chwilach nawet myśl jego obiegała wyższe sfery. Mówił ciągle o kraju, o wielkich obowiązkach, jakie ciąży na każdym, zachęcał do miłości i zgody. "Z uczuciem tulił i błogosławił nieodstępnych od łóża synów, dziękuje serdecznie panu Władysławowi Mickiewiczowi, który przez ciąg choroby przepędzał przy nim dnie i noce.

Z modlitwą na ustach, bez cierpień, w dniu 31-y marca oddał pobożnie ducha Bogu. W ostatniej chwili podano mu gromnicę, poświęconą na grobie Zbawiciela, którą przed laty czterdziestu przywiózł z Jeruzolimy. Dziwnym zbiegiem 31-szy marca jest dniem ś-go Józefa według starego kalendarza. W tym dniu za lat młodych Bohdan Zaleski obchodził na Ukrainie święto patrona swego.

Zwłoki przewieziono do Paryża, złożono je najprzód w kościele Wniebowzięcia Panny Maryi, zamienionym w rozkwitły ogród. Katafalk znikł pod stosami wieńców, złożonych z miłością na drogię trumnie. Wszyscy ziomkowie bez różnicy barw i odcieni zebraли się na żałobną uroczystość, kościół był przepełniony. Po nabożeństwie liczny orszak odprowadził zwłoki na cmentarz Montmartre, gdzie czekał grób gotowy. Tu przed laty zgórą dwudziestu Zaleski złożył kości ukochanego brata Józefa, a potem drogię małżonki i ukochanej córki. W sześciu mowach ziomkowie oddali hołd zmarłemu wieszczowi, przypominając zasłużony żywot jego, przeczysty jak strumień żywej wody. Łzy obecnych przywtarzały mówcom; rzewniej jeszcze potoczyły się, kiedy zsunięto trumnę do grobu, a kapłan rzucił garść ziemi z nad Bohu i Rosi na zwłoki lirnika ukraińskiego.

W kilka dni potem, kiedy synowie jęli rozpatrywać papiery pozostałe po ojcu, wpadła im naprzód w oczy, kartka nakreślona jego drogą nam wszystkim ręką. Było to podziękowanie ziomkom za zyczliwość jakiej dali mu dowody, przez nadesłanie adresów w osmdziesiątą rocznicę jego urodzin. Zrazu miał myśl rozesłać tę kartkę na różne strony, ale przy wątłym stanie zdrowia i osłabionym wzroku, odłożył to na później. Tak minęło kilka miesięcy. Odtąd powtarzał często synom: „Zapóźniłem się z odpowiedzią, czas ku temu już minął. Chyba po śmierci podziękuję, będzie to zarazem pożegnanie.

Tym serdecznym głosem z poza grobu kończymy wspomnienie o drogim wieszczu naszym.

Kochani Rodacy!

Uczciliście osmdziesięciolecie moje jak najdosłojniej, że mi doprawdy aż sromno. Otrzymałem z różnych stron Polski adresów, listów, telegramów stosami. Wdzięczny jestem nad wszelki wyraz, całą duszą za te chlubne i drogocenne dowody łaski waszej i zyczliwości dla mnie. Napełniliście serce starca słodką duchową pociechą, iż topnieje w rozrzewnieniu. Bóg zapłać za wszystko.

W późnej atoli mojej starości nie przeceniam się, ani chwalba już nie grzeje. Służyłem pocziwiej sławie jak umiałem, ale snopek téj zasługi szczupły jest i niepokaźny. Uczczenie odbieram z dobrej woli jeno waszój rodacy. Tytuł to mój pieśniarza w przesławnym poczie wielkich wieszczów narodu sprawia wam urok, przemienia mnie i umiła w miłujących oczach waszych, jak wzrok matki dziecię upięknia. Z opromienienia owéj ery poetycznej niewątpliwie i na mnie pada trochę.

Oslabienie wzroku uwalnia mnie od przydłuższego pisania.

Jeszcze raz Bóg wam zapłać.

Bohdan Zaleski.

II. WALNY ZJAZD

TOWARZYSTWA NAUCZYCIELI SZKÓŁ WYŻSZYCH

w Krakowie (w d. 20 i 22 kwietnia b. r.).

PRZEZ

Romana Zawilińskiego.

I.

Od początku istnienia Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych w Galicyi ujawniała się potrzeba opracowania instrukcyi do nauczania języka polskiego w szkołach średnich galicyjskich. Na zeszłorocznym walnym zjeździe we Lwowie, przedstawiono w dwu gruntownych referatach potrzebę instrukcyi i zmiany książek szkolnych, służących do nauki języka polskiego równie w niższém jak i wyższém gimnazyum, oraz potrzebę wydania utworów prozaicznych jak poetyckich, w całości lub stosownie skróconych, a przeznaczonych do lektury szkolnej lub domowej klas wyższych. Ponieważ sprawę wypracowania instrukcyi polecono téj saméj komisyi, której wspólnym owocem były „wskazówki“ przez prof. Próchnickiego zestawione, dodając zarazem, aby wysłuchano opinii wszystkich poszczególnych kół w téj sprawie, dlatego w ich pracach spotykamy najwięcej zajęcia się tym przedmiotem. I tak koło drohobyckie w końcu czerwca z. r. obszernie tę rzecz traktowało na miesięczném posiedzeniu, a przez usta referenta prof. Polaka wypowiedziało przekonanie, że nie należy zbyt ograniczonego stanowiska wyznaczać historii literatury polskiej w gimnazyum wyższém, ale utrzymać ją na tém, jakie jój wyznacza najnowsza instrukcyja ministerjalna dla języka niemieckiego; że następnie nie należy pomijać pomników języka XIV-go i XV-go wieku i pisarzy w. XVII-go, ale im odpowiednie wyznaczyć miejsce, i w tym celu pragnie wykazy pisarzów i ich utworów, które się w wyższém gimnazyum czytać powin-

no; nakoniec w sposobie czytania chciałoby uwzględnić rodzaje prozy i poezji, a przy objaśnianiu utworów trzymać się téj zasady, że komentarz dopiero się tam kończy, gdzie się poczyna jasna świadomość rzeczy.

Koło krakowskie, pracując skrętnie w raz obranym kierunku, zajęło się także instrukcją do nauki języka polskiego w wyższém gimnazyum. Wychodząc z téj zasady, że nam ile możności potrzeba wyzyskać to wszystko dla języka ojczystego, co dla niemieckiego nowe instrukcye ministryalne przepisują, zastanawiało się gruntownie nad sprawą nauczania gramatyki polskiej w klasie V-ój i VI-ój, i uznało ją dla języka ojczystego za doniosłą i ważną. Zgadzać się analogicznie z przedmiotem nauczania, wskazanym w instrukcyach dla języka niemieckiego, odstąpiło atoli od rozkładu na dwie klasy w przekonaniu, że nie należy do klasy VI-ój, w której rozpoczyna się systematyczną lekturę literacką porządkiem historycznym, wprowadzać więc gramatyki (1 godz. na dwa tygodnie), ale wszystek czas poświęcić już literaturze, na czém nietylko ona zyska, ale i sama nauka gramatyki, jeśli się jój w klasie V-ój zamiast co 2 tygodnie jedną godzinę, tygodniowo jedną poświęci. Wymiar czasu więc ten sam, ale w mniejszym przeciągu, przez co tylko na intensywności zyskuje. Z rozwiniętym planem téj nauki postanowiło Koło krakowskie wystąpić na walnym Zjeździe, celem uzyskania uchwały ogólnej. Co do nauki literatury polskiej uznało Koło krakowskie (w myśl instrukcyi a odmiennie od „wskazówek“ Komisji lwowskiej) za potrzebne, aby wprowadzić w klasie V-ój 2 godziny tygodniowo rysu poetyki i prozaiki, popartego wybournymi ustępami w Wypisach, ilustrującemi najważniejsze rodzaje prozy i poezji z wyjątkiem dramatu. Od klasy VI-ój zaś do VIII-ój powinniby się uczniowie zaznajomić z rozwojem literatury polskiej w porządku chronologicznym i to tak, aby wiek XVI, XVII-ty i XVIII-ty zajął trzy półroczu, drugie zaś trzy poświęcić wiekowi XIX-mu. Nauka odbywałaby się powinna na podstawie podręczników, obejmujących nietylko wyjątki z pism wybitniejszych autorów, ale i historyczno-literackie uwagi o wiekach XV—XIX-go, z dołączeniem życiorysów cenniejszych pisarzy. Z wnioskiem tym postanowiono również wystąpić na walnym tegorocznym zjeździe.

Koło przemyskie doszło co do nauki literatury do zupełnie zgodnych z krakowskimi wniosków; tylko co do nauki gramatyki, nie uważa za potrzebne rozszerzać jój i do klas wyższych, ale ukończyć w 4-ach latach a w dwu kursach: elementarnym i systematycznym, (w myśl instrukcyi co do klas niższych). Równie szeroko traktowała tę sprawę koło stanisławowskie, ale z suchój sprawozdawczej notatki niepodobna wyciągnąć, do jakich doszło rezultatów. W kole tarnowskiem dyrektor Bronisław Trzaskowski poruszył sprawę nauki języka polskiego w klasach niższych.

Drugą sprawą więc wewnątrznej natury, poruszoną przez Koło krakowskie, była sprawa umundurowania młodzieży szkolnej, dyskutowana żywo we wszystkich kołach. Głównym powodem, dla któ-

rego Koło krakowskie za umundurowaniem się oświadczyło, było poczucie potrzeby jakiegoś środka, któryby nawet zewnętrznie zacierał różnicę stanów, a w ten sposób przyczyniał się do większego koleżeństwa; przez wybitną zaś różnicę zewnętrzną umożliwiał przełożonym kontrolę nad uczniami poza szkołą, której się szkoła jako zakład wychowawczy z rozmaitych względów wyrzec nie może i nie powinna. Wniosek Koła krakowskiego, mający formę życzenia w obec władz przełożonych, doznał u kół Towarzystwa rozmaitego przyjęcia. Koło lwowskie przystąpiło w zasadzie do uchwały Koła krakowskiego, stanisławowskie uczyniło to z zastrzeżeniem, jeżeli rzecz praktyczną się okaże, a tarnowskie, uznając wszystkie strony dodatnie, ze względu na stosunkową drogocność mundurów, nie przychyliło się do wniosku krakowskiego; koła drohobycko-stryjskie i przemyskie oświadczyły się stanowczo przeciwko mundurów. Nie przytaczając tutaj powodów, które zmusiły te koła do opozycji, zaznaczyć musimy, że mogło się to stać głównie z braku odczuwania potrzeby na prowincyi, gdzie i ilość młodzieży mniejsza, i rozległość miast nie tak wielka, ułatwiają kontrolę.

Przechodząc do innych spraw, poruszanych lub opracowywanych w kołach Towarzystwa, zauważyć musimy, że najgoręcej zajmowano się tylokrotnie już wspomnianą instrukcją ministeryalną z r. 1884, badając, o ile teoretycznie te wskazówki mają grunt realny w praktyce, lub o ile odpowiednio do innych stosunków galicyjskich należałoby je zmienić, aby nie chybić celu właściwego wychowania. Językami klasycznymi zajmowano się we wszystkich kołach (z wyjątkiem krakowskiego i stanisławowskiego), i to szczególnie lekturą w klasach wyższych; po nich nauką matematyki, nauk przyrodniczych, historii i geografii. Sprawę nauczania t. zw. propedeutyki filozoficznej poruszył w Kole krakowskiem prof. M. Straszewski; język zaś niemiecki a przedewszystkiem jego nauczanie w klasach niższych było tylko przedmiotem obrad w kole tarnowskiem. Ostatni ten przedmiot wymaga jednak gorliwego zajęcia się nim nauczycieli fachowych, aby jego nauczanie utrzymać na właściwem stanowisku; ku temu potrzebna niezbędnie instrukcja, aby zbyt gorliwi albo nieopatrzni nie chcieli stosować miary wymagań w tym języku przez instrukcyje ministeryalne dla prowincyi niemieckich wskazanej, do szkół galicyjskich, gdzie on nie jest ojczystym, ale obok ojczystego drugim nowożytnym.

W zakresie nauk gimnazjalnych udzielano sobie również wiadomości naukowych, szczególnie co do języków klasycznych, języka polskiego i matematyki.

Ze spraw ogólniejszej pedagogicznej natury, oprócz sprawy umundurowania uczniów powyżej przedstawionej, zajmowano się w kole krakowskiem sprawą obarczenia uczniów pracą pozaszkolną, i sprawą uroczystych popisów i nagród szkolnych; w kole tarnowskiem sprawą karności i reorganizacyi szkół średnich; w kole lwowskiem sprawą jednorazowej dziennicy nauki. Nad stanowiskiem i stopniem służbowym nauczycieli zastanawiano się w kole drohobycko-stryjskiem, nad

odpowiedniem przygotowaniem i wykształceniem nauczycieli w kole tarnowskiem.

Z tego szkicu pobieżnego pracy Towarzystwa w kótkach można powziąć wyobrażenie o jej kierunku. Jakkolwiek nikomu to nie jest tajne, że reorganizacja szkół średnich byłaby jednym z najskuteczniejszych środków ich podniesienia, przecież oceniając trzeźwo sytuacją i licząc się z okolicznościami, Towarzystwo nie podjęło opracowania planu stosownej reformy, pragnącej z góry ogólnej naprawy, ale poczęło z dołu, od drobiazgów niemal, które się łatwo administracyjną drogą dadzą uzyskać, bez apelowania do najwyższych władz ustawodawczych. To też nie dziw, że ta trafna metoda pracy wieńczy ją dotąd jak najpomyślniejszymi rezultatami. I tak: sprawa reorganizacji szkół realnych, należących do kompetencji sejmu krajowego, poruszona na zeszłorocznym walnym zjeździe, weszła już na właściwe tory. Wskutek memoriału wniesionego przez wydział Towarzystwa do sejmu, wezwał sejm rząd, aby już teraz drogą administracyjną wprowadził do programu nauk obowiązkowych szkół realnych galicyjskich, prócz języka polskiego i niemieckiego, naukę przynajmniej jednego jeszcze języka nowożytnego, a to francuzkiego lub angielskiego, bez powiększenia ogólnej liczby godzin wykładowych, jeśliby się tyle pożądanego zmniejszenie nie dało żadną miarą skuteczniej. Taki sam memoriał przedstawiony radzie szkolnej spowodował jej odezwę do wydziału Towarzystwa z d. 27 lutego b. r., w której tak się wyraża: „Szczególny Wydział, zajmując się wielostronnie tą sprawą, przyczyniłby się niewątpliwie do załatwienia jej szybszego, gdyby przedstawił radzie szkolnej krajowej szczegółowy program dla szkół realnych galicyjskich, oparty na zasadach i życzeniach wyrażonych w swém podaniu. W tym celu udaje się też rada szkolna kr. niniejszemu do szanownego wydziału.“

W podobny sposób powzięta uchwała przez zeszłoroczne walne zgromadzenie w sprawie podręczników szkolnych, znalazła przychylnie przyjęcie. Wydział Towarzystwa wniósł podanie do sejmu z prośbą o przywrócenie dawniej dotacji w kwocie 1,000 ztr. na nagrody za najlepsze podręczniki dla młodzieży szkół średnich i o oddanie tej kwoty do dyspozycji rady szkolnej, następnie przedłożył radzie szkolnej projekt, zmierzający do ożywienia ruchu na polu piśmiennictwa szkolnego, jakoteż do ulepszenia książek szkolnych przez utworzenie stałej komisji, któraby, pod kierownictwem i bezpośrednim wpływem rady szkolnej, układała plany podręczników, ogłaszała konkursy i zajmowała się recenzją prac nadsyłanych. W odpowiedzi na to, sejm petycją Towarzystwa „dotyczącą przedmiotu bardzo ważnego,“ przekazał wydziałowi krajowemu do rozpatrzenia i przedstawienia wniosków w przyszłej kadencji, rada szkolna zaś zajęła się zbadaniem projektu i postanowiła usilnie poprzeć petycją Towarzystwa wniesioną do sejmu.

Sprawa suplentów tylokrotnie przedtém już poruszana, w któ-

rój wiele petycji do władz powysyłano, nie wymagała już nowych kroków; jednak wydział wniósł do rady szkolnej prośbę o usunięcie interkalaryów w mianowaniu dyrektorów i nauczycieli, przez co przynajmniej pewna część suplentów mogłaby prędkiej otrzymać posady.

Nakoniec sprawa fizycznego kształcenia młodzieży, którą tak żywo na zeszlórczym walnym zjeździe przedstawił prof. Palmstein, doznała poparcia ze strony wydziału filozoficznego uniwersytetu lwowskiego, który na wniosek prof. Br. Radziszewskiego przedstawił ministertwu potrzebę utworzenia katedry higieny i somatologii.

Takimi i tak rychłemi owocami swych prac i życzeń, rzadko które Towarzystwo, zwłaszcza w początkach swego istnienia, poszczycić się może. Daje to miarę powagi i znaczenia, jakie sobie Towarzystwo u władz i reprezentacji kraju od razu zyskało, z drugiejsz strony jest silną podniecią dla samego Towarzystwa, a zwłaszcza jego wydziału do podejmowania dalszych prac, skoro uznanie jawną jest wskazówką, że się kroczy po właściwój i prosto do celu wiodącój drodze. To téz nie dziw, że każdy niemal nauczyciel poczytuje sobie za obowiązek, a zarazem i zaszczyt być członkiem Towarzystwa, wskutek czego liczba ogólna członków dochodzi obecnie do 560. Mimo to „nieobecnych“ jeszcze wielu, zwłaszcza w miastach prowincjonalnych; z niektórych bowiem gron zaledwo jeden na dziesięciu do Towarzystwa należy, a za pomyślny rezultat trzeba poczytywać fakt, jeżeli liczba członków Towarzystwa wynosi połowę członków całego grona nauczycielskiego. Można nad tém ubolewać, ale wytłómaczyć łatwo; natomiast dziwić się należy, że w miastach głównych są liczni „nieobecni“, którzy nawet ironicznie i dwuznacznie o Towarzystwie mówią i „nieobecnością“ swoją się chełpią... Miejmy nadzieję, że nawet silne uprzedzenia ustąpią z czasem dobru kraju i całego stanu nauczycielskiego.

II.

W wielki wtorek t. j. dnia 20 kwietnia b. r. o godzinie 10-ój przed południem zapełniła się piękna sala Rady miejskiej krakowskiej nauczycielami szkół średnich i profesorami uniwersytetu. Przybyłych z prowincyi i ze Lwowa na trzecie walne zgromadzenie było do 70-ciu. Zebranie zaszczytliło swoją obecnością: ks. biskup krakowski, naczelnik władzy politycznej, prezes Akademii umiejętności i rektor uniwersytetu.

Zagaikł posiedzenie pierwsze prezes Towarzystwa prof. Bronisław Radziszewski. Wyraziwszy radość z powodu spotkania się w prastarój stolicy i skonstatowawszy, że Towarzystwo ogólną cieszysz się sympatją zaznaczył czcigodny prezes, że celem prac Towarzystwa jest pożytek kraju. Nagrodą za nie jest przeświadczenie o pożyteczności pracy, którego nabyć można tylko wówczas „gdy społeczeństwo zechce nas i nadal wspierać, oświecać i wzmacniać; gdy między oświeconą

warstwą narodu i stanem nauczycielskim wytworzy się zupełna harmonia w zapatrywaniach na cele i środki edukacyjne.“ Skreślony obraz tych prac Towarzystwa, kierunku i dążenia do celu wychowania, „którym jest i pozostanie: cały zasób wrodzonych sił fizycznych, moralnych i intelektualnych rozwinąć i do pełni życia doprowadzić,“ wyraża życzenie, aby pracę każdego nauczyciela ogrzewało ciepło własnego uczucia i opromieniała osobista godność, aby zaś trudności lżejszemi się stawały w poczuciu koleżeństwa.

Po przywitaniu zgromadzonych przez prezydenta miasta i przyjęciu do wiadomości drukowanego sprawozdania wydziału, przystąpiono do pierwszego punktu porządku dziennego, którym był referat prof. d-ra L. Germana: „O obciążeniu uczniów.“ W ostatnich latach kwestya obciążenia uczniów pracą pozaszkolną powstała prawie równocześnie w Austrii i w Niemczech. „Die Ueberbürdungsfrage“ ma prawie osobną literaturę, przeważnie broszurową, a artykuły dziennikarskie temu pytaniu poświęcone zliczyćby ledwie można. Zkąd nagle to pytanie powstało? Odpowiedź trudna. Nieprzyjaciele studiów klasycznych, chcący widzieć w szkole średniej szkołę fachową praktyczną, wołać zaczęli na przeciążenie młodzieży preparacyami, wokabularzami, ćwiczeniami gramatycznymi i t. p., które ich zdaniem na nic się nie przydadzą; lekarze i hygieniści wystąpili ze statystycznymi datami, przedstawiając coraz większą słabość wzroku u młodzieży i wczesne wstrzymanie rozwoju fizycznego, zwłaszcza w obec braku ćwiczeń cielesnych; nakoniec rodzice, których dzieci odznaczały się albo małą pilnością, albo brakiem wszelkich zdolności, zaczęli ręce łamać, narzekając na wysokość wymagań i nawet domowej pracy w ogólności. Kiedy prof. Cz. Pieniążek na jednym z zeszytów posiedzeń Koła krakowskiego sprawę tę podniósł i przytoczył jako oczywisty dowód przeciążenia fakt, że obecnie, zwłaszcza w większych miastach, uczeń nawet o lepszych zdolnościach bez korepetytora obejść się nie może, dały się słyszeć w toku długiej dyskusji rozmaite zdania prawie sprzeczne, bo jedni stanowczo twierdzili, że przeciążenia nie ma, inni że jest i szukali go bądź to w systemie nauczania czyli w planie szkolnym, bądź w nauczycielach samych, którzy, bez harmonii z innymi przedmiotami nauki, na swój przedmiot tylko główny kładą nacisk, zmuszając uczniów do szczególniej w tym kierunku pilności. Nie da się przeczyć, że we wszystkich tych zdaniach jest coś prawdy. I tak prawdą jest, że plan naukowy gimnazyów austriackich w ogóle pisany przedewszystkiem dla szkół z językiem wykładowym niemieckim, a zastosowany bez zmiany do szkół galicyjskich przeciążenie sprawić musi; tu bowiem oprócz języka ojczystego, którym jest polski, uczniowie muszą się uczyć w znacznej liczbie godzin języka niemieckiego we wschodniej Galicyi, i drugiego krajowego ruskiego (rusińskiego), przeto i liczba godzin szkolnych, i pracy domowej musi być znacznie wyższą, niż w prowincjach niemieckich monarchii Austro-węgierskiej. Prawdą jest również, że zwłaszcza młody,

niedoświadczony, nieposiadający pedagogicznej miary i dydaktycznej zręczności nauczyciel może uczniów w swym przedmiocie przeciążyć, ale będzie to trwało niedługo, bo albo kierownik zakładu zwróci mu na to uwagę, albo sam powoli się przekona, że miarę przekracza.

Bądź co bądź narzekania były i są, między samymi nauczycielami zdania bardzo były podzielone, warto więc było zająć się tą kwestją bliżej i zbadać ją o ile możliwości wszechstronnie. Krakowskie Koło powierzyło tedy referat w tej sprawie dwom referentom, poczem po dyskusji wyczerpującej w Wydziale, postanowiono wystąpić z wnioskami na walnym zjeździe i referat oddano prof. Germanowi.

Szan. referent przedstawił tedy wszystko, co mogło wywołać skargi na przeciążenie, zbadał wszystkie na tę sprawę wpływające względy i przedstawił jako rezultat następujące wnioski:

1. Plan nauki obowiązujący w naszych szkołach średnich należy być wykonany nie może być źródłem istotnego obciążenia młodzieży;
2. Objawy obciążenia dają się stwierdzić tylko sporadycznie i mają źródło:

a) w niedostatecznym przygotowaniu znacznej części młodzieży na wszystkich stopniach nauki;

b) w niezawsze harmonijnym traktowaniu wszystkich przedmiotów nauki przez nauczycieli jednej klasy.

Z dyskusji w Kole krakowskim niegdyś toczonej wnioskować można było, że najmniej ożywioną będzie na zjeździe. I w rzeczy samej tak się stało.

Dr. K. Petelenz (z Krakowa) sądził, że instytucja egzaminów wstępnych nie może spełnić swego zadania: poznania umysłowego rozwoju ucznia, i dlatego mniema, żeby odpowiedniejszemu było przyjmowanie uczniów bez egzaminu a relegowanie po pierwszym półroczu nauki gimnazjalnej.

Prof. Sołtysik (ze Lwowa) konstatuje, że wnioski postawione zwracają się równie przeciw nauczycielom jak i przeciw uczniom. A jednak przypatrzysz się np. planowi języków klasycznych, nie można obwiniać nauczyciela, jeśli uczniów przeciąży; plan ten bowiem wykonać się nie da, i uczeń wymaganiom nie odpowie. Zostaje tedy alternatywa: albo planu nie wykonywać, albo go też wykonać bez względu na rezultaty nauki. Jedno i drugie złe. Przeciążenie tedy istnieje a jego przyczyna w dysproporcji między wymaganiami a czasem do nauki przeznaczonym.

Dr. Pechnik (z Tarnowa) widzi w planie naukowym dążność do obciążenia; prócz tego nauczyciel zamiłowany w swym przedmiocie żąda wiele a uczniowie ambitni, chcąc mu zadosyć uczynić są przeciążeni zwłaszcza w kl. VIII, gdzie obok bieżącego materiału naukowego, który sobie przyswajają, muszą powtarzać wiele do egzaminu dojrzałości. Sądzi tedy, że zwłaszcza starszym uczniom należałoby dać więcej czasu do samodzielnego rozwijania się. Przecią-

zeniu w niższych klasach możnaby, zdaniem Dr. P., zapobiedz w ten sposób, że gospodarz klasy zaraz na początku roku wyznaczałby uczniom czas do domowej pracy i kontrolował potem spełnienie polecenia. Następnie przedstawia wniosek (wkraczający w sferę organizacyi planu), aby Walne zgromadzenie poleciło przeniesienie większej ilości godzin dla filologii do niższych klas, wyższym zaś pozostawiło przedewszystki-
kiem przedmioty realne, jak matematykę i fizykę, nadto filozofią.

Dyr. B. Trzaskowski (z Tarnowa) zgadza się na pierwszy wniosek referenta, ale z zastrzeżeniem jeżeli plan się należyście wykona a uczniów tylko dobrze przygotowanych do wyższych klas szczególnie promować będzie. Co do drugiego wniosku zdanie jego jest odmienne. Obciążenie jest i to więcej niż sporadyczne, a w pierwszym rzędzie dotyka ono abiturjentów, od których corocznie się dowiaduje, że najlepsi potrzebują poświęcać nauce dziennie 10 do 15 godzin a przed egzaminem dojrzałości do 20 godzin. Przyczyny tego leżą nietylko w niedostatecznym przygotowaniu uczniów, ale i w niedostatecznym wykonaniu planu, t. j. bez uwzględnienia pedagogicznych i dydaktycznych warunków. Konstatuje, że młodzi nauczyciele nie są ani teoretycznie, ani praktycznie obznajomieni z pedagogią i dydaktyką, nie mają świadomości, jakie stanowisko zajmuje w planie ogólnym przedmiot, którego oni nauczać mają, w skutek czego następują wygórowane wymagania i obciążenie szczególnie w klasach wyższych. To nie może mieć innych u uczniów skutków tylko znużenie i zniechęcenie. Brak znajomości dydaktyki sprawia, że nauczyciele często wykładają zamiast uczyć i przenoszą przez to ciężar nauki do domu. Do tych przyczyn dołącza się przepełnienie klas, w których nauczyciel nie może dobrze poznać uczniów, i przesadne nieraz temata do wypracowań domowych. Skoro te przyczyny istnieją, istnieje i skutek, którym jest obciążenie uczniów, szczególnie w kl. VIII powszechnie.

Dr. Żuliński (ze Lwowa) zwracał uwagę na zaniedbanie wychowania fizycznego i pomijania względów na konieczny wypoczynek, jakim są np. święta dla młodzieży uczącój się. Nauczyciele zadawający wiele na te ferye źle czynią. W obec podniesionych przez poprzednich mówców trudności i przyczyn, uważa korepetycye domowe za malum necessarium i dla tego proponuje, aby sprawę tę wydziałowi przekazać do gruntownego zbadania. Nakoniec chciałby większej ścisłości w klasyfikacyi, w skutek czego ani po wakacyach nie byłoby poprawczych egzaminów, aniby nieprzygotowani do nich nie przechodzili do wyższej klasy, tworząc balast.

Prof. Habura (z Tarnowa) widzi przyczynę przeciążenia istniejącego wszędzie w tej okolicy, że szkoła ludowa, mając inne cele na oku, nie rozwija uczniów pod względem formalnym tak, że uczniowie przychodzący do gimnazjum nie rozumieją budowy zdania pojedynczego. Obok tego źródło obciążenia tkwi i w dydaktyce gimnazyalnej, która za wiele pracy przenosi do domu. W pewnej mierze przyczyną może być i zbyt duża gorliwość nauczyciela.

Prof. Rostafiński zalecał egzamin z IV do V klasy jako bardzo pożyteczny, prof. J. Petelenz (ze Lwowa) bronił nauczycieli przed zarzutem zbyt szczupłej gorliwości i podnosił chwalebny zapał, potwierdzając zarazem, że plan nowy np. co do nauk przyrodniczych absolutnie wykonać się nie da. Nakoniec prof. Cz. Pieniążek polecał Wydziałowi gorąco sprawę korepetycyj domowych, o których usunięcie chodziło mu przedewszystkiem przy poruszeniu sprawy przeciążenia.

Po przemówieniu generalnego mówcy (za przeciążeniem) prof. Jana Lewickiego (z Przemyśla), który myśli dyr. Trzaskowskiego popierał i zaznaczył, że uczniowie obarczeni nie mogą kształcić się lekturą arcydzieł literatury i przez to wielkie ponoszą straty — zabrał głos ostatni referent i kładł nacisk na wyraz należyte wykonanie planu, przez które rozumiał uwzględnienie względów pedagogicznych i dydaktycznych. Odpierając zarzuty oponentów zaznaczył, że fizyczne wychowanie młodzieży i wiele innych proponowanych przeciwko obciążeniu środków nie od nas zależy, i wchodzi w kwestyą reformy szkół. Twierdząc stanowczo, że uczeń pilny o średnich zdolnościach może bez przeciążenia wymaganiom podołać, poleca zgromadzonemu gorąco uchwalenie podanych wniosków, bo wynik głosowania będzie miał znaczenie nie tylko dla nauczycieli ale i dla kraju; „dla wypełnienia naszych zadań potrzeba nam pomocy innych czynników, mianowicie usilnej pomocy domu rodzicielskiego, szkoły ludowej i władzy.“

Przewodniczący prof. Radziszewski reasumując dyskusyą konstatuje, że obciążenie istnieje, ale że referent nazywa je sporadycznym, inni powszechnym. Ponieważ najważniejsze różnice istnieją w zapatrywaniu na przyczyny obciążenia; mianowicie czy plan naukowy jest przyczyną przeciążenia, lub czy należyte wykonanie go nie jest, przeto poddaje pod głosowanie pierwszy wniosek referenta. Przyjęto go większością podobnie jak i wniosek drugi, do którego dodano w myśl żądań prof. Pieniążka i Żulińskiego: „Poleca się Wydziałowi, by sprawę korepetycyj domowych poddał pod dyskusyą kół i aby na przyszłym walnym zgromadzeniu przedstawił odpowiednie wnioski w sprawie klas przygotowawczych do gimnazjum.“

Na tém zamknięto pierwsze posiedzenie.

Tego samego dnia po południu referował prof. L. Świerż (z Krakowa) w sprawie zaprowadzenia mundurów u młodzieży szkół średnich. Wspomnieliśmy już o tej sprawie we wstępie, bo ona zajmowała żywo wszystkie Koła towarzystwa, i w większej części doznała nieprzychylnego przyjęcia. Referent przeto miał ciężkie zadanie nawet sceptyków nawrócić i dla swój sprawy ich pozyskać. Przedstawił tedy potrzebę ścieśnienia swawoli uczniów, zdania tych co mundurki studentki nosili, a szczególnie położył nacisk na to, że mundurek wyrabia poczucie korporacji, utrwała koleżeństwo i zaciera różnicę stanów, kładąc

tamę paniczykostwu, w większych miastach grasującemu. Nie przemilczał i o tém, że w mundurku uczeń lepiej się przedstawia, aniżeli w tandetném ubraniu, z którego nawet choroby zaraźliwe przeszczepiać się zwykły. Ponieważ podniesiono przeciw mundurkom ich drożyznę, przeciwstawił temu referent orzeczenie krawca, który oznajmił, że 12 złr. na mundurek wystarczy. Rzeczą swą zakończył wnioskiem: „Walne zgromadzenie wyraża życzenie, aby władze szkolne zaprowadziły w szkołach średnich mundury dla młodzieży.“

W dyskusyi zabrał głos najpierw dyr. Br. Trzaskowski, który skreślił na wstępie historyczny przebieg téj sprawy w ostatnich dwudziestu latach. Przed laty 13 poruszyła tę rzecz Rada szkolna krajowa, ale skoro się większość gron nauczycielskich okazała przeciwną, rzecz poszła ad acta. Podobnego losu doznała wznowiona przez Towarz. pedagogiczne. Dziś występuje po raz trzeci i zaprzeczyć nie można, że za wnioskami Koła krakowskiego przemawia bardzo wiele. Przytaczane przeciw umundurowaniu względy na swobodę obywatelską rodziców, którzyby byli zmuszeni takie a nie inne suknie sprawić dzieciom, uważa mówca za mało znaczące, boć w wielu zakładach istnieją mundury (np. w szkołach rolniczych) i nikt na ograniczenie swobody nie narzeka. Popiera dalej wszystkie motywa referenta, jako to: podniesienie karności, wyrobienie poszanowania stanu i godności osobistój — a jednak wraz z Kołem tarnowskiém mówca oświadcza się przeciw wprowadzeniu mundurów. Względem prawie jedynym a w téj sprawie decydującym jest wzgląd na ubóstwo większej części młodzieży szkolnej, rekrutującój się z synów wieśniaków, małomieszczan, przemysłowców, urzędników, sług i sierot. Na 650 uczniów gimnazjum tarnowskiego 109 jest synów włościan, 5 małomieszczan, 85 rękodzielników i przemysłowców, 105 urzędników niższych i sług rządowych, 50 synów sług a 60 sierot. $\frac{3}{4}$ tedy frekwencyi gimnazjum tarnowskiego należy do młodzieży ubogiej, której rodzicom umundurowanie byłoby uciążliwe. Kompletne bowiem umundurowanie ucznia (palto i czapkę wliczając) kosztowałoby 20 do 30 złr., a u niektórych dwa razy tyle, jeśli prędkiej zniszczą. Dziś ubranie, które z taniój materji sama nieraz matka uszyje, kosztuje 5 do 8 złr.; na zimę kupi tani paltocik i tak przyodzieje się ucznia co najwyżej za połowę tego kosztu, któregooby mundur wymagał. Dziś gdy tyle kosztują książki, opłata szkolna dość znaczna, którą przy wstępie do gimnazjum złożyć muszą, wprowadzenie mundurów zaparłoby wielu wstęp do szkoly. Gdyby to trafiło młodzież nieutalentowaną, toby środek taki można nawet uznać za praktyczny; ale że w większej części z téj ubogiej młodzieży wychodzą tacy, którzy później stają się chlubą narodu, przeto środek ten jest zły i niegodziwy. Oświadcza się tedy stanowczo przeciw wprowadzeniu mundurów, i tylko wtedy dałby się przekonać, gdyby mundurek kosztował tyle, co dziś zwykłe ubranie lub mało co więcej.

Następnie imieniem Koła przemyskiego przemawiał Dr. M. Warm ski (z Przemyśla). Uważa on, że przeceniano korzyści mogące wypłynąć z wprowadzenia mundurów i sądzi, że rzecz taka mogłaby być dopiero koroną reformy ogólnej, bez niej zaś będzie zwykłą zmianą sukni. Wszystkie zresztą podniesione przez referenta motywa nie są decydujące. Różnicy stanów bowiem nie potrzeba zacierać w szkole, gdzie ona nie istnieje przynajmniej w obec przełożonych, a dla późniejszego życia ona istnieć musi, i mundur jój nie zniesie, który uczeń po skończeniu szkoły zrzuca. Onby tylko różnicę stanu zakrył na jakiś czas, jakby coś złego, czego się uczeń ubogi w szkole wstydzić powinien. Próżności, jeśli jest, nie wykorzeni, bo wiadomo że jój może najwięcej u tych, co mundur noszą, a koleżeństwa, wynikającego z wewnętrznego poczucia i potrzeby, mundur — znak zewnętrzny — pewnie nie obudzi. Jako środek na wzmocnienie karności, uważa mówca umundurowanie za rzecz niestósowną; rzuca się bowiem na młodzież podejrzenie, że ona nie jest karną, i aż tego trzeba użyć środka, aby ją w karby przywrócić. Jako kara będzie mundur na ulicy dla ucznia pęgiem i słuszną rzecząby było, aby ten, który na ten pęgiem nie zasługuje mógł go jak najprędzej zrzucić. Przytaczane przykłady innych krajów nie przekonywają, bo pytanie czy młodzież tamtejsza, jeżeli lepsza, zawdzięcza to mundurkom. Uważa tedy mundurki za drogą parady, której nie mamy potrzeby wprowadzać.

Dr. Ign. Petelenz (ze Lwowa) mniema, że ten tylko ma prawo decydować o ubraniu, kto to ubranie płaci, jak to bywa w wojsku i w służbie rządowej niższego rzędu. Demoralizacyi, jeśli jest, mundur nie usunie, a gdybyśmy chcieli naśladować przykłady innych państw tobyśmy właśnie nie powinni zaprowadzać mundurów, bo tam tylko istnieją w konwiktach ¹⁾.

Po przemówieniu prof. Rostafińskiego za umundurowaniem zamknięto dyskusyą i wybrano generalnych mówców: przeciw mundurom prof. K. Fischera (ze Lwowa) za prof. M. Bobrzyńskiego. Oponent zestawiał tylko podniesione przeciw mundurkom zarzuty i sądził, że ich wprowadzenie nie jest potrzebne; prof. Bobrzyński zaś odwołuje się do tych, którzy mundur nosili, sądzi że on pożyteczny, i że on wziął u nas początek ze szkoły kadetów, przeszedł do Krze-

¹⁾ „Muzeum“ z maja r. b. podaje wynik poszukiwań w tym przedmiocie:

W Szwajcaryi uczniowie szkół średnich noszą mundur tylko w tych zakładach, które mają organizacyą wojskową. Tu i owdzie noszą mundurki gimnastyczne. We Francyi istnieje mundur tylko w zakładach mających ochotę internatów — po za szkołą nikt munduru nie nosi. W Szwecyi, Belgii, Anglii i Niemczech uczniowie szkół średnich nie noszą żadnych mundurów. Na Śląsku zabroniła Rada szkolna nawet noszenia ozapek, jedynej odznaki u uczniów szkół średnich. (Przyp. sprawozdawcy).

mieńca i szkół późniejszych Królestwa aż do dnia dzisiejszego. Po przemówieniu referenta zarządził przewodniczący głosowanie, w którym większością głosów wniosek Koła krakowskiego przyjęto.

Następny punkt porządku dziennego stanowił wniosek w sprawie wydania pragmatyki służbowej dla nauczycieli szkół średnich, o którym referował prof. Jerzy Harwort (z Przemyśla). Co to jest pragmatyka służbowa? Jestto określenie dokładne praw i obowiązków urzędnika państwowego tak, że on z jednej strony, wiedząc jakie do jego stanowiska przywiązane są obowiązki, może się sumiennie z nich wywiązywać i mieć przekonanie, że go władza tylko podług tych a nie innych kryteriów ocenia; z drugiej strony wie jakie ma prawa, których w razie nieformalności dochodzić może. Taką pragmatykę posiadają nawet niższej kategorii urzędnicy—nie posiadają jej tylko—nauczyciele szkół średnich. Jeszcze co do obowiązków, to każdy nauczyciel ma ich świadomość, chociaż nie wie czy władza i czego innego żądać od niego nie będzie, ale świadomości praw swoich nie posiada i dochodzić ich nie może. Do tego, jako zabytek dawnych czasów, istnieją t. zw. tajne tabele kwalifikacyjne, w których bezpośredni przełożony nauczyciela wpisuje swoje uwagi bez świadomości tego, kogo dotyczą, a dla wiadomości władzy wyższej. Referent wyrazistemi barwami podniósł niesprawiedliwość wyrządzaną nieraz nauczycielom przez owe tabele oraz przez brak pragmatyki i postawił wniosek:

„Walne zgromadzenie uznaje potrzebę wydania pragmatyki służbowej dla nauczycieli szkół średnich i upoważnia Wydział towarzystwa do poczynienia w tym kierunku kroków, które uzna za potrzebne.“

W dyskusji zabrał głos prof. Tomaszewski i dziękując referentowi za poruszenie sprawy, leżącej na sercu każdemu nauczycielowi, zwraca uwagę na najnowsze instrukcye, które żądają od nauczyciela, aby był ideałem, a nie ma niczego, coby mu przyznawało pewne prawa z jasnym ich określeniem. Jak dalece nauczyciele niżej stoją od innych urzędników, dowodem jest to, że stabilizacya (t. j. zatwierdzenie na posadzie) i przyznanie dodatku pięcioletniego (kwinkwennium) jest rodzajem łaski, o którą prosić musi nauczyciel, a nie prawem, o któreby się mógł upomnieć. Tego w żadnej dykasteryi urzędniczej nie ma. Żąda tedy dodania tych dwu punktów do wniosku prof. Harwota, a skoro się referent na to zgodził, zgromadzenie wnioski jednogłośnie przyjęło.

Na tém zakończono pierwszy dzień obrad.

Trzecie posiedzenie rozpoczął prof. E. Bandrowski (z wyższej szkoły przemysłowej w Krakowie) wnioskami w sprawie szkół przemysłowych, szeroko i gruntownie z prawdziwym znanstwem rzeczy i fachowo umotywowanemi. Przedstawiwszy zamierzoną organizacyą szkół przemysłowych w Austrii i podział ich na wyższe i niższe

(pierwsze dla kierowników, drugie dla majstrów i czeladników), i postawiwszy zasadę, że potrzeba i rozwój szkół przemysłowych ma się tak do przemysłu, jak popyt do produkcji, zastanowił się nad tem, jakich Galicya przedewszystkiem podług powyższej zasady szkół przemysłowych potrzebuje. Przemysł bowiem jest w kraju, ale nie tworzy on organicznej całości, a warunki jego rozwoju nie wyzyskane. Na każdym kroku przemysł galicyjski zawisły jest od zagranicy, a ogranicza się prawie wyłącznie do konsumpcyi krajowej. Dlatego to przemysłowców w pełnym tego słowa znaczeniu nie ma w Galicyi, a ci co są, stali się nimi z przypadku, i synów pchają do szkół wyższych i służby rządowej. Przemysł w Galicyi spoczywa w rękach niewykształconych i niewprawnych, i dla tego należyce rozwinąć się nie może. Jeżeli można mówić o przemysłowcach jako o klasie ludności, to chyba tylko o klasie robotników. Dla nich to potrzebne nam przedewszystkiem szkoły, i te mają warunki rozwoju, czego dowodem szkoły przemysłowe niższe we Lwowie, w Zakopanem i założone przez Tow. pedagogiczne w różnych miastach. Frekwencya tam liczna i z rokiem każdym się wzmaga. Inaczej się rzecz ma z wyższemi; te nie znajdują u nas poparcia, bo wychowaniec, który je ukończył, nie znajdzie w kraju odpowiedniego zajęcia. Zanim tedy stosunki się poprawią, radzi referent ostrożnie postępować z zakładaniem szkół przemysłowych wyższych, bo dwie: we Lwowie i w Krakowie zupełnie wystarczą. Wnosi przeto:

Walne zgromadzenie uchwała:

1. Pożądanem jest, aby kraj nasz pokrył się rozległą siecią niższych szkół przemysłowych wszelkiego rodzaju, a mianowicie: *a*) aby w kilku wybitniejszych pod względem przemysłowym miejscowościach urządzono szkoły majstrów; *b*) aby w miastach posiadających żywszy ruch rzemieślnicy powstawały ogólne szkoły rzemieślnicze; *c*) aby w każdej miejscowości przemysłowej zaprowadzono naukę uzupełniającą dla czeladzi przemysłowej.

2. Pożądanem jest, aby rychło weszła w życie wyższa szkoła przemysłowa we Lwowie i aby obie wyższe szkoły przemysłowe, lwowska i krakowska były wzorowo urządzone. Zakładanie zaś nowych tego rodzaju szkół nie jest na razie potrzebne.

W obec powyższych punktów jasną jest rzeczą, że szkoły przemysłowe muszą mieć odpowiedni zarząd w kraju, i siły nauczycielskie stosownie wykształcone. Komisya centralna we Wiedniu nie zna potrzeb kraju i nie może im odpowiedzieć, ale potrzeba koniecznie krajowych inspekcji złożonych z pedagogów. Wnosi przeto referent:

3. Pożądanem jest: *a*) aby zarząd szkół przemysłowych w naszym kraju był jeden, *b*) aby w skład krajowej komisji dla spraw i szkół przemysłowych wszedł pedagog obeznany z potrzebami szkół przemysłowych, *c*) aby inspekcją krajowych szkół przemysłowych powierzone pedagogom obeznanym z istotą tych szkół.

Szkoła przemysłowa każda ma pewne właściwości, dla których

jęj nauczyciele potrzebują posiadać specjalne wykształcenie. Gdzie je mają otrzymać? Rząd uważa kwalifikacją do szkół średnich za wystarczającą, ale nie za jedynie dobrą. W naszym kraju są rozmaici nauczyciele, ale dobrzeby było dać kandydatom pedagogiczne wykształcenie na specjalnym kursie, któryby mógł być na przyszły rok otworzony we Lwowie,

4. Pożądaném jest tedy, aby w wyższych szkołach przemysłowych urządzano kursa pedagogiczne dla kandydatów na nauczycieli szkół niższych przemysłowych, jak się to dzieje za granicą.

Przewodniczący otworzył dyskusyą nad każdym punktem wniosku z osobna. Prof. Graczyński (z Jasta), popierając wniosek referenta, zwraca uwagę na istniejący w Jasielskiem przemysł, ale nie racjonalny i dla tego uznaje wielką potrzebę szkół przemysłowych. Dyr. T. Stahlberger (z Krakowa) rozwija uwagi ogólne o potrzebie równowagi między fizyczną a umysłową pracą i o potrzebie zaprowadzenia warsztatów przy szkołach. Prof. Lewicki (z Przemysła) proponuje wniesienie memoriału do wydziału krajowego z prośbą o jednolity plan w szkołach przemysłowych wieczornych; prof. Dziwiński zaś porozumienie się z Towarzystwem politechniczném co do rozmieszczenia i sposobu urządzenia szkół przemysłowych. Na wniosek referenta przyjęto tylko do jego wniosku poprawkę prof. Lewickiego i wniosek pierwszy uchwalono.

Wniosek drugi popierał prof. Rotter (z Krakowa), prof. Bobrzyński zaś nazwawszy go ogólnikiem zapronował natomiast inaczej sformułowany:

„Przed zorganizowaniem i rozwinięciem wyższych szkół przemysłowych w Krakowie i we Lwowie, nie jest pożądane zakładanie szkół tego rodzaju.

Tę zmianę wniosku przyjęto.

Do punktu a) wniosku 3 zabrał głos prof. Rotter i żądał, aby wyższą szkołę dla przemysłu artystycznego włączono do szkoły przemysłowej. Prof. Dziwińskiemu nie podobał się wyraz „pedagog“, ale po obronie prof. Rottera i Odrzywolskiego wyraz ten się utrzymał i wniosek 3-ci przyjęto. Podobnie jak wniosek 4-ty, do którego prof. Rotter wniósł wstawienie przed wyrazem „wyższych“ wyrazu „obu“, co ma zdążać do tego, aby nie tylko we Lwowie, ale i w Krakowie otworzono kursa pedagogiczne dla kandydatów na nauczycieli szkół przemysłowych.

Po sprawozdaniu komisji lustracyjnej zdawał sprawę dyrektor dr. Z. Samolewicz z przekazanego wydziałowi z. r. wniosku, co do powiększenia w klasie I-ój i II-ój gimn. godzin nauki języka polskiego z 3 na 4 tygodniowo, (jak to mają prowincje niemieckie dla języka ojczystego) i co do utworzenia drugiej posady nauczycielskiej dla języka polskiego i niemieckiego.

Co do pierwszego, przedstawił referent negatywne zdanie wydziału; dodać bowiem godzin niepodobna a ująć również nie można żadne-

mu przedmiotowi, a zwłaszcza językowi niemieckiemu, który potrzebuje dla osiągnięcia w nim dobrych rezultatów większej liczby godzin, a na jego dokładnej znajomości ze względów praktycznych zależeć nam musi.

Z drugim wnioskiem wydział się oświadczył i postanowił go popierać. Wiadomą bowiem jest rzeczą, że w normalnym gimnazjum o 8-iu klasach, w 8-iu tylko oddziałach tygodniowo liczba godzin dla języka polskiego wynosi 24, dla języka niemieckiego zaś 36. Ani tego, ani tamtego przedmiotu jeden nauczyciel udzielać nie może, zobowiązany w pierwszym razie najwyżej do godzin 18-tu, w drugim tylko do 16-tu tygodniowo. Jeżeli przeto do języka polskiego i niemieckiego przy normalnym gimnazjum znajduje się tylko po jednym nauczycielu, reszta godzin dostaje się w ręce niekwalifikowanych, a nieraz i młodych i niedoświadczonych nauczycieli, którzy wprawdzie z zapałem mogą się oddać przedmiotowi, ale brakiem dydaktycznego w tym przedmiocie rozglądu zaszkodzić mu mogą. Zważywszy atoli, że w Galicyi prawie nie ma gimnazjum, któreby przynajmniej w najniższych klasach oddziałów równoległych nie posiadało; zważywszy dalej, że nauczyciel języka polskiego, samego tylko polskiego w 18-tu god. tygodniowo t. j. w 6 klasach, zwłaszcza wyższych, nie mógłby uczyć ze względu na poprawę ćwiczeń piśmiennych, przychodzi się do przekonania, że większość znaczna godzin obydwu tych przedmiotów spoczywa w rękach niekwalifikowanych do tego nauczycieli. Jeżeli język ojczysty wymaga troskliwej opieki, słuszną również jest rzeczą, aby i języka niemieckiego od najniższych klas uczyli władający nim dobrze i kwalifikowani nauczyciele. Wnosi tedy referent:

1. Walne zgromadzenie nie uznaje w obecnych warunkach za konieczne pomnożenia liczby godzin dla języka polskiego i wyraża przekonanie, że ścisłe wykonanie przepisów, odnoszących się do egzaminów wstępnych do klasy I-jej szkół średnich, umożliwi lepszy i szybszy postęp w nauce tego języka.

2. Walne zgromadzenie uznaje za potrzebne, aby w gimnazjach galicyjskich istniało czternaście posad nauczycielskich i aby między temi posadami, były dwie posady dla nauczycieli języka polskiego i dwie do nauki języka niemieckiego.

W dyskusyi zabrał głos pierwszy p. Sędzimir, występując energicznie przeciwko pierwszemu wnioskowi i polecając zgromadzeniu jego odrzucenie. Język ojczysty powinien i musi być przewodnikiem wszystkich innych, a tymczasem ustępuje on miejsca niemieckiemu, przez niego wyprzedzony. Odebrać jedną godzinę językowi niemieckiemu, który i tak 5 tygodniowo zatrzyma (więcej zatem od języka polskiego) uważa mówca za rzecz koniecznie potrzebną. Egzamina wstępne nie mogą sprawić tego, aby więcej formalnie rozwiniętych przyjmować uczniów do gimnazjów, a tego formalnego wykształcenia w rudimentach gramatycznych potrzebują oni koniecznie i nie później, jak w I i II-jej klasie otrzymać je muszą. Z tego względu dziwi się nawet

mówca wnioskowi wydziału i poleca gorąco zgromadzeniu jego odzucenia.

Wszyscy atoli następni mówcy przemawiali za wnioskiem wydziału: prof. German przypominał na zaufanie, jakieśmy w wydziale położyli poleceniem zesłorocznej uchwały do zbadania; dziś więc nieufności okazywać mu nie możemy. Dyr. Trzaskowski i prof. Pechnik przedstawiali, że trzy godziny zupełnie wystarczy, jeżeli się je wyzyska i z językiem łacińskim umiejętnie połączy. Ostatni przemawiał referent i zastrzegłszy się przed podejrzeniem, aby jakiegokolwiek względy uboczne kierować miały w tej sprawie nim i wydziałem, sądzi, że nie w liczbie godzin spoczywa ważność przedmiotu. W teorii zgadza on się z projektem 4 godzin, ale widzi w praktyce niemożliwość zmiany obecnego stanu.

W głosowaniu przyjęto wniosek wydziału.

Do drugiego wniosku uczynił prof. Siedlecki poprawkę stylistyczną, aby dwie posady dla języka polskiego uważać za pożądane, a dla języka niemieckiego za konieczne. Prof. Smolka atoli radził zastrzymać stylizacją wydziału; p. Matusiak zaś wniosek cały, uważając go jako wynagrodzenie języka polskiego za krzywdę w mniejszej liczbie godzin naukowych. Dyr. Trzaskowski nie obiecuje sobie z wykonania tego wniosku wielkich rezultatów; uważa natomiast za rzecz praktyczniejszą, aby komisye egzaminacyjne żądały od każdego filologa kwalifikacji z języka polskiego na niższe gimnazjum. Na to p. Sas (kand. zawodu nauczyciel.) odpowiedział, że właśnie najnowsze przepisy egzaminacyjne, które wejdą w życie od przyszłego roku szkolnego, żądają tego od filologów.

Po przemówieniu referenta, który 14-tą posadę uważał za ważną, przyjęto ten wniosek w brzmieniu podaném przez wydział.

Na porządek dzienny czwartego i ostatniego posiedzenia przyjęść teraz miały dalsze wnioski w sprawie nauki języka polskiego, a mianowicie wnioski Koła krakowskiego, odnoszące się do nauki tego języka w klasach wyższych, równie co do jego gramatycznej jak i historyczno-literackiej strony. Wniosek pierwszy, którego referentem był p. S. Matusiak, opiewał:

Walne zgromadzenie uchwali:

„Materiał gramatyczny ma być w klasie V-ój powtórzony i uzupełniony w zakresie głosowni etymologii i nauki o formach: a) przez uwzględnienie form języka dawniejszych; b) przez zwrócenie uwagi uczniów na siły twórcze w języku działające.

Wniosek drugi (referent p. Wł. Lech): Walne zgromadzenie uchwali:

a) Na podstawie odpowiednio ułożonych Wypisów, mają uczniowie klasy V-ój uzupełnić sobie wiedzę o zasadach stylistyki i o najważniejszych kształtach prozy i poezji z wyjątkiem dramatu.

b) W klasach VI—VIII-ój zaznajomią się uczniowie z rozwojem

literatury polskiej w porządku chronologicznym, na podstawie podręczników, obejmujących nietylko wyjątki z pism wybitniejszych autorów, ale i historyczno-literackie uwagi o wiekach XV—XIX-go, z dołączeniem życiorysów pisarzy celniejszych.“

Tymczasem ledwo pierwszy referent na trybunę wstąpił, zażądał głosu prof. Rostański i wniósł, aby wnioski te, jako zbyt specjalne odesłać do wydziału, a na walnym zgromadzeniu nad nimi nie dyskutować. Na to prof. German, obierając drogę pośrednią zaproponował, aby obydwa referaty wydrukować w „Muzeum,“ poddając je pod opinią kół, a obecnie je z porządku dziennego usunąć.

Na to oświadczył przewodniczący, że II-gie walne zgromadzenie (zeszłoroczne) uchwaliło, aby na podstawie „wskazówek“ prof. Próchnickiego, zasięgnąć zdania kół co do dalszych punktów metodyki języka polskiego i w ten sposób zredagowany przez wydział projekt instrukcyi przedstawić Radzie szkolnej do aprobaty i wprowadzenia. Wszystkie koła odpowiedzieć swą nadesłały, z wyjątkiem Koła krakowskiego. Zdaniem przewodniczącego fachowe te uwagi, będące na porządku dziennym, najstosowniej byłoby przekazać téj samej komisyi, która pracowała nad „Wskazówkami.“

Prof. Aug. Sokołowski uważał za rzecz pożyteczną ścieranie się zdań, prof. Siedlecki oświadczył zaś wprost, że okólnika wzywającego Koło do przesłania uwag w pewnym wyznaczonym terminie nie otrzymał. Przewodniczący stanowczo potwierdził wysłanie i zaznaczył, że nawet w listach prywatnych dr. Samolewicz (vice-prezes) dwa razy o tę rzecz prof. Germana zapytywał, ale odpowiedzi nie otrzymał.

Sytuacya zaczęła być drażliwą. Po wnioskach prof. Rostańskiego, dyr. Trzaskowskiego i prof. Pieniążka, odsyłających referaty te do wydziału, zarządził przewodniczący głosowanie, którego wynikiem była uchwała, aby rzecz tę wydziałowi do referatu przekazać, a obydwa elaboraty wydrukować w „Muzeum,“ mianowicie w sprawozdaniu w odpowiedniem miejscu porządku dziennego.

Skoro następny wniosek koła drohobyckiego, odnoszący się również do języka polskiego, spadł z porządku dziennego dla nieobecności referenta prof. Seb. Polaka ¹⁾, przedstawił prof. Harwot wnioski koła przemyskiego w sprawie przygotowania kandydatów na nauczycieli szkół średnich.

Referent rzuca okiem na dotychczasowe kształcenie kandydatów na nauczycieli szkół średnich, poddaje krytyce przepisy egzaminacyjne, wytyka brak planu studyów, podług którego słuchacze mogliby

¹⁾ Wniosek ten opiewał: „Walne zgromadzenie uchwali, ażeby wydział Tow., nie czekając inicjatywy odnośnych władz, w drodze właściwej zastanowił się nad pytaniem: a) jaki plan przy układaniu Wypisów polskich dla wyższych klas gimnazjalnych byłby najodpowiedniejszy; b) którzy pisarze, które ich twory i w jakiej mierze mają dostarczyć materiału do tych Wypisów.“

odpowiedni zakres nauki zdobyć na uniwersytecie, nie marnując na próżno czasu na przerzucanie się z przedmiotu na przedmiot, i wykazuje zgubne skutki, jakie pociąga za sobą w praktyce nauczycielskiej brak teoretycznego i praktycznego, pedagogiczno-dydaktycznego wykształcenia. W przekonaniu, że taki stan rzeczy dłużej trwać nie może, przedstawia referent środki na usunięcie złego. Pierwszym z nich ma być unormowanie wykładów na wydziale filozoficznym, aby każdy kandydat z czteroletniego okresu swych studiów wyniósł całość wiedzy zaokrągloną, równie co do pedagogiki i dydaktyki, jak i co do fachowych przedmiotów. Aby mu zaś dziś trudny i długie nieraz lata trwający egzamin ułatwić, możnaby z pewnych przedmiotów urządzić egzamina częściowe np. po drugim i po czwartym roku studiów.

Drugim środkiem ma być urządzenie seminaryum pedagogicznego, gdzieby się kandydat mógł zaznajomić z metodyką i dydaktyką. Seminaryum takie istnieje pod kierunkiem prof. Vogta we Wiedniu. Dla przeprowadzenia atoli gruntownego przygotowania dydaktycznego, uważa referent za konieczne (trzeci środek) utworzenie 3 katedr dla pedagogiki, odpowiednio do głównych trzech grup przedmiotów egzaminu: filologii klasycznej, filologii nowożytnych języków z historią i matematyczno-przyrodniczej. Nakoniec kładzie referent szczególny nacisk na wykształcenie praktyczne. Dotychczasowy rok próby uważa za nieodpowiedni i do celu nie prowadzący, zwłaszcza z tego względu, że kto inny uczy kandydata teorii, a kto inny wskazuje mu praktykę. Uważa tedy za konieczne połączenie z uniwersytetem gimnazjum ćwiczeń, na którego czele stałby profesor pedagogiki na uniwersytecie. Referat gruntowny, ilustrowany wielu przykładami z codzienniej praktyki, zakończył referent wnioskami:

Walne zgromadzenie uchwali:

1. „Jest rzeczą pożądaną, aby dla kandydatów stanu nauczycielskiego w ciągu ich czteroletnich studiów uniwersyteckich zaprowadzono, bez naruszenia swobody wykładów uniwersyteckich, egzamina częściowe z nauk teoretycznych, potrzebnych do objęcia obowiązków publicznych.“

2. „Należy kandydatom stanu nauczycielskiego obok ich wykształcenia teoretyczno-naukowego podać także gruntowne wykształcenie pedagogiczno-dydaktyczne przed objęciem obowiązków publicznych a to przez odpowiednio urządzone obowiązkowe wykłady z dziedziny pedagogii i dydaktyki, jako też przez obowiązkowe ćwiczenia praktyczne.“

Zabrał głos najpierw prof. Rostański i oświadczył się przeciw egzaminom częściowym. Natomiast uważałby za rzecz pożyteczną wynalezienie pewnego środka, z pomocą którego możnaby jednym kandydatów do egzaminu przypuścić, innych odsunąć. Środek ten widzi w założeniu przy uniwersytecie szkoły ćwiczeń, z którejby kandydaci mogli już od pierwszej chwili wstąpienia na Wydział filo-

zoficzny dawać dowody uzdolnienia do zawodu nauczycielskiego. Jeżeli go nie posiadali, można ich wcześniej zwrócić na właściwą ich talentowi i usposobieniu drogę, prowadzącą do innego zawodu.

Prof. Straszewski, przyznając, że egzamina są uciążliwe, zwłaszcza z powodu klauzury i nie sformułowanych dokładnie żądań, uważa przecież częściowe egzamina za nie odpowiednie. Ulgę mogłoby spowodować tylko podniesienie ważności i wartości kolokwium prywatnych. Co do wykształcenia pedagogicznego a zwłaszcza dydaktycznego, nie radzi za wiele wykładów, ale zwraca uwagę na konieczność poznania ustaw szkolnych i historii pedagogiki. Przestrzegą przed szablonem w metodzie, który mógłby się zgubnym okazać. Natomiast nacisk kładzie na wykształcenie filozoficzne kandydatów, mianowicie na znajomość kierunków myśli ludzkiej, któraby tym sposobem stworzyła grunt dla wszystkich zawodów wspólny. Dyscyplinami wiodącymi do tej znajomości byłaby przedewszystkiem historia filozofii, etyka i psychologia.

Dr. Pechnik wystąpił przeciw seminaryom i szkole ćwiczeń, prof. St. Smolka zaś przeciw pojmowaniu zadania uniwersytetu jako szkoły pośredniczącej między szkołą średnią a właściwym uniwersytem. Nie chciałby on nigdy widzieć Wydziału filozoficznego instytutem do kształcenia nauczycieli szkół średnich. Reforma uniwersytetu potrzebna, ale chyba w tym duchu, aby na każdym wydziale słuchacze obowiązkowo pięć lat przepędzali. Jakiegoś niższego i wyższego kursu nie podobna sobie na uniwersytecie wyobrazić, jak nie można wyznaczać drogi studiom i kierunku nauce. Żdaje mu się, że przyznanie pewnej wartości kolokwium i zobowiązanie do nich uczniów zapobiegłoby poniekąd złemu, nie naruszając organizacji uniwersytetu.

Prof. Anat. Lewicki mniema, że tych wniosków na razie i pospiesznie załatwić nie można, bo one zmierzają do zupełnej reformy wydziału filozoficznego, i dla tego są w znacznej części niewykonalne. Sprawa cała nie jest jeszcze tak dojrzała, aby ją można załatwiać głosowaniem na zgromadzeniu; wnosi przeto, aby na razie przekazać ją wydziałowi Towarzystwa do zbadania i omówienia w „Muzeum“ a na przyszły rok możemy o tem pomówić.

Prof. Żuliński, opierając na praktyce z seminaryum męskiego wyniesionej, nie poleca gimnazjum ćwiczeń i oświadcza się za wnioskiem prof. Lewickiego.

Zapisani jeszcze do głosu wybrali generalnym mówcą prof. Bo-brzyńskiego, który się oświadczył stanowczo przeciw pierwszemu wnioskowi, aby nie 'sprowadzić obniżenia poziomu naukowo wydziału filozoficznego. Radzi przeto debatę nad pierwszym wnioskiem odroczyć i poruczyć zastanowienie się nad nim wydziałowi, drugi zaś przyjąć w formie dezyderatu, nie przyjmując jednak umotywowania i projektów w niem zawartych referenta. Skoro się referent na to

zgodził, postanowiono w głosowaniu postąpić z wnioskami w myśl prof. Bobrzyńskiego.

Wśród toku referatów i dyskusji wybrano dotychczasowych członków wydziału nadal do zarządu Towarzystwa prawie jednogłośnie, dając im tym sposobem najpełniejsze wotum zaufania do dalszej dla dobra Towarzystwa pracy, a składając podziękowanie za działalność dotychczasową.

Zostawał jeszcze jeden punkt porządku dziennego, mianowicie wniosek prof. Żulińskiego opiewający:

„Walne zgromadzenie wyraża życzenie, aby zaprowadzono jednorazową naukę w tych zakładach naukowych, w których ze względu na stosunki miejscowe okaże się to potrzebnem i możliwem.“

Z powodu spóźnionej pory postanowiono prawie jednogłośnie przekazać ten wniosek przyszłorocznemu walnemu zgromadzeniu.

Zamykając zjazd, przewodniczący prof. Radziszewski dziękował nie tylko obecnym dygnitarzom, ale i członkom, którzy z taką wytrwałością do końca w obradach uczestniczyli; dyrektor Trzaskowski zaś podziękował imieniem wszystkich przewodniczącemu za tyle taktu i cierpliwości w trudnem prowadzeniu obrad.

III.

Na trzecim posiedzeniu, po zdaniu sprawy komisji lustracyjnej o obrocie funduszów Towarzystwa i ich stanie, prosił o głos prof. Rotter (z Akademii techn.-przemysł. w Krakowie) w celu pomówienia o „Muzeum“ a mianowicie o jego kierunku. Ponieważ uważano tę sprawę za więcej osobistą, bo dotyczącą przede wszystkim zapartywań prof. Rottera, i sposobu prowadzenia „Muzeum“, jego redaktora odpowiedzialnego, zaproponowano interpelantowi, aby życzenia swoje piśmiennie komitetowi redakcyjnemu przedstawił, a może nawet z obecnym na zgromadzeniu redaktorem osobiście się porozumiał. Porozumienie nastąpiło i spodziewać się należy, że ku obopólnemu zadowoleniu.

W zeszłorocznem sprawozdaniu staraliśmy się na końcu podać charakterystykę nowo powstałego pisma wraz z główną jego treścią, a w ostatnich wierszach ośmieliliśmy się umieścić nawet pewne życzenia, które, naszym zdaniem, ku ulepszeniu pisma zmierzały. W charakterystyce pisma daliśmy niedwuznaczny wyraz przekonaniu, że „Muzeum“ powinno być przede wszystkim, jeżeli nie wyłącznie, muzeum pedagogicznem, a nie naukowem, a więc ani filologicznem, ani historycznym, ani przyrodniczym, choćby sobie tego nawet niektórzy członkowie Towarzystwa życzyli, bez względu na jego cel i zadanie. Dla czego takie ma być a nie inne, przyczyna jasna. Każdy nauczyciel filolog, historyk czy przyrodnik powinien być obok tego pedagogiem, każdy więc powinien się interesować postępami i zdobyczami pedagogiki, dla wszystkich powinna ona być gruntem

wspólnej pracy, porozumienia się i jedności. Jeżeli dotąd nie każdy nauczyciel jest pedagogiem ani się za takiego uważa, jeżeli dotąd istnieją nauczyciele twierdzący, że dosyć być wykształconym fachowo, aby być dobrym nauczycielem, nie dziwimy się temu i przekonywamy się naocznie o tym, czém jest w skutkach brak osobnych katedr pedagogiki na uniwersytetach, i czém dowolność, w skutek której kandydat po w i n i e n się przynajmniej na jedno półrocze na jakiś wykład pedagogiczny z a p i s a ć, chociaż może nie ucześć na wykłady. Rachując się tedy z warunkami obecnymi, sądzimy że „Muzeum“ powinno być przedewszystkiém pedagogiczném, a to dla tego, aby z jednej strony pedagogom dać tę karm, której oni pragną, z drugiej przekonać niepedagogów o konieczności pedagogii. „Pedagogiczném“ powinno być w artykułach wstępnych, w sprawozdaniach z posiedzeń kół i w możliwie licznych rozprawach, mających na celu czy to rozwinięcie jakiej myśli przepisów, czy wskazanie sposobu ich wykonania, czy nakoniec podające sposób przeprowadzenia lekcyi jakiegokolwiek przedmiotu— „pedagogiczném“ nakoniec w „Recenzyach“ przedewszystkiém książek szkolnych. To stanowić ma część pierwszą istotniejszą każdego zeszytu „Muzeum.“ Naukowe rozprawy, choćby były niezwykłej wartości, nie należą do „Muzeum;“ dla nich mamy miesięcznik lwowski „Przewodnik naukowy i literacki“ wydawany przy „Gazecie lwowskiej,“ dla nich mamy „Przegląd polski“ prof. Tarnowskiego w Krakowie, dla nich miesięczniki warszawskie jak „Biblioteka“ i „Ateneum,“ a jeśli ich charakter zbyt specjalny, publikacye Akademii umiejętności w Krakowie. Pisma te i te publikacye posiada prawie każda biblioteka gimnazyalna, a oprócz tego wiele innych fachowych, do których chciwi wiedzy i kształcenia się pewnie zawsze trafiają.

Inaczej ma się rzecz z takimi rzeczami, które mieszczą się w osobnych dziełach, i to tak w ojczystym jak i w obcym pisanych języku. Dla tych istnieje w „Muzeum“ „Kronika naukowa“ lub „Ruch naukowy,“ w którym w sposób przystępny, jasny i ile możności zwięzły i wolny od krytycznych uwag, sprawozdawcy wyniki odnośnego podają dzieła. Podnieśliśmy w zeszłoroczném sprawozdaniu, że dział ten zasilać przypadłoby w udziale najstosowniej profesorom uniwersytetu, którzy, idąc ciągle z postępem nauki i mając pierwsi pod ręką najświeższe jej zdobycze, bez trudu takie notatki sporządzaćby mogli. Nie wyłącza to współpracnictwa nauczycieli szkół średnich, owszem, jest ono pożądane o tyle, o ile możliwe w obec licznych zajęć szkolnych. Czego kronika naukowa objąć nie może, osobliwie co do czasopism fachowych zagranicznych, pozostaje zadaniem bibliografii, działu osobnego w „Muzeum“ istniejącego.

W takiej treści widzimy istotny kierunek „Muzeum.“ Jego rocznik I, prowadzony zresztą bardzo umiejętnie przez prof. R. Palmsteina, miał przecież nieuniknione braki, któreśmy wskazali w zeszło-

roczném sprawozdaniu. Do końca r. 1885 pojawiały się jeszcze w nim nieodpowiednie rozprawy: W. Bruchnalskiego „O rymie w poezji polskiej do J. Kochanowskiego“ (zeszyty 9 i 10) i A. Bądzkiewicza „Projekt nowego opracowania Pana Tadeusza.“ Rzecz pierwsza, bardzo sama w sobie ciekawa i nowa, kwalifikuje się do rozpraw Akademii umiejętności, jak to sam autor ostatecznie zrozumiał przesyłając do niej niedawno tego rodzaju studium. „Projekt“ zaś p. A. Bądzkiewicza, jakkolwiek bardzo piękny i pożyteczny, mógł być być umieszczony w któremkolwiek piśmie warszawskiem, bo on nie tylko nauczycieli, ale i literatów do pracy może pobudzić.

Zresztą objął wspomniany rocznik rzecz bardzo ciekawą d-ra N. Maciszewskiego „O mnemonice“ zesz. 11 i 12), dalej artykuły treści pedagogicznej prof. d-ra Stadelaka „Jaki nauczyciel, taka szkoła“ (zesz. 9); prof. Tomaszewskiego: „O uroczystych odprawach i nagrodach szkolnych“ (zesz. 10). Dydaktycznych kwestyi dotyczą: prof. J. Winkowskiego „O lekturze łacińskiej i greckiej w gimnazjum wyższém“ (zesz. 9), prof. Palmsteina „Lekcje języka polskiego w klasie IV.“ (zesz. 9), i prof. K. Fischera: „O lekturze greckiej w gimnazjum wyższém“ (zesz. 12 i 1886, 1). W „Kronice naukowej“ obejmuje rocznik pierwszy w drugiej swój połowie 3 sprawozdania z dzieł treści filozoficznej, 1 z języka polskiego, 3 z języka niemieckiego, 2 z historii, 5 z pedagogiki. „Recenzje,“ odnoszą się 1 do dzieł dotyczących nauki języka polskiego, 3 do niemieckiego, 1 do historii i 2 do matematyki. Obok tego mieszczą się tu, jak dawniej, ciekawe „Rozmaitości“ z zakresu szkoły i nauki, rozporządzenia władz i t. p.

Takim był półrocznik drugi Muzeum z r. 1885, w ogólności zbliżający się bardzo do obrazu naszych życzeń.

Z dniem 1 stycznia objął redakcją prof. dr. Maurycy Maciszewski, pracujący razem z dawnym komitetem redakcyjnym. Kierunek więc pisma pozostał prawie ten sam, szczegóły niektóre zmian doznały.

Mamy przed sobą pięć zeszytów. Do zmian najwybitniejszych, a naszém zdaniem niekorzystnych, należy złączenie dawniej „Kroniki naukowej“ i „Recenzji“ w jeden dział „Ruchu naukowego,“ który obejmuje częścią recenzje, częścią sprawozdania z dzieł naukowych. Dlaczegośmy nazwali tę zmianę niekorzystną, łatwo zrozumieć po tém, cośmy wyżej powiedzieli o zadaniu „Kroniki naukowej“ a „Recenzji.“ Mimo to „Ruch“ ten naukowy, jakim jest, zawiera bardzo cenne sprawozdania z dzieł treści pedagogicznej (3), filologicznej (8), literackiej polskiej (2), niemieckiej (3), historycznej (11), matematycznej (1) i przyrodniczej (3).

Z rozpraw treści pedagogicznej mamy dyr. T. Stahlbergera rzecz „O systemie lokacyjnym“ (zesz. 1). Dr. Maciszewskiego „Ze statystyki szkół średnich u nas i w Prusiech“ (zesz. 5); Redakcyi „Rewizya bibliotek szkolnych“ (zesz. 3) wywołany rozporządzeniem p. ministra wyznań i oświaty d-ra Gautscha, i tejeż redakcyi związłe

przedstawienie „Spraw szkolnych w sejmie“ (zesz. 2 i 3) i w Radzie państwa (zesz. 3 i 5), nadto artykuł o „Szkoie a dziennikarstwie“ (zesz. 4). Wszystko to rzeczy bardzo na czasie i ogół nauczycieli interesujące. W części dydaktycznej umieścił dr. J. Trefiak „Rozbiór koncertu myśliwskiego z Pana Tadeusza“ (zesz. 2) i dyr. B. Trzaskowski „Uwagi“ nad nim (zesz. 3) nadto R. Zawiliński rzecz „O nauce gramatyki polskiej w gimnazyum wyższém“ (zesz. 4).

Rozpraw naukowych mamy dotąd dwie, nie licząc w to małej „notatki o podzielności liczb“ p. S. Dicksteina. Pierwszą z nich jest d-ra Aug. Sokołowskiego „Karta z dziejów wychowania w Polsce w w. XVI i XVII“ (zesz. 3, 4, 5), rzucająca jasne światło na dzieje wewnętrzne Polski w pomienionych stuleciach, szczególnie w końcu wieku XVI i początku XVII. Rozprawa ta, jako zajmująca się dziejami wychowania znalazła bardzo stosowne miejsce w „Muzeum“ i każdy pewnie nie tylko autorowi ale i redakcyi był wdzięczny za jęj pomieszczenie. Drugą pomieszczoną w zes. 1, 2, 5 i jeszcze nieskończoną jest praca p. A. Chudzińskiego dotycząca pojęć i życia zagrobowego starożytnych Greków p. t.: „Thanatos“ I oto dobrnęliśmy do kamienia obrazy prof. Rottera, do przedmiotu, z powodu którego przedewszystkiem chciał zainterpelować redakcyą „Muzeum.“ Czy rozprawa ta nadaje się do „Muzeum?“ Odpowiedź musi wypaść stanowczo przeczącą; jestto bowiem rozprawa specyjalna, fachowa, napisana metodą ściśle naukową i gdybyśmy mieli pisma polskie, poświęcone filologii klasycznej, byłaby ona ich pierwszorzędną ozdobą. W „Muzeum“ jęj za ciasno, i „Muzeum“ z nią ciasno. Tak być musiało— a jeżeli być musiało z powodów od redakcyi— a szczególnie od jęj teki niezależnych,“ to daj Boże, aby więcéj w podobnej kolizyi redakcyi znajdować się nie potrzebowała.

Widzieliśmy więc, że kierunek pisma w całości prawie ten sam w szczegółach tylko nieco zmieniony a część redakcyjna bardzo staranna i uznania godna. Czy prof. Rotter oprócz zarzutu co do rozprawy p. Chudzińskiego, o którym wiemy, miał jeszcze inne— jest prawdopodobne, ale nie śmiemy twierdzić, aby one się zgadzały z tém, na cośmy powyżej starali się zwrócić uwagę.

Reasumując to, cośmy powiedzieli, zaznaczamy usilność redakcyi ku zadowoleniu życzeń czytelników, a pomni na zdanie, że każdy początek trudny, nie wyrzekamy się nadziei, że pismo to nie tylko wzniesie się do wysokości swego zadania, ale stanie się niezbędném dla każdego nauczyciela.

ODCZYTY JERZEGO BRANDESA

„O POEZJI POLSKIEJ XIX WIEKU.“

(„Gazeta Polska“ nnr. 67—74 i 76—79 1886 roku).

PRZEZ

Józefa Kotarbińskiego.

Wystąpienie słynnego duńskiego krytyka na mównicy publicznej w Warszawie należy do faktów, które zostawiają trwałe po sobie ślady w życiu umysłowem. Już to samo, że pisarz bystry i głęboki, ale nieznający naszego języka, poważa się mówić o arcydziełach poezji, ujętych w mistrzowską formę słowa, nasuwało pewne wątpliwości, czy potrafi ocenić wiele ważnych przymiotów artystycznych naszej wielkiej poezji. Odzywały się nawet z góry głosy, które ironicznie wspominały o tej wyprawie autora „Głównych Prądów,” w nieznaną cudzoziemcom a tak bogatą krainę naszej fantazyi. Kto jednak znał metodę krytyka, tego z góry zaciekawiały rezultaty studyów, które wydały owoce nadspodziewanie bogate i piękne. Brandes, rozwijając dosadniej pewne rysy metody Taine’a, wyłożonej treściwie w jego rozprawie „O filozofii sztuki“ poszukuje głównie rozwoju zasadniczych dążeń wieku, rysuje główne strumienie, płynące z wnętrza umysłowego życia do wielkiego morza ogólnoludzkiej cywilizacyi. Pomiędzy on drobniejsze odnogi albo strumienie, toczące się leniwo po zakątkach lub wyżłobionych przez rutynę kanałach, śledzi tylko za biciem i falowaniem żywój wody ducha. Pomaga mu w tej robocie bystrość i rozległość wzroku krytycznego, pozwalająca obejmować całe dziedziny piśmiennicze à vol d’oiseau. Jego krytycyzm jest zarazem badawczy i malowniczy, że się tak wyrażę. Zwykle daleko świetniej Brandes zestawia różnorodne fakta, oświeca je blaskiem podobieństw i kontrastów, aniżeli je tłómaczy z filozoficznego punktu

widzenia. Jego metoda pisarska polega na wydobyciu i oświetleniu głównych rysów danej epoki, tak, aby rzucały się w oko czytelnika. Wśród krytyków Brandes posiada wyjątkowy dar plastyki, którego niekiedy nadużywa, rzucając porównania i obrazy czasem bardziej świetne aniżeli uzasadnione. Ma zresztą talent i temperament prawdziwego mówcy, który umie zawiązać ze słuchaczami moralną spójnię, działa żywo na ich przekonanie i uczucia.

Oczywiście, że pogląd takiego umysłu na literaturę naszą, musiał mieć i dla nas samych niepospolitą wartość. Arcydzieła wielkiej poezji naszej z wielu przyczyn są u nas przedmiotem kultu. Chociaż przeminęła już świetna jej epoka, jednakże nie zerwały się nici, które ją wiążą z „sercem narodu.“ Rodzi się z tego powodu pytanie, czy nieprzeceniamy jej doniosłości, czy próżność albo przesąd patryotyzmu nie powiększa jej rozmiarów w naszych oczach? Świadectwo o niej Brandesa nabiera znaczenia tém większego, że duński krytyk mógł ogarnąć jej dziedzinę zdaleka, okiem pewnym i bezstronnym. Byłem pewny, że zrozumie jej głębie, ale czy ją odczuje, czy pojmie dla czego dziś nawet dla zmysłów żywo przejętych najnowszymi prądami umysłowymi, jest ona „miodem i mlekiem,“ źródłem sily i pokrzepienia? Jesteśmy społeczeństwem osłabionym, nic więc dziwnego, że stajemy się drażliwi na punkcie wielu naszych ukochań i sympatyj. Zewsząd słyszymy tylko głosy, szczujące na nas nienawiścią, głosy wycia brutalnej sily, która stwarza nawet osobną filozofią, urągającą najpiękniejszemu celom badawczej myśli. Brandes jednak należy do umyśłów, które się wznoszą ponad nędzę wieku i błyszczą światłem prawdziwego humanizmu, wśród mnożących się objawów przejściowego zapewne zdziczenia. On jest nie tylko badaczem, ale szermierzem niepodległej myśli, bojownikiem stronnictwa dążeń idealnych, które wiodą „do wolności i prawdy coraz realniejszej, a pojętej coraz idealniej.“ Wznosi się ponad suchy racjonalizm, ponad zachcianki radykalizmu, chcącogo przerobić odrazu ludzkość wedle wyrozumowanych formułek, a z drugiej strony odrzuca wszelki dogmatyzm i wstecznicstwo, krępujące pochod niezależnej myśli. Należy on do tej humanitarnie postępowej partji, która w nauce umie ocenić wszystkie żywioły i czynniki ludzkiej natury, występujące w procesie rozwoju kultury i wierzy w zwycięzki pochod cywilizacyi. Nic dziwnego, że taki umysł, stojący na przeciwnym biegunie w obec Hartmannów i całej rzeszy dusz ciasnych, posępnych, które karmią się nienawiścią i dyszą za gnębieniem stabszych, że taki duch iście nowożytny odnalazł w sobie źródło głębokiej sympatyj dla sprawy, której broni wielka poezja nasza. Nie była to chęć popularności, ani zjednanja sobie słuchaczy. Brandes jest umysłem nadto silnym, aby potrzebował schlebiać. Zresztą w swój ojczyźnie dał dowody, że nie żebrze o sympatyj tłumów, bo występując stanowczo przeciw opiniom większości, był w kolizji ze swym społeczeństwem, które musiał na czas pewien opuścić. Sympatyja jego dla literatury polskiej płynie widocznie z głębokiego przekonania, z tego natural-

nego współczucia, jakie muszą mieć najszlachetniejsze umysły naszój epoki dla każdój żywotnej siły społecznej, która chce się wyzwolić z bezwładności i wziąć udział w wielkim warsztacie cywilizacyjnej pracy. Tylko taka sympatya mogła Brandesowi podyktować bardzo piękne porównanie poezyi naszój do obrazu Maks'a „Chusta ś-ój Weroniki.“ Dla cudzoziemca jest ta poezya zamkniętą i otwartą, tak, jak na obrazie oblicze Chrystusa, które na pierwszy rzut oka wydaje się trupiém, ale skoro się patrzymy z właściwego punktu, „wyraz twarzy ożywia się, oczy otwierają się i zwracają na widza swe smutne a poważne spojrzenie.“ Znać z tego, że Brandes odczuł jeden z najgłówniejszych rysów poezyi naszój, to jest cierpienie ofiarne, które jěj nadaje często wyraz męczeństwa.

Rozwijając jěj ogólną charakterystykę, Brandes dowiódł raz jeszcze, jak dobre rezultaty daje użycie metody porównawczój. Jedną z głównych jego zasług jest bystre wyszukanie podobieństw i kontrastów, jakie zachodzą pomiędzy poezyą naszą i poezyami innych ludów w obecum stuleciu, oraz wskazanie głównych czynników, jakie składały się na wytworzenie jěj cech naczelných. W kilku treściwych zarysach określił nasz charakter narodowy, jako bohaterski, marzycielski, żądny okazałości, skłonny do cnót rycerskich i uniesień religijnych, nie mający ani flegmatyczności niemieckiej, ani racjonalizmu ludów łacińskich, ani wreszcie machiawelizmu włoskiego i zmysłu do plastyki. Następnie wskazał trafnie, że położenie polityczne nadało romantyzmowi polskiemu zupełnie odrębny charakter, jak w Niemczech, Anglii lub Francyi, łącząc go ściśle z myślą o losach kraju. We Francyi i Niemczech romantyzm przy narodzinach swoich bratał się z prądami wstecznymi, z ówczesną reakcją, zwracał się ku tradycjom średniowiecznym. U nas tym czasem nawet katolicyzm związany z przeszłością społeczeństwa nie przybierał cech antynarodowych, jak to było w Niemczech, „łączył się ze wszystkiém, co było najszczytniejszém w chrystyanizmie, z miłością prawdy, która zbawia, z zapalem męczeństwa, nie miał na sobie, jak gdzieindziej piętna wieków średnich.“ Brandes co prawda nie zaakcentował bliżej przyczyn, dla których katolicyzm istotnie u nas grał odmienną rolę, aniżeli w wielu społeczeństwach zachodnich. Do przyczyn tych należy przedewszystkiém odziedziona przez tradycyą dziejową solidarność duchowieństwa z dolą społeczną, solidarność, która niedawno wywołała jedyne w swojém rodzaju zbratanie ducha religijnego nawet z prądami rewolucyjnymi.

Zasadnicza sprawa bytu zbiorowego usuwała na bok wiele sporów i przeciwieństw społeczno-politycznych, i łączyła często ze sobą wrogie gdzieindziej żywioły. Te warunki złożyły się na to, że katolicyzm, który na zachodzie występował tak często jako doktryna kościelno-polityczna, u nas w życiu umysłowem stawał się zwykle wiarą żywą, tętniącą w uczuciach wybrańców narodu, niemającą nic wspólnego z fanatyzmem. Chociaż romantyzm u nas tak jak gdzieindziej łączył się potroszę z religijną reakcją naszego stulecia, na-

stępującą po wieku oświecenia, jednakże wskutek odrębnych warunków, jak zauważył Brandes, należał on do opozycji, a jego przeciwnikami były powagi literackie, albo „urzędnicy konserwatywni w przekonaniach politycznych.“ Ponieważ romantyzm związał się u nas silniej niż gdziekolwiek ze sprawą bytu społecznego, wynika ztąd silnie zaznaczone przez krytyka jego „stosunkowo nowożytność piętno.“ Brandes wskazuje na tak realistyczne rysy naszego romantyzmu, że „zdają się nie należeć do owjej epoki” i stanowią jedną z zasadniczych różnic w porównaniu z romantyzmem w innych krajach, który prawie zawsze „szukał treści w dawnych czasach i odległych krainach.“ Prawdę powiedziawszy i w innych literaturach ta nowożytność stanowi część składową poezji romantyków *par-excelence*. Przecież Musset'a „Rolla“ i „Spowiedź dziecięcia wieku“ są nawskroś współczesne, a nawet Szyller lubo uprawiający historyzm poetyczny—w „Intrydze i miłości“ malował świat, który własnymi oglądał oczami, nie mówiąc o wielkim olimpijczyku Göthe'm, który pisał romanse współczesne, wznosząc się co prawda zawsze ponad romantyczne sekciarstwo.

Cecha więc modernizmu nie jest tak wyłączną własnością naszej wielkiej poezji, która istotnie w porównaniu z innymi ma więcej żywiołu realnego, pojawiającego się współrzędnie ze skłonnością do mistycyzmu, abstrakcji, alegoryi i spirytyzmu.

Tę dwoistość, występującą głównie w dziełach Mickiewicza, Brandes dobrze podchwycił, wykazując potem trafnie jak odmienny charakter przybierał właściwy romantyzmowi kult geniuszu, który wyrósł u nas w cześć dla Napoleona i Byrona. Brandes nazywa niekrytycznym entuzjazm dla boga wojny, który budził uczucia polaków, nie wahając się nawet użyć ze złą wiarą nazwiska Kościuszki, słaśzować odezwę w jego imieniu, aby tylko pociągnąć naród do ofiar i zrobić narzędziem swych ambitnych planów. Zaznaczywszy dalej jednostronny zapał dla Byrona, który w oczach poetów naszych przesłonił innych równie potężnych wieszczów angielskich, a przede wszystkim Shelley'a;—Brandes twierdzi słusznie, że oba te czynniki wiązały jednak polaków z życiem ogólnoeuropejskim.

Trafnie ocenia dalej krytyk cechy poezji naszej, które wynikają z tułactwa wieszczów. Oddalenie od kraju wzmaga w nich idealizm i pierwiastek marzycielski, łamię naturalny rozwój uczuć osobistych. Miłość ich naprzykład staje się chwiejną, nie umie dążyć do swych celów. Porzucają niedawno uwielbiane kobiety, bo w ich duszy „jakaś struna pękła.“ Niesłusznie jednak twierdzi Brandes, że uczucia ich są silne, ale charaktery słabe. Przedewszystkiem trwałość w miłości nie zawsze jest dowodem charakteru, którego prawdziwą mocą jest często umiejętność zwalczania uczuć nienaturalnych lub bezpłodnych, unikanie tak częstych w życiu obłądów erotyzmu. Prawda, że np. Słowacki w swych sprawach sercowych był dość motylim, ale podobno ta wada jest wspólną wielu innym poetom romantycz-

nym, nie wyłączając Byrona, nie mówiąc o Gothe'm, który od miłości do miłości przelatywał jak ptak od jednego do drugiego źródła, szukając świeższej i jaśniejszej wody. Mickiewicz w dniach młodości był wierny swemu idealnemu uczuciu dla Maryli; od Henryki Ankwiczównę odsunęła go prawdopodobnie szlachetna дума. Jeżeli chodzi zresztą o całość charakteru, to Mickiewicz należy do najczystszych i najbardziej jednolitych postaci pomiędzy poetami wszystkich epok i czasów. Krasieński, opuściwszy ziemską kochankę, wyidealizował miłość dla niej po dantejsku, jako pewien rodzaj poetycznej religii. To pewna jednak, że w ich miłości i uczuciach osobistych tkwi pewna nienormalność, wynikająca z doli tułaczęj, która pod koniec życia rzuciła ich w objęcia mistycyzmu albo pogrążyła w bezbrzeżnej tęsknocie.

Nastroj religijny nadaje ich poezji wiarę w dodatni rząd świata; „szukają boskiego planu, znaczenia w tém wszystkiém, co ich otacza.“ Jest to podług Brandesa bardzo romantyczne i bardzo średniowieczne. Duch bowiem średniowieczny ma tę właściwość, że widząc jakieś ważne zjawisko, pyta: co ono oznacza? gdy tymczasem duch nowożytny szuka jego przyczyny. „Gdy spadał naprzykład ze ściany obraz, z wizerunkiem jakiejś krewnej, nie troszczono się o przyczynę tego zjawiska; nie badano, czy gwóźdź był zardzewiały albo mur za stary, ale zastanawiano się nad tém, co ma znaczyć ten wypadek, czy nie jest przepowiednią albo oznaką jakiejś choroby, lub niebezpieczeństwa.“ To zestawienie znowu jest więcéj śmiałe niż trafne. Duch średniowieczny nie tém się różni od nowożytnego, że pyta co jaki fakt oznacza, ale że widzi w życiu bezpośredni wynik boskiej interwencji, gdy duch nowożytny, a raczéj w ogóle duch badawczy, szuka głębszego związku i prawidłowości w rozwoju życia. Tém porównaniem Brandes objaśnia, dla czego wielcy poeci nasi przejęci romantyzmem, nie szukali „przyczyn upadku swego narodu, ale zapytali z niepokojem marzycieli o znaczenie losów swego kraju.“ „Nie mogli oni pojąć, że się tyle rzeczy udaje złym, niegodnym i okrutnym i że Bóg się w to nie wdaje, że musi być w tém ukryta jakaś głębsza tajemnica i że dobro w końcu zwycięży.“ Ten trafnie uchwycony pogląd naszych wieszczów na losy narodu, nie dowodzi, że szukali znaczenia jakichś wypadków dziejowych, ale w duchu chrześcijańskich na świat poglądów wierzyli w Bożą pomoc dla ukochanej sprawy. Psychologicznie tłumaczy się to uczucie tak samo, jak nadzieja i wiara syna przy tożu cierpiącej matki, który nie zdaje sobie sprawy z fatalizmu praw przyrody, z konieczności rozwoju choroby, ale chwyta każde weselsze słowo, każdy ruch choréj, jako oznakę uludnej często nadziei. Nie trzeba, podług mnie, jak to czyni Brandes, uważać tego ducha romantycznego, szukającego znaczenia „za rodzaj atawizmu“ w sprzeczności do ducha współczesnego, który szuka przyczynowości. Oba te kierunki ludzkiego umysłu mają zarówno swą prastarą tradycją. Chociaż w wiekach średnich panował pogląd na świat, oparty na objawieniu i bezpośredniej interwencji Bóstwa, to jednak

jeszcze dawniej w Grecyi i Rzymie byli mędracy, którzy głosili, że trzeba „rerum cognoscere causas“ obok wieszczów, badających losy człowieka z ruchów gwiazd albo dymiących się trzewiów świeżo zabitego zwierzęcia. Nic dziwnego, że poeci nasi nie mieli zmysłu badawczego, nie szukali przyczyn losów kraju, bo jest to w ogóle robota myślicieli a nie artystów. Trafnie określa Brandes, że właśnie ich utwory „przez swój jasnowidzący i proroczy charakter miały większe znaczenie dla przyszłości kraju, niżby mogła mieć poezya opisowa rozsądna i spokojna.“ Znaczenie to zrozumiał i odczuł duński krytyk, racjonalista szerokiego pokroju daleko lepiej, aniżeli niektórzy nasi krytycy, powołujący romantyzm przed forum współczesne i patrzący nań przez szkiełka racjonalizmu groszowego, lub filisterskiego utylitaryzmu. Brandes zrozumiał, że taka poezya jest źródłem niegasnącym duchowej energii społeczeństwa, że podtrzymuje jego naczelną ideę, że jest biblią narodowej wiary, wreszcie niespożytym po wszystkie wieki dokumentem życia i żywotności narodu, który ją wydał. Dotychczas sądy takie myśmy głosili, ale nie znalazły one jeszcze sankcyi na forum opinii europejskiej. Za sprawą pisarza, którego wpływ tak daleko sięga w dzisiejszym życiu umysłowym, pogląd ten stanie się zapewne częścią ogólnoeuropejskiej wiedzy o literaturze naszej, przeniknie do umysłów, które razem z najszlachetniejszym prądem obecnej filozofii wierzą w zwycięstwo kultury i podniosłych dążeń ludzkości, zamiast kuć z sofizmatów wstrętną broń dla ciemnizny i brutalnej siły.

Zaznaczywszy w pierwszym odczycie główne pierwiastki, które urabiały naturę poetów, w dalszych odczytach Brandes rozwijał wpływ tych czynników.

Miłość naprzykład jest w nich po większej części idealną, podniosłą, często dziką i ponurą, ale nigdy zmysłową, chociaż, dodam od siebie, ta ostatnia nuta brzmi dość silnie w niektórych lirykach Mickiewicza, napisanych podczas jego pobytu w Odessie. Bohaterowie mężcy poezyi naszej różnią się od innych bohaterów romantycznych. Nie widać w nich walki pomiędzy żądzą sławy a jałowością życia, ani rosterki ze społeczeństwem, ani gorącego ducha demokracji, ani walki dwu następujących po sobie pokoleń. Wszyscy są solidarni ze społeczeństwem, cierpią bólem zbiorowym. Ztąd też wyrobiło się zupełnie odrębne pojęcie postaćnictwa poety, jako wieszczki i przewodnika narodu, nie obce co prawda innym literaturom, albowiem Alfred de Vigny wypowiedział je dość wyraźnie w swym „Chartertonie.“ W poezyi naszej, to poczucie tej misyi jest główną moralną siłą wieszczów, którzy, jak słusznie zauważył Brandes, przejęci ideą narodową nie odzwierciedlili w swych utworach śmiałej pracy nowożytniej myśli, pragnącej wyswobodzić się z więzów przesądu i zbadać zagadkę życia. Z małym wyjątkiem istotnie nasi poeci byli

dość obojętni w obec pracy nowoczesnej filozofii, którą nawet tak potężny umysł jak Mickiewicza sądził ze stanowiska wyłącznie religijnego.

Rys ten pochwylił Brandes szczególnie w zetknięciu Mickiewicza z Göthem, które barwnie opisuje Odyniec w swych „Listach z Podróży.“ Przed kilkoma laty pisząc o pierwszych dwu tomach tego dzieła zwróciłem uwagę na te same nawet szczegóły, świadczące jak dwa potężne umysły Gothe'go i Mickiewicza, nawet w sympatycznym zetknięciu nie znalazły pomiędzy sobą łączących nici, jak Göthe na próżno wyczekiwał od naszego wieszca zapytania, co do idei „Fausta“ streszczającej jego pogląd na stosunek czynnej inteligencji człowieka, do zagadek wszechbytu. U Odyńca ta niechęć romantyków do filozofii wyrażała się nawet dość zabawnie, gdy o panteizmie Gothe'go wspomina jak o dziwowisku z naiwnym przestraszaniem i oburzeniem. Rzecz łatwa jednak do zrozumienia, że horyzont poezyi naszej zacieśnił się w porównaniu do innych narodów, ponieważ nie mieliśmy środków do rozwinięcia kultury umysłowej, w tym stopniu jak na zachodzie, ponieważ naczelną sprawą zbiorowego bytu, zajmując wszystkie umysły, musiała na drugi plan odsunąć wiele innych spraw i zagadnień, które odbiły się w płodach romantyki zachodniej. Żywe uczucie religijne, poczerpnięte z łona rodziny i społeczeństwa, miarkowało nawet nieliczne zapędy sceptycyzmu, które skonały ostatecznie pod technieniem mistyki. Niepodobna mi streszczać szczegółowo dalszych poglądów krytyka, które są rozwinięciem i dopełnieniem rysów rzuconych w pierwszym odczycie; zwrócę więc uwagę tylko na niektóre szczegóły. Poezya cierpienia podług Brandesa łączy się w literaturze naszej z poezją okrucieństwa, której pełno jest szczególnie w utworach Słowackiego. Nie zaznaczył jednak Brandes, że okrucieństwo to nie jest poetyzowaniem dzikich instynktów narodu, ale wynika z zamięłowania romantyków do okropności w ogóle, a także z posępnego nastroju poetów, na których oddziaływały ponure obrazy Byrona, którzy odczuwali krwawy tragizm Szekspira silniej aniżeli jasne strony jego fantazyi. Poezya zemsty, którą dobrze ocenia Brandes, ukazując jej tezę w Mickiewiczu i Słowackim antytezę zaś w Krasieńskim, jest także koniecznym wynikiem naczelnego uczucia, panującego w życiu i literaturze, wypływa z bardzo wysokich pobudek. Miłość ideału zbiorowego jest uczuciem, namiętnością; nie więc dziwnego, że wywołuje namiętność przeciwległą w obec wszystkiego, co staje na drodze najdroższemu pragnieniom zbiorowym. Wallenrodyzm był bezwątpienia objawem moralnego zatrucia uczuć zbiorowych, które jednak zrodziło się jako nieunikniony owoc doli społecznej. Originalnym i bystrym był cały ustęp wykazujący, co ma poezya nasza z Hamleta a co z Fortimbrasa, którego duch mężki, energiczny przeważa nad potomstwem bladego królewicza duńskiego. Szczytem energii tej poezyi jest „Oda do młodości“ a zwłaszcza „Barys“ jeden

z najdoskonalszych poematów Mickiewicza, wspaniała opoteoza męskiej siły, poemat, w którym u nas groszowy utylitaryzm dopatrzył się niedawno wielu nieciekawych rzeczy a mianowicie chwalby... próżniactwa! Skupiając rysy zasadnicze trzech wielkich poetów, Brandes słusznie twierdzi, że Mickiewicz zwłaszcza w „Panu Tadeuszu,” tym „najdoskonalszym poemacie epicznym naszego stulecia;” zbliżył się najbardziej do duchów zdrowych w poezyi, takich jak Homer lub Göthe. Niemogę jednak przyklasnąć, jak niektórzy słuchacze, dość dziwnym ornitologicznym porównaniom krytyka: „Pomiędzy skrzydlatymi duchami Polski Mickiewicz jest orłem, Krasiński łabędziem a Słowacki—pawiem.“

Brandes wywarł tym frazesem krasomówczy efekt, ale nie przekonał głębszych słuchaczy. Epitet orła jest zużytym ozdobnikiem przy nazwisku Mickiewicza, chociaż nie wiem doprawdy dla czego potęgę poezyi twórczej i dodatniej porównywać mamy z siłą niszczącą drapieżnika? Podobieństwo do łabędzia dostało się Krasińskiemu, ponieważ jest poetą czystym i szlachetnym—ale przecież jego siła, powaga tragiczna i głębokość nie mają w sobie chyba nic... łabędziego.

Biedny Słowacki został pawiem!

Dla czego? Ponieważ celował świetnością słowa, oślepił barwami fantazyi, lubił przepych i świetność a nawet w jedném miejscu mówił o Bogu: „On piórem z ognia jest dumnych szyszaków.“ Prawda że „żaden inny poeta nie porównał Boga do pióra na szyszaku“, ale Słowacki spłodził tę rzeczywiście słabą poetyczną figurę nie dla samej tylko pompy, ale dla uwydatnienia swych pojęć o Bogu. W téj samej strofice „Beniowskiego“ mówi poeta że „On nietylko jest robaków Bogiem i tego stworzenia co pełza.“ Myśl ta znowu tak śmiała i piękna, że tylko u największych poetów można znaleźć podobne. Brandes słusznie zauważył, że poruszenia opozycyjne myśli Słowackiego wynikały z ducha sprzeczności (contradiction) — niezależnie jednak od tego dla mnie bardzo sympatycznym rysem jest duma poety (o ile nie przechodzi w pychę), oraz niechęć do serwilizmu w pojęciach społecznych i religijnych.

Wynosząc „Pana Tadeusza“ na szczyt poezyi naszej, Brandes rzucił pogląd nieprzyznający prawa bytu historyczności w sztuce. Jako szermierz „nowożytnego ducha“ uważa on realizm poetyczny jako jedyny kierunek, odpowiedni dzisiejszym wymaganiom. Rzecz dziwna, krytyk tak szeroki zajmuje tu stanowisko trochę sekciarskie. Twierdzi, że poszukując ideału nie potrzeba się zwracać do przeszłości, albowiem może dostarczyć go życie współczesne. Nie widzę powodu, dla któregoby pocie nie należało czerpać idealizmu wszędzie, gdzie mu się podoba. Pogląd ten poczerpnięty z Taine'a jest nieuzasadnio-

ny szczególniej ze względu na naszą literaturę, jak to gdzieindziej zaznaczyłem.

U nas historyczność w sztuce nie jest tak jak w Niemczech owocem sztucznej literackiej hodowli;—ale wynikiem żywego uczucia z żywej potrzeby umysłów, szukających pokrzepienia w dziejowej tradycji. Mamy świeże dowody na to, jak dalece historyzm w sztuce gra na strunach najszlachetniejszych i najżywszych uczuć zbiorowych, jak stanowi pożądaną przeciwwagę wobec płaskości filisterskiej, która się coraz więcej panoszy w stosunkach towarzyskich i umysłowych. Podług mnie zresztą estetyka stojąca na wysokości dzisiejszych wymagań naukowych, nie powinna wykluczać żadnego rodzaju, ale objaśnić prawa jego powstawania, bo każdy rodzaj jest zawsze dobrym i uprawnionym, jeżeli tylko odpowiada duchowym potrzebom narodu.

U nas ta opinia Brandesa nie może nigdy być estetycznym dogmatem, jak chce jeden z jej obrońców, tém bardziej, że nie mamy bynajmniej nadmiaru historycznej sztuki, abyśmy potrzebowali w obec niej stwarzać krytyczną reakcyę. Słusznie jednak w dalszym ciągu twierdzi Brandes że zasadnicze uczucie, przewodnia idea romantyzmu polskiego może i powinna trwać w literaturze, ale nie może nadal wszechwładnie w niej panować. Gdyby znał współczesną naszą powieść i nowelistykę, a nawet najnowsze objawy odradzającego się dramatu, Brandes z pewnością stwierdziłby, że literatura zaczyna się rozwijać bardziej wszechstronnie, że znajdują w niej odbicie szersze idee naszego wieku, a nawet pomysły filozofii ewolucyjnej. Rzecz naturalna, że pisarze swojscy muszą przedewszystkiem zajmować się zagadnieniami naszego bytu, przedstawiać nasze bóle i nadzieje. Literatura polska zapewne nie prędko będzie się mogła pozbyć; pewnej patologiczności, nie nabierze tak łatwo słonecznej pogody; lecz istotnie pożądanem jest, aby rozwinęła wszystkie pierwiastki życia artystycznego naszej epoki, aby malowała barwnie wszystkie strony ludzkiej natury.

W zakończeniu ślicznie mówi Brandes o romantyzmie nieśmiertelnym, o téj szlachetnej, zdrowej egzaltacyi uczuć, które się wznoszą ponad poziom przeciętny. Cześć dla natury, miłość, przyjaźń, uczucie bratnie dla kraju i ziomeków, stanowią materyał dla tego entuzjazmu, który przetrwa dłużej w sztuce aniżeli wszystkie przejściowe cechy szkoły lub kierunku, co starzeją się lub idą między literackie rupiecie. „W niewielu literaturach—mówi Brandes—ten nieśmiertelny entuzjazm romantyczny objawił się w tak pięknej i wzniosłej formie jak w literaturze polskiej. Stare określenia romantyków i nieromantyków dziś straciły swoje znaczenie. Za naszych czasów zupełnie co innego dzieli stronnictwa zarówno w literaturze jak i w życiu politycznym. Dzisiaj istnieją właściwie tylko dwa stronnictwa: jedno z nich jest stronnictwem dążności idealnych, dru-

gie—stronnictwem faktów dokanych.“ Przeciwnieństwo tych prądów Brandes rozwinął w pysznym obrazie dwu pociągów, z których jeden stoi, chociaż zdaje mu się, że idzie, drugi jest nieskończonym, olbrzymim, bezgranicznym. „To wieczne dążenie ludzkości do wolności i prawdy coraz realniejszej, pojętej coraz idealniej, to zwycięzki nieskończony pociąg cywilizacji.“

Trudno o piękniejsze sformułowanie idei postępu. Zgodzą się na nie nie tylko zwolennicy danej szkoły lub metody filozoficznej, nie tylko wyznawcy danej doktryny społecznej, ale wszystkie szersze i jasne umysły, które umieją ocenić każdą zdobycz dla cywilizacji, każde pomnożenie bogactwa wiedzy lub kultury, każde zwycięstwo szlachetnych ideałów, bez względu na to, kto pod jakim hasłem dokonał tych zdobyczy. Brandes jest pisarzem wolnomyślnym i gorącym szermierzem liberalizmu. W przeciwieństwie do przedmiotowości Taine'a, który czasem chce być bezstronniejszym od samej bezstronności; duński krytyk otwarcie broni swych przekonań społecznych i filozoficznych, stacza utarczki w imię praw i swobody „nowożytnego ducha,“ chociaż umie uznać i ocenić wartość płodów umysłowych naszego wieku we wszystkich kierunkach artystycznych, naukowych i religijnych. W przekonaniach swoich zdecydowany, bez cienia chwiejności, umie bronić ich u podstaw, głosić wymownie zasadnicze poglądy, nie czepiając się drobnych szczegółów, lub stronniczych sprzeczności. Wywiera on głęboki i stanowczy wpływ na umysły, stawia dodatnio swe zasady, nie rozpraszając się na marne swary i rosterki. Pod tym względem może stanowić przykład dla naszych pisarzy postępowych, którzy marnują niepotrzebnie tyle energii na szermierki, na kłótnie o drobiazgi, wytaczają wielkie armaty dla zabicia muchy, dbając bardziej o zwycięstwo własnej ambicji, aniżeli o tryumf idei. Przekonywać i podbijać umysły, nie drażniąc ich bez potrzeby, to wielka umiejętność publicysty i szermierza jasno określonych zasad. Brandes ją posiada w takim stopniu, że mało który z pisarzy europejskich zrobił tyle dla pojęć wolnomyślnych w dzisiejszej rzeczywistości.

Mówiąc o naszej literaturze Brandes uchwycił bystro jej zasadnicze rysy; ukazując je często w nowym oświetleniu, nakreślił obraz ciepły i malowniczy. Potwierdził wiele opinii naszej krytyki, uprawnił nawet z ogólnoludzkiego punktu widzenia nasz kult dla arcydzieł narodowego ducha. Niezależnie od błędów lub niedokładności szczegółowych, odczyty jego zawierają poważne wyniki studyów nad literaturą naszą. Świadczą one z jednej strony, że można dużo o niej dowiedzieć się z przekładów, z drugiej zaś strony zdradzają bystrość badacza, który zasięgał także informacji z dobrych źródeł i umiał stawiać sobie trafne pytania w obec trudnego przedmiotu. Obok tego Brandes umiał mówić żywo i barwnie, z temperamentem prawdziwego mówcy

dzisiejszej epoki, który nie stawia się w obec słuchaczy na sztucznej wyżynie, ale chce wpłynąć na ich opinie siłą szczeroci przekonania i jasnej argumentacji. Brandes nie jest napuszonym deklamatozem, ani kuglarzem frazesów, ale pełnym werwy rzecznikiem własnych przekonań. Dla nas jego badania nad literaturą polską mają tém większą wartość, że przenikną na forum opinii europejskiej, oświecą nieświadomych lub niechętnych, że stanowią dzielną przeciwwagę w obec głosów pisarzy zdziczałych lub najemnych pamflecistów.

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Jana Kochanowskiego dzieła wszystkie. Wydanie pomnikowe. Tom III, str. 421. Warszawa, druk braci Jeżyńskich (dawniej J. Ungra) 1884 r.

Trzeci tom wydania jubileuszowego dzieł J. Kochanowskiego, obejmujący utwory łacińskie poety, opuścił właściwie prasę w kwietniu r. b.; data więc 1884 r., położona na tytułowej karcie, utrzymana została jedynie dla zachowania całemu dziełu charakteru wydawnictwa jubileuszowego, o którego 1-ych dwóch tomach, zawierających znane powszechniej utwory polskie Kochanowskiego, w swoim czasie powiadomiliśmy czytelników „Bibl. Warsz.“ (zob. „Bibl. Warsz.“ 1883 r., t. III, str. 316, 317; r. 1884, t. II, str. 476, 477). Oprócz przedmowy od komitetu wydawniczego i życiorysu poety (*Vita Joannis Cochanovii*), skreślonego przez niewiadomego pisarza, a wydrukowanego na czele wydania *Arata* z r. 1612, tom III, o którym w tej chwili mówimy, obejmuje: *Elegiarum libri IV*, *Foricoenia sive Epigrammatum libellus*, *Lyricorum libellus*, *Epiniçiou*, *Epithalamion in nuptias Joannis de Zamoscio, Andreae Patricio*, *Epitaphium Doralices*, *Gallo crocitantis*, *Dryas Zamchana*, *Pan Zamchanus*, *Orpheus Sarmaticus*, oraz *M. T. Ciceronis Aratum*, *ad graecum exemplar expensum et locis mancis restitutum*. Na końcu dodano *Index nominum*, a nadto podobiznę rękopismu poety, obejmującego *Dryadem Zamchanam*. Tekst oryginału ustalił, oraz wstępy i przypiski dodał prof. Józef Przyborowski; dla czytelników zaś nieobeznanych z językiem łacińskim dokonał przekładu tekstu prozą Teofil Krasnosielski, przy czynnym współudziale komitetu redakcyjnego. Wydanie tomu III-go uzupełnia całość wszystkich utworów J. Kochanowskiego i sta-

było zaopatrzenie tekstu łacińskiego dosłownym, a jednak artystycznym co do formy przekładem prozą. Wprawdzie posiadamy dwa tłumaczenia wierszem utworów łacińskich Kochanowskiego, jedno dokonane przez Kaź. Brodzińskiego, drugie przez Wł. Syrokomlę. Ale pierwsze jakkolwiek wiernie odtwarzające oryginał, nie obejmuje wszystkich utworów poety; drugie zaś, uzupełniające przekłady Brodzińskiego, jest tak niedokładne, iż w wielu miejscach całkiem myśl poety odmienia. Jedynym więc punktem wyjścia było dać tłumaczenie nowe choćby mową niewiazaną, ale wiernie, dokładne i tak też komitet uczynił. Szkoda tylko, iż komitet redakcyjny nie zaopatrzył niniejszego przekładu polskiego takimi objaśnieniami, jakie do tekstu łacińskiego dodano. Jeżeli dla znających język rzymian uznano je za konieczne, to tém bardziej dać je należało dla zwykłych czytelników, którzy nie mają ani sposobności, ani czasu robić poszukiwań w dykeyonarzach i encyklopedyach, by sobie wiele przedmiotów i nazw, wziętych ze świata starożytnego, objaśnić.

Zresztą, co do zalet zewnętrznych tom III-ci nie ustępuje tomom wydanym poprzednio. Zrobilibyśmy jedną tylko uwagę: zanadto wiele w nim zbitych i nie dość czysto wychodzących liter, a co gorzej omyłek drukarskich, które, choć zaznaczone w eratach, nie powinny jednak znajdować się w dziele pomnikowego znaczenia. Oprócz egzemplarzy, należących do ogólnego wydania dzieł poety, komitet przygotował jeszcze pewną ich liczbę dla zagranicznych bibliotek, pod osobnym tytułem: „*Joannis Cochanovii Carmina latina, emendavit argumentis et notis instruxit Josephus Przyborowski.*“ Myśl to także szczęśliwa. Należało bowiem w trzechsetną rocznicę zgonu przypomnieć zachodowi znanego mu niegdys poetę, dziecko tego narodu, nad którego tępieniem dzisiejsi przywódcy kultury zachodniej tyle sił, a więcej jeszcze namiętności marnują. Zdaniem jednak naszym, wypadło podjąć nieco więcej kosztów i edycją tę zrobić niezależną od przekładu polskiego, który pozostawiono w tej odbitce zagranicznej niewiadomo dla kogo.

„Uwagi o modelach na pomnik Mickiewicza, wykonanych podług pomysłu Matejki, oraz odpowiedź pp. recenzentom na ich zarzuty. Naszkicował członek komitetu pomnika dla Mickiewicza dr. Hubert hr. Krasiński.“ Bez wyrażenia roku i miejsca druku, str. 60.

Wlokąca się zółwim krokiem sprawa budowy pomnika Mickiewicza w Krakowie miała już kilka gorących, nazbyt może nawet gorących momentów, i prawdopodobnie mieć je jeszcze będzie. Te

paroksyzmy gorączki sprawiły nie mało zwiechrzenia w opinii, dając powód do nie bezzasadnych skarg i utyskiwań na jej niesforność. Trudno jednak zaprzeczyć że jest coś żywotnego, coś niezmiernie interesującego w tym wpływie, jaki potężna postać wieszczki narodowej z poza grobu jeszcze zdaje się wywierać na umysły społecznego nam pokolenia, elektryzować je i zapalać.

Czy owa mnogość zdań i poglądów na sprawę pomnika, głoszonych bądź w czasopismach bądź w broszurach, przyczyniła się w czém do zasadniczego postawienia kwestyi, czy rozjaśniła ją należycie w jej punktach ciemnych, zawilszych, mniej dla ogółu przystępnych—i czy podnoszone głosy zawsze z kompetentnej wychodziły strony?—to znowu inne pytanie. Wiadomo że polityka i estetyka, to dwa pola, na które każdy czuje się mniej lub więcej powołanym wkraczać i swe amatorskie zapatrywania rozwijać. Nic też dziwnego, że i to, co w kwestyi pomnika Mickiewicza czyta się mi zdarzyło, miało powiększaj części cechę dyletanckich deklamacyi i wynurzeń. Ale były i wyjątki. Tak np. p. Maryan Sokołowski, członek Akademii i profesor historii sztuki na wszechnicy jagiellońskiej, napisał w tym przedmiocie aż dwie broszury; ale tu znów żałować przychodzi, że szanowny estetyk, dając swym pismom charakter czysto okolicznościowy, nie dotarł w nich ani razu do samego rdzenia kwestyi, jak się ona z estetycznego punktu widzenia przedstawia. Czytelnik spotyka się w nich z melancholijnymi konsyderacyami na temat podnoszącego głowę strasznego upioru liberum veto, i wielu a wielu innymi, mniej lub więcej trafnymi uwagami—ale jasnych a pouczających informacji odnośnie projektowanego pomnika szuka w nich daremnie. Panu S. chodziło głównie o uśmierzenie tej gorączki, jaką w opinii wywołały rezultaty obu konkursów. Mnie się jednak zdaje, że w obec faktu, iż publiczność za nic w świecie nie chce się wyrzec swego gorącego udziału w sprawie pomnika uwielbianego wieszczki i nad jej przebiegiem ustawicznie czuwa: gruntowne a przystępne roztrząśnienie kwestyi ze stanowiska zasad estetyki i artystycznej praktyki prędzejby doprowadziło do zamierzonego celu, niż prawienie morałów, których publika w ogóle słuchać nie lubi i zbici się niemi z tropu nie da.

Na praktyczniejszym gruncie stanął hr. Hubert Krasiński, autor broszury wymienionej na czele niniejszego artykułu. Rozstrząsając w niej bardzo szczegółowo modele, wykonane przez pp. Rygiera i Gadowskiego według pomysłu Matejki, rozwija on na tém tle swoje poglądy na zadanie sztuki monumentalnej w ogólności i cel pomnika Mickiewicza w szczególności. Takim popularnym wykładem estetyki w zastosowaniu do bieżącej sprawy, oddałby on istotnie wielką usługę, gdyby sam był gruntowniej obeznanym z przedmiotem. Autor powiada że oswajał się stopniowo z modelami, że przesiadywał przy nich po kilka godzin codziennie, i zdanie swe ogłasza „po długich rozważach;“ z tém wszystkiem „pragnąc w dostępnym opowiadaniu dać możność każdemu powzięcia dokładnego wyobrażenia o sprawie

wykonanych już w szkicach prac pomnikowych dla wieszczka“ (str. 7), podjął się zadania nad siły. Dobra wola nie zastąpi fachowego wykształcenia, a tego właśnie autorowi braknie.

„Możecie się gniewać—pisze on—na moją odwagę cywilną, ale otwartość uszanować powinniście; bo jakkolwiek jestem lekarzem, ale oprócz tej specjalności pozostaję przede wszystkim obywatelem kraju, sztuka i monumenta narodowe gorąco mnie obchodzą, a w ciągu mych studyów i licznych podróży po Europie, zbliżałem się do artystów i starałem się pogląd na sztukę w sobie wyrobić“ (str. 22). Za odwagę cywilną autora, której istotnie niepospolite złożył dowody, gniewać się niema powodu; co najwięcej dziwić się jój tylko można. Pozwoli jednak sz. autor uczynić tu uwagę, że oglądanie po stolicach europejskich różnych pomników, z Beedeckerem w rękę, lubo nauczające i mogące stać się źródłem wielkiej estetycznej rozkoszy—nie jest jeszcze studyowaniem dzieł sztuki w poważnym tego słowa znaczeniu. Sama broszura hr. H. K. dostarczyłaby wiele na to dowodów; poprzestanę na przytoczeniu jednego. Podawszy (na str. 8) pewne wskazówki co do skali modeli, powiada „z tego wynika, że postać wieszczka musi być dwa razy większa od naturalnych rozmiarów, to jest większa niż dwa razy Kopernik Thorwaldsena w Warszawie, a sam pomnik (według projektu Matejki) który mieć będzie w naturze 10 metrów wysokości, będzie wyższy więcej niż 3 razy od monumentu Kopernika.” Autor niewątpliwie widział pomnik Kopernika w Warszawie i „studyował“ go, a przecież nie dopatrzył się rzeczy tak bijącej w oczy każdego, kto się choć trochę w tego rodzaju dziełach orientować potrafi, że figura wielkiego astronoma nie jest naturalnej wielkości, jak mniema, lecz co najmniej dwa razy większa, i że obliczony na 10 metrów pomnik Mickiewicza, nie tylko nie byłby trzy razy wyższym od pomnika Kopernika, ale nie dochodziłby nawet do jego podwójnej wysokości. Takie to są owe „studya.“

Według autora, projekt Matejki jest genialny, wspaniały, świetny, a modele „podjęte w dużych rozmiarach, większych niż wszystkie jakie dotąd były robione, są bardzo pięknie i artystycznie wykonane“ (str. 19). A cóż dopiero gdy „żywa woda wprowadzoną będzie poniżej monumentu, to szum strumienia i kolor piany silnie ożywi i nada charakter oryginalny całej kompozycji“ (str. 15). Autor nie zdaje się odczuwać różnicy między dziwactwem, które nigdy dziełu sztuki na pożytek wyjść nie może, a oryginalnością, która stanowi jedną z najcenniejszych jego zalet. „Znalazłem—powiada—że praca ta jest chlubą wielką dla Matejki i rzeźbiarzy, ale chlubą stokroć większą dla narodu, że myśl tę odczuł w sobie, a pracę sztukmistrzów swoich uznał, uszanował i dał możność przekuć ją w bronzie i granicie w postaci monumentu dla samego wieszczka—ku chlubie sztuki narodowej, ku chlubie narodowych uczuć, ku pamięci przyszłych pokoleń“ (str. 17). Czy to trochę nie przedczesny entuzjazm? wszak dotąd jeszcze pomnika niema. Te entuzjastyczne wykrzykniki tém

mniej zdają się mi zrozmiać, że, o ile wiadomo, tak znawcom, jak ogółowi publiki, projekt Matejki wcale do przekonania nie trafił. Jakże wreszcie z tem rozumowaniem pogodzić to, co autor pisze na innym miejscu, że „opinia publiczna (której przed chwilą taki hołd oddawał) jest obafamucona, sama nie wie co sądzić“ (str. 22), że „zacieci wrogowie... od wschodu i sąsiedniego zachodu na nas czychają, cieszą się że my sami dręczymy swoich wielkich ludzi! (str. 23). Czém dręczymy, czy temi hołdami i uznaniem dla mistrza, o których autor z takim wylaniem wyżej wspominał? Jest on tu w oczywistej z samym sobą sprzeczności, jak i wówczas, kiedy twierdzi, że „co tu się daje jako szkic, jako materyał surowy, uszlachetni się, wygładzi potem z konieczności rozmiarów przy wykonaniu modeli ostatecznych, wiele się zaś poprawi, a nawet zmieni“ (str. 21). Jedna i ta sama rzecz przedstawia się nam raz jako arcydzieło, któremu nie odjąć, ani dodać nie można — drugi raz jako szkic surowy, który ma być jeszcze wygładzany, poprawiany, zmieniany. O owe gładzenie mniejsza, ale po co te poprawki i zmiany, jeśli autor rzecz za tak doskonałą uznaje? Prawda, że zastrzega się w innym miejscu, iż najstosowniej wszystko to zdać na rozwagę Matejki, „pozostawisz zupełną swobodę działania jemu i rzeźbiarzom, nie ścieśniając *wspaniałomyślnie* doradczą komisją“ i zaręcza „że wówczas wszystko pójdzie jaknajlepiej i monument będzie indywidualny i narodowy“ (str. 34). Nas to wszystko nie bardzo jakoś uspakaja.

Zdania ludzi fachowych i prawdziwych znawców sztuki nie mają dla autora żadnej wartości. Polega on wyłącznie na własnych obserwacjach i o zarzutach co do ogólnej architektoniki i sylwety, idei pomnika i proporcey, nie zgoła wiedzieć nie chce. W rozumowaniach swoich posługuje się przytém isticie naiwną dyalektyką, którą rad przeplata cytatami wierszy z Mickiewicza, mniejsza o to czy w porę. Te ostatnie zdają się nawet w arsenale jego argumentów grać rolę dział ciężkiego kalibru, któremi, gdy inne wywody nie dopisują — stanowczo rzecz rozstrzyga. Oto prókba téj dziwnej metody. Broniąc nagości poety w projekcie Matejki, przyczém wygłosił istotnie wiele zdań trafnych i estetycznie uzasadnionych, choć zle tym razem zastosowanych, kończy rzecz temi słowy: „A jak w Olimpie niegdyś bogowie byli wobrażani bez szat, któreby cechowały narodowość, tak też Mickiewicz, zdaniem naszym, winienby być przedstawionym w stroju klasycznym. Nakoniec podług tradycyi biblijnych, wszelkie odzieże, suknie i stroje, są karą za grzechy pra-rodziców, piętne z brodni, przekleństwem. Nic więc dziwnego — rozumuje dalej w tym samym tonie — że w świecie artystycznym przechowuje się upodobanie wyobrażania geniuszów w tych liniach cielesnych, które sam Bóg umodelował, a które są największą ozdobą ludzką. Przytoczmy pogląd wieszczą na ciało ludzkie:

„Czemu Bóg na wzór sobie stworzył naszą postać?
Bo sam lepszego wzoru nie mógł nigdzie dostać.“ (str. 25).

W ustępie V, p. t.: „Dla czego Mickiewicz ma włosy nieuczesane?“ w chęci zohydzenia tej niewczesnej ciekawości, rozpoczyna rzecz następującym dwuwierszem poety:

„Pierwsza mowa szatana do rodu ludzkiego,
„Zaczęła się najskromniej od słowa dla czego“ (str. 30).

Wreszcie ci, co na widok bosych stóp i nagiego ciała poety kręcą głowami, nie mają racyi, bo oto powiada Mickiewicz:

„Ciało jest małym światem, dusza książką małą,
„W której spisano wszystko, co się w świecie stało.

(str. 28). Nie jesteście to przekonywujące?

I w podobny sposób autor załatwia się ze wszystkimi kwestyami, będącemi w związku z projektem pomnika, dowodząc zawsze że projekt genialny Matejki wszelkim wymaganom odpowiada—i paląc kadzidła na cześć „mistrzów.“

W ustępie X dając odpowiedź na pytanie: „dla czego Matejko malarz, kieruje pracami rzeźbiarzy?“ powiada między innymi, że „taki potężny rysownik, tak głęboki znawca linii, już tém samém kwalifikuje się i posiada warunki do kierowania sprawy pomnika Mickiewicza, warunki większe od innych.“ Nie pozostaje nic innego, jak wierzyć autorowi. Bo wreszcie „czy berło złote, jakie naród ofiarował, nie daje Matejce prawa panowania w krainie sztuki—czy chcemy go—woła z dramatyczném namaszczeniem—detronizować, nie mając następcy!“ (str. 51).

Broszura kończy się „Słóvkim o mistrzu Janie Matejce, o jego działalności artystycznej i uznaniu u obcych,“ w którym hr. K. tak rzecz zagaja: „Matejko opatrnością zesłany dla narodu naszego, kocha ojczyznę miłością nieograniczoną i rozumie jasno, iż przeznaczeniem jego jest cierpieć i znosić cierpli wie przykrości. Matejko więc kocha i cierpi bez szemrania“ (str. 50). Tego nigdy byśmy się nie domyśli-li, czytając jak wyżej autor oddaje sprawiedliwość narodowi że umiał pojąć i uczuć swego mistrza!

Nie potrzebuję chyba dodawać, że wszyscy ci, co poważają się być innego zdania niż autor, przejmują go świętym oburzeniem, pod wpływem którego odsądza ich i od znawstwa i bodaj od patryotyzmu. Dostało się więc sędziwemu J. I. Kraszewskiemu, za wydrukowane w „Kraju“ uwagi nad projektem Matejki, uwagi, mówiąc nawiasem, nacechowane wielką znajomością rzeczy; dostało się jeszcze więcéj p. Władysławowi Łuszczkiewiczowi, dyrektorowi Muzeum narodowego i profesorowi szkoły sztuk pięknych w Krakowie (str. 46 i następne) za to, że będąc znawcą fachowym, nie dopatrył się w modelach wszystkich tych zalet genialnych, jakie im autor przyznaje. W zaśle-

piającym go ferworze rzuca się więc na swoje ofiarę z niewytłomaczoną jakąś zjadłością. Już to Łuszczkiewicza autor szczególnieź zdaje się mieć na wątrobce, choć trudno wyrozumieć: dla czego? Wszak uczciwe wypowiedanie zdania, i to zdania opartego na fachowej znajomości przedmiotu, nie powinien brać za złe autor, który sam ze swobody wygłaszania własnego sądu tak szeroko pozwolił sobie korzystać.

Jeszcze jeden niewinny figielek: oto w wydrukowanej na końcu broszury liście członków komitetu pomnika, autor kazał wydrukować imię nienawistnego sobie Wł. Łuszczkiewicza drobniejszemi literami niż innych, snąc żeby mu tém wyraźniej swoją wzgardę okazać. Z tegom się już serdecznie uśmiał.

W pobieżném tém sprawozdaniu z pracy hr. K. nie biegłem wślad za myślą autora, gdyby bowiem przyszło punkt po punkcie zbijać go i prostować — wypadłoby napisać rozprawę takięj jak sama broszura objętości, a jak to z przywiedzionych cytat czytelnik łatwo wywnioskować może, robota taka nie miałaby celu. Dodam tylko, że z metodą i logiką harmonizuje przedziwnie i styl autora, pełen precudnych kwiatków, których przytaczaniem nie będę zresztą trudził czytelnika.

W ogólności po przeczytaniu broszury, pozostaje dziwny niesmak: gdyby wyszła była bezimiennie, to sądziłbym że pochodzi z pod pióra znanego krakowskiego stylisty i niestrudzonego komentatora obrazów Matejki.

Karol Matuszewski.

KRONIKA MIESIĘCZNA.



Rzut oka na sytuacją ogólną stosunków europejskich. — Wskreszenie floty czarnomorskiej. — Germanizacya szkoły w W. ks. Poznańskim i w Prusach zachodnich w sejmie pruskim. — Wymarzone „rozruchy“ galicyjskie. — Ruch życia umysłowego polskiego: Trzy odczyty prof. St. hr. Tarnowskiego w Warszawie (30 kwietnia, 3 i 4 maja r. b.) na dochód Osad rolnych i Towarzystwa ubogich Matek: „O literaturze polskiej za panowania Stefana Batorego. — Doroczne posiedzenie Towarzystwa historyczno-literackiego d. 3 maja w Paryżu: konkurs imienia J. U. Niemcewicza, odczyt p. Kallenbacha „O panowaniu Stefana Batorego.“ — Konkurs imienia Adama Chojackiego z funduszu na cele oświaty ludowej, pod zawiadywaniem Uniwers. warszawskiego. — Doroczne walne posiedzenie uroczyste Akademii umiejętności w Krakowie dn. 22 maja 1886 r. — Konkursy Akademii. — Przegląd zwyczajnych czynności: Posiedzenie sekcji matematyczno-przyrodniczej z dn. 15 i 17 kwietnia i 20 maja; wydziału historycznego 15 kwietnia i 18 maja; wydziału filologicznego z dn. 13 maja. — Czynności w Towarzystwie przyjaciół nauk w Poznaniu: August hr. Cieszkowski: „O archiwach weneckich,“ oprócz tego czytano rzecz „O pamiętnikach generała Lewickiego.“ — Ruch teatralny: „Osaczony“ p. Lubowskiego; „Co zwycięża“ p. Hajotę. — Sprawa sprzedaży akcyi drogi żelaznej Dąbrowskiej. — Instytucje ubezpieczeń życiowych. — Sprawozdanie warszawskiego Towarzystwa ubezpieczeń od ognia za rok 1885. — Towarzystwo popierania przemysłu i handlu. — † Leopold Ranko, historyk niemiecki. — † Jerzy Waitz.

„Koncert europejski“ uszczęśliwiony, że jego fikcya nie rozbiła się zupełnie na tój racie, którą kwestyą wschodnią zowiemy; „nowinkarze“ polityczni uszczęśliwieni, że im się udało bałamucić chociaż przez kilka chwil zaciętrzewionych wrogów kultury narodu polskiego przez sensacyjne „wieści z teatru powstania“ w Galicyi, którego ani śladu nie było; Rosya dumna z faktu odrodzenia czarnomorskiej floty rosyjskiej; Niemcy trwożliwi zawsze o swoje bezpieczeństwo zewnętrzne nie przestają uzbrajać państwa w coraz ostrzejszą broń dla zabezpieczenia spokoju wewnętrznego, nie cofając się przed żadnym eksperymentem ekonomicznym; Włosi rozbierają poważnie dalsze skutki prowadzonego na półwyspie italskim „transfor-

mizmu;" uwagę Anglii zajmuje przeważnie sprawa irlandzka i grecka; grandowie hiszpańscy uszczęśliwieni narodzeniem się króla, a „Rzeczpospolita francuzka," odegrawszy nieco odmienną rolę w koncercie europejskim przy sprawie greckiej, przestraszona koligowaniem się dynastyi portugalskiej z rodziną książąt orleańskich, stara się jak najgorliwiej naśladować banicję pruskie, kując „prawa wyjątkowe" co do swobodnego zamieszkiwania członków rodzin dawniej we Francyi panujących w granicach republiki, która powinna przecie wszystkim obywatelom zapewnić równość praw — i żądać po nich równych obowiązków.

Tymczasem przechodzą sprawy wschodnie ze stanu zapalnego w stan swój zwykły — chroniczny. „Wojowniczość" grecka spowazniała w obec pancerników europejskich. Zwołany na sesyą nadzwyczajną parlament wypowiedział się bardzo wyraźnie za pokojem. Przywódzca stronnictwa pokojowego, Trikupis, niedawno zdracją okrzyczany, został bohaterem „narodu," który ubóstwianego co tylko i wszechwładnego niedawno Delyanisa, sromotnie zepchnął z zajmowanego piedestału obrońcy wolności greckiej. Taka to już dola „aura e popularis." Zjazd dyplomatów w Liwadii utrwala za granicą przekonanie, że Rosya nie opuści koncertu europejskiego, i że mimo pewnej różnicy ruchów floty rosyjskiej na wodach greckich, w przyszłości trzymać się będzie polityki reszty państw europejskich. Nie tylko w kwestyi greckiej, ale również i w bułgarsko-runelijskiej nie obawia się Europa — jak głoszą dyplomaci — separatystycznego zachowania się ze strony Rosyi. Tymczasem fakt odrodzenia się floty czarnomorskiej pod okiem i błogosławieństwem cesarza budzi w prasie rosyjskiej pełne podniosłych nadziei myśli. „Rosya znowu władać poczyna morzem," piszą „Mosk. Wied.," które w dawnych czasach nazywało się słusznie rosyjskiem. Dla Sewastopola nastąpił wreszcie dzień zmartwychwstania. Po pierwszym pancerniku nastąpi drugi, potem trzeci. Piętnaście lat upłynęło od chwili odnowienia się praw naszych do Czarnego morza. Okoliczności opóźniły ich urzeczywistnienie, lecz niejmy nadzieję, że nadal sprzyjać będą utwierdzeniu potęgi rosyjskiej na tém morzu, tak nieodzownie potrzebném dla pomyślności i pokojowego rozwoju ojczyzny. Żadne wypadki, żadne niepowodzenia lub komplikacye nie są w stanie zachwiać w sercach rosyjan nadziei w przeznaczenie Rosyi i tryumf jęj sprawy na Wschodzie. Prózne byłyby czyjekolwiek starania, by zmienić naturalny bieg rzeczy. Można go zatrzymywać, przerywać nawet; lecz za przyszłość ręczy historia, która świadczy, że wszystko, nawet klęski wychodzą na dobre sprawie żywotnej." — „Nowosti" oświadczają przy tej sposobności, „że odrodzenie się doków oraz zbudowanie nowych pancerników w zatoce sewastopolskiej jest początkiem formowania się południowo-rosyjskiej potęgi morskiej dla urzeczywistnienia zadań historycznych, jakie Rosya ma do spełnienia na Wschodzie... Projektowane przez Europę rozstrzygnięcie kwestyi bułgarskiej i greckiej odpowiada interesom Rosyi tylko pod względem utrzymania pokoju europejskiego; lecz sam

sposób regulowania téj sprawy sprzeciwia się historycznemu zadaniu Rosyi na półwyspie bałkańskim. Ze strony formalnej rozwiązana jest sprawa bułgarska, z faktycznej zaś — wprowadzoną dopiero na porządek dzienny.“

W kolei środków, obmyślanych przez rząd pruski dla wyłączenia narodowości polskiej, obradowano w sejmie pruskim, po załatwieniu ugody kościelno-politycznej, nad zniesieniem szkoły w dawnych prowincjach polskich. Dyskusya, jakkolwiek nadzwyczaj doniosła, bo nawet komisya sejmowa uznawała, że sprawa jest do tego stopnia zasadniczą, iż dla uchwalenia prawa potrzeba żądać zarazem zmiany konstytucyi, przedstawiała jednak w ogóle smutny tylko obraz pasowania się skrepowanej sprawiedliwości z przemocą siły brutalnej, ponieważ rezultat obrad, choćby w nich wszyscy apostołowie i prawnicy korony udział wzięli, z góry był przesądzony i postanowiony przez potulne narzędzia urzędu kanclerskiego. W przebiegu rozpraw wyróżniały się głosy posłów Zakrzewskiego, ks. Stablewskiego i Windhorsta. Postanowiono tedy, że przy obsadzeniu posad nauczycielskich w W. Ks. Poznańskim i Prusach zachodnich, dozory i deputacye szkolne, równie po wsiach jak i po miastach mogą wyrazić swe życzenia, a nawet zanieść zażalenie przeciw powołaniu niemiłych sobie nauczycieli, ale władzą mianującą nauczycieli będzie odtąd rząd. Wyjątek stanowią miasta, tworzące osobne okręgi szkolne, jak: Poznań, Bydgoszcz, Gdańsk, tudzież powiaty przeważnie protestanckie: wałecki, malborski, suski i elbląski, niemniej i te miasta zachodniopruskie, których ludność przewyższa cyfrę 10,000 i które tego wyjątku zażądają. Ponieważ takie postanowienie sprzeciwia się artykułowi 112-mu (i 24-mu) konstytucyi pruskiej, dla tego zniesiono ten artykuł w granicach powyżej wskazanych. Rząd ma odtąd prawo karać nauczycieli i nauczycielki w drodze dyscyplinarniej, przerzucać ich z miejsca na miejsce w interesie dobra służby przy zapewnionem wynagrodzeniu za koszta przenosin.

Od rozswywołonych bułgarów prowadzi patryotyzm publicystów prasy rosyjskiej a w części i niemieckiej prosto na wymaginowy „teatr powstania w Galicyi,“ którego nasi najserdeczniejsi tak bardzoby sobie życzyli. Kronikarzowi szukającemu genezy téj baśni, zastanawiającemu się nad znaczeniem i doniosłością téj gadaniny — nasuwają się uwagi następujące. Do przepowiedni Nostradamusa o Wielkiemuocy na S. Marka, jako terminie końca świata, przymieszało się nieco sztucznej agitacyi, którą epigonowie „wersalskich dzieci“ i domorośli reformatorowie skwapliwie — choć nierozważnie wyzyskali dla podrażnienia zagojonych antagonizmów między dworem a chatą, między jednym plemieniem a drugim z pewną przymieszką kwasów wyznaniowych. Pogłoski z karczmy wiejskiej dostały się do miast węgierskich, niektóre dzienniki i tygodniki, polujące na wieści efektowne i przyznające sobie monopol wielkiej czujności i gorliwości o dobro publiczne, wy-

dęły tę bańkę mydlaną do wielkich rozmiarów, — a ztamtąd dostała się ona do gazet wiedeńskich centralistycznych i zagranicznych, gdzie już na seryo rozprawiano o rozruchach ludowych, o rzezi szlachty i t. p., upragnionych objawach życia „narodowego“ polskiego. Nie możemy twierdzić, aby stosunki galicyjskie nie potrzebowały naprawy; ale téj nie skuteczniejszą korespondenci gazet, tylko praca cicha a wytrwała, dążąca do tego, aby usunąć szkodliwość działalności starozakonnych, jako jedynego żywiołu eksploatującego równie dwór jak i gromadę, aby zapobiegać przechodzeniu dworów w ręce żydowskie, które psują robotę umoralnienia ludu wiejskiego, aby uporządkować sprawiedliwie wysokość cyfry podatkowej, aby pod wpływem światłej naczelnéj władzy duchownéj, która się zwolna odmładza, pobudzić duchowieństwo parafialne do energicznéj, prawidłowéj pracy, aby oświacie ludowéj nadać kierunek praktyczny, odpowiedni, usuwając z programu szkółki wiejskiéj to, co tam jest przesadnego, co służy tylko do pobudzenia proletaryatu inteligencji, lecz nie rozłącza swoich ożywczych promieni prawdziwéj oświaty na ogół ludu. Politykomania rozszerzyła zbyt szeroko swoje koło: rozprawiamy, piszemy może zawiele na wiatr w zakresie spraw społecznych a zamało pracujemy spokojnie i praktycznie. Zamiast dążyć do zgody między różnemi warstwami społecznemi, to pod wpływem reminiscencji historycznych znajdujemy pewne upodobanie w drażnieniu jednego „stanu“ przeciw drugiemu, — zamiast eksploatować wszystkie warstwy na rzecz dobra publicznego, to spotykamy więcéj apostołów propagujących zasadę wyzyskiwania jednéj warstwy przez drugą! Tym sposobem nie goją się rany społeczne; ale się coraz bardziéj zaogniają, o czém zdają się zapominać ci publicyści, którzy po r. 1846 i 1864-ym niby nowi Donkiszoci wojują jeszcze przeciwko przywilejom szlachty. Mamy jednak nadzieję, że gruntowna praca umysłowa przyniesie i na tém polu pewne upamiętanie — i wyda owoc upragniony!

Na polu ruchu umysłowego w społeczeństwie polskiém mamy do zaznaczenia następujące fakta pocieszające:

W ostatnich dniach kwietnia i w początku maja słuchaliśmy w Warszawie trzech Odczytów prof. St. hr. Tarnowskiego „O literaturze polskiéj za panowania Stefana Batorego.“ Szanowny prof. przedstawił z właściwém sobie mistrzostwem słowa epokę, bogatą nie tylko w świetne czyny wojenne i polityczne; ale obfitą także i w dzieła umysłu ludzkiego. Wyszedłszy z grobowca wielkiego króla, wskazał na znaczenie dzieła Jana Kochanowskiego z téj epoki, poczem mówił o jego naśladowcach (Sęp Szarzyński, Tobiasz Wiszniewski, Grochowski, Miaskowski, Klonowicz), od których postąpił do historyków (St. Orzechowski, Łukasz Górnicki, Solikowski, Orzelski, Warszewicki, Sarnicki, Heidenstein, Strykowski i Joachim Bielski), pomiędzy którymi najszczegółowiów rozbiierał dzieło Heidensteina. Ostatni odczyt poświęcił sz. prof. pisarzom, zajmującym się sprawą reformy politycznéj

i społecznej za Stefana Batorego. Główną uwagę poświęcił tu uczony prelegent czterem postaciom, mianowicie: Łukaszu Górnickiemu (*Rozmowa o elekcyi; Droga do zupełnej wolności*), Krzysztofowi Warszewickiemu, apostołowi hiszpańskiego absolutyzmu, biskupowi Wereszczyńskiemu, nawołującemu do poprawy wewnętrznej w celu wyparcia Turków z Europy — i najważniejszemu ks. Piotrowi Skardze, którego działalność wymownemi skreślił słowy. Nie wątpimy, że rzecz tak piękna i głęboko naukowa nie pozostanie w ukryciu, ale ukaże się niebawem w druku.

Dnia 3-go maja odbyło się w sali biblioteki polskiej w Paryżu doroczne walne posiedzenie towarzystwa historyczno-literackiego, na którym, po odczytaniu sprawozdania za rok ubiegły o stanie biblioteki, liczbie korzystających z biblioteki (mniejszej w porównaniu z latami dawniejszemi) o dochodach (25,454 fr.) i wydatkach towarzystwa (17,084 fr.) wspomniano także o posiedzeniach i odczytach miesięcznych w ciągu roku minionego. Z tego dowiadujemy się, że czytali rozprawy naukowe następujący członkowie towarzystwa: P. L. Niedźwiecki czytał rozprawę: „Uwagi o powszechnym diapazonie ze zwrotem ku badaniom Hoëne-Wrońskiego;“ p. Waliszewski „Ustęp z pamiętników Scypiona, marszałka nadwornego;“ p. Goldstein: „Kilka słów o antropologii żydów;“ p. Waliszewski ustęp z pracy: „Walka stronnictw i programów politycznych przed upadkiem Rzeczypospolitej;“ p. J. Kallenbach: „Wspomnienie o Hip. Błotnickim.“

Co do sprawy konkursu dowiadujemy się, że mimo przedłużonego terminu dwuletniego nie nadesłano żadnej pracy na temat konkursowy, ogłoszony przed 4-ma laty pod tytułem: „Jakim zmianom uległo sejmowanie polskie od pierwszych dokładniej znanych sejmów (1548) aż do zagańczającej się praktyki *liberum veto* w wieku XVII? Czy i jakie starania zdążyły do jego naprawy? Co jój przeszkadzało?“ Zgodnie tedy z warunkami, ogłoszonymi dn. 3-go maja 1884 r. nagrodzono dwóch autorów dzieł historycznych, które w ciągu ostatnich lat czterech wyszły z druku i za najlepsze uznane zostały. Na wniosek uproszonej w tym celu Akademii umiejętności w Krakowie z dnia 17-go kwietnia r. b., przyznała Rada towarzystwa przewidziane nagrody dwom autorom, mianowicie p. Tadeuszowi Korzonowi za dzieło „Wewnętrzne dzieje Polski za Stanisława-Augusta“ (Kraków 1882—1886, t. 4, i Ludwikowi Kubali za dzieło: „Jerzy Ossoliński. (Lwów 1883). Za radą również Akademii umiejętności w Krakowie towarzystwo wyznaczyło na czas 1886—1888 r. nowy konkurs następujący: „Opracowanie monograficzne, (oparte na wyczerpującem zużytkowaniu wydanych dotychczas materyałów), dowolnie obranego przedmiotu z zakresu historii stosunku politycznego między Litwą a Polską od r. 1386 do 1569.“ Żądana praca w języku polskim obejmować ma najmniej 10 arkuszy druku. Termin ostateczny przesłania rękopisu pod adresem sekretarza Akademii w Krakowie lub se-

kreterza towarzystwa w Paryżu (6, quai d'Orléans) dn. 15-go lutego 1888 r. Nagroda 1800 franków, które mogą być rozdzielone na dwie: 1200 i 600 fr. Po odczycaniu sprawozdania miał p. J. Kallenbach, wychowaniec uniwersytetu krakowskiego, odczyt o znaczeniu historycznym panowania Stefana Batorego w Polsce, a to na cześć zbliżającej się 300-sto letniej rocznicy zgonu tego znakomitego monarchy.

„Konkurs z funduszu Ad. Chojnickiego na cele oświaty ludowej.“ Ś. p. Adam Chojnicki, obywatel ziemski zapisał przed kilkunastu laty w testamencie poważny kapitał jako fundusz na nagrodę za dzieła poświęcone „celom oświaty ludu.“ Wykonanie ostatniej swej woli porucił Uniwersytetowi Warszawskiemu, a ten ogłosił w skutek decyzji fakultetu historyczno-filologicznego dla ubiegania się o nagrodę Adama Chojnickiego w latach 1886—1888 temat: „Krótki rys historyczny wyparcia lechickich Słowian przez Niemców z nad Elby, Odry, Wisty i pobrzeży morza Bałtyckiego, ze szczegółowym wyjaśnieniem przyczyny tego zjawiska.“

Dzieło powinno zawierać w sobie: 1) Ogólny obraz rozmieszczenia lechickich Słowian, t. j. Bodryczów, Lutyków, Pomorzau i Polaków, w IX—XI stuleciach, z dodaniem historyczno-geograficznej mapy. 2) Krótki rys stopniowego zmniejszania się terytorium lechickiego od zachodu w epokach średniowiecznej i nowej, z dodaniem map XV i XIX wiek. 3) Dokładne wyjaśnienie przyczyn stopniowej przewagi Niemców nad Słowianami lechickimi, ze szczegółowym zwróceniem uwagi na sprzyjające tej przewadze warunki a) plemienne, zależące od osobliwości fizycznego i psychicznego typu jednych i drugich; b) kulturowe (?), w szczególności zaś polityczne, społeczno-ekonomiczne i religijno-moralne. W tym ostatnim dziale należy w badanym zjawisku dokładniej przedstawić rolę niemieckiej kolonizacji (w związku z napływem żydów), łacińsko-niemieckiej szkoły i zachodniego kościoła ¹⁾. Warunek zasadniczy: Wykład zrozumiały dla wszystkich, a zarazem zupełna obiektywność i naukowa ścisłość treści. Nagroda przyznana będzie w ilości rs. 900. Dzieło powinno być nadesłane nie później, niż 30 kwietnia r. 1888. Powinno być napisane w języku rosyjskim i przez rosyjskiego poddanego: bądź to już drukowane, bądź też w rękopisie, napisane porządnie i wyraźnie. Wydanie nagrodzonego dzieła w języku rosyjskim lub polskim pozostawia się uznaniu autora.

Odłożone w r. b. z dnia urzędowego 3-go maja posiedzenie publiczne Akademii umiejętności w Krakowie, odbyło się pod przewod-

¹⁾ Zastanowić musi każdego tak wyraźnie wskazana tendencja, w jakiej pożądanе dzieło ma być napisane obok zastrzeżonej „pełnej obiektywności.“ Szkoła łacińska i kościół zachodni stanowią przeciw warunki indywidualności państwa lechickiego.

nictwem vice-protrektora J. E. Alfr. hr. Potockiego, zastępującego protrektora Akademii, J. Ces. Wys. Arcyks. Larola Ludwika, dnia 22-go maja. Po odpowiednim zagajeniu posiedzenia przez J. Eksc., który, wskazawszy jedyne warunki prawdziwego postępu i organicznego rozwoju nauk, wspomniął o bolesnej stracie, jaką poniosła Akademia przez śmierć Kaz. hr. Stadnickiego, autora „Synów Gedymina,“ prezes Akademii, dr. Majer, nawiązując odpowiedź swoją do słów J. Eksc. uważającego przyszłość za wynik przeszłości, wskazywał „obowiązek ciążyący na terażniejszości, będącej polem działania każdej generacyi, po którego zakresie i skutkach osądzi ją kiedyś historia. Ażeby sąd ten nie wydał wyroku potępienia, terażniejszość pamiętać powinna, że jest ogniwem łączącym przeszłość z przyszłością, dla której nie byłaby skutecznym posiewem, gdyby to, co po sobie zostawiła przeszłość, zmarniało w niej bez skutku i śladu.

Oglądanie się na przeszłość, nienaruszanie tego, co stoi gotowe, to konserwatyzm; przysparzanie warunków korzystnych przyszłości, to postępek. Skuteczność tych czynników warunkuje się nawzajem. Konserwatyzm rozumny zabezpiecza prawidłowy rozwój; ale bezwzględny, przy złém i dobrém zarówno stojący,—to zbezładnienie, zastój, martwota, w obec której o postępie mowy być nie może. Postępek rozumny nie marnuje tego, co przeszłość przyniosła dobrego, ale działanie na własną rękę, bez oparcia się na doświadczeniu i zdobyczach przeszłości, nie byłoby postępem, lecz błąkaniem się po manowcach, puszczaniem się na oślep po nieznanych, niepewnych, często niebezpiecznych bezdrożach. Rozum zatem, stojąc tu na straży, obu kierunkom słuszną miarę wskazywać powinien.

Jeżeli pamięć o dostarczaniu przyszłości tego żywotnego posiewu nigdy opuszczać nas nie powinna, to w tym właśnie czasie, jak na wszystkich innych polach działania, tak i na tém, które nam przypa- dło w udziale, obowiązek ten groźnie staje przed oczyma! Dziś bowiem praca na tym skrawku ziemi dopełniać musi tego, do czego nie ma pola w innych dzielnicach. W tém przekonaniu któżby pożałował pracy? Czy skutki pracy naszej odpowiadają temu wysokiemu zadaniu? Sami orzekać o tém nie możemy i nie chcemy. Są one w ręku równych z nami pracowników na polu nauki, do nich sąd o nich należy. Poważne instytucje w kraju i za krajem, w Europie i poza Atlantykiem, zawiązują z nami naukowe stosunki, żądają prac naszych i wzajem ofiarują własne.

Nie budzi to w nas zarozumiałości, owój w najprostszym znaczeniu nieprzyjaciółki postępu; jednakże jako jedna z podniet zagrzewających do wytrwałości w pracy, obojętną być też dla nas nie może. Jeżeli pracy tej zawiązujemy jakiegokolwiek skutki, to drogi jaką szliśmy dotąd, nie mamy powodu opuszczać i nadal.“

Potém sekretarz generalny akademii, prof. St. hr. Tarnowski, zdał sprawę z ruchu naukowego i administracyjnego w roku ubiegłym, uczciwszy pamięć zmarłych członków Akademii, Kaź. hr. Stad-

nickiego, Aleks. Szukiewicza i Maksym. Zatorskiego. Następnie przeczytał prof. St. dr. Smolka studjum p. t. „Rok 1386 w dziejach Polski i Litwy.“ Podanie kandydatów na członków Akademii oraz sprawozdanie z konkursów zakończyło tę uroczystość. Na członka korespondenta II-go wydz. proponowano ks. prałata Edw. Likowskiego na członka koresp. III wydz. Emila Godlewskiego, prof. szkoły rolniczej w Dublanach.

Temata do nowych prac konkursowych, w części już dawniej opublikowane, w części nowo ogłoszone,—są:

1) „Wpływ i znaczenie królowej Bony w rozwoju humanizmu polskiego.“ Termin składania rękopisów do 1 marca 1887 r. Nagroda 160 złr.

2) „Opracowanie klimatografii Galicyi“ — ogłoszony 5-go maja 1883 r. Termin 1 lipca 1887 r. Nagroda 1000 złr.

3) „Historja kościoła powszechnego w życiorysach“—ogłoszony 6 czerwca 1885 r. Termin koniec grudnia 1886 r. Rękopis 30 arkuszy druku. Nagroda 600 rubli, może być rozłożoną na dwie 400 i 200 rubli.

4) „Prace leksykograficzne, monografie z zakresu gramatyki, historii języka i dyalektologii polskiej, oraz rozprawy, odnoszące się do związku języka polskiego z innymi słowiańskimi.“ Termin koniec grudnia 1888 r. Nagroda 675 rubli najlepsza, dwie następne co do wartości po rs. 337 każda.

5) Dwie nagrody 200 i 100 złr. za wypracowania z pomiędzy tematów: a) Jana Długosza służba publiczna od r. 1466—1480; b) Zatarg Kazimierza Jagiełłowicza z biskupem warmijskim; c) Rządy Władysława Opoleczyka na Rusi; d) Stosunki Polski do Inflant za Zygmunta-Augusta aż do poddania się Inflant. Prawo ubiegania się stuzży tylko studentom akademii. Termin 1 czerwca 1888 r.

6) Konkurs z funduszu dr. Wład. Kretkowskiego, ogłoszony po raz drugi bez skutku, postawiony będzie stosownie do woli testatora po raz trzeci z terminem ostatniego lutego 1888 roku.

Doroczne posiedzenie komisji fizyograficznej Akademii umiejętności w Krakowie, które się odbyło dnia 15 kwietnia b. r. pod przewodnictwem prof. d-ra St. Kuczyńskiego, przedstawia nam z jednej strony obraz całorocznej działalności członków tej komisji w zakresie badań kraju pod względem przyrodniczym, a z drugiej strony rzuca światło na ogólny plan projektowanych prac i zatrudnień komisji na rok następny. Ze sprawozdania zarządu komisji o pracach już dokonanych widać, iż brali w nich udział liczni członkowie, pracujący w zakresie geologii, paleontologii, botaniki i zoologii. P. Ławnicki przedstawił prace: 1) „O utworze sódokowodnym trzeciorzędowym na Podolu galicyjskim“ i 2) „Zapiski geologiczne“ w tejsze krainie; pp. Bicniasz i Zaręczny badali, pod

względem geologicznym, pierwszy wschodnią Galicyą, a drugi okolice Krakowa; p. G. Olchowski badał dalej jaskinie krajowe; p. Stabiecki zebrał materyały do fauny okręgu krakowskiego; p. Wierzajski dał pracę „O gąbkach słodkowodnych galicyjskich;“ p. Kotula „O zaciągu pionowym roślin naczyniowych w Tatrach, część I-sza;“ p. Boberski „Przyczynę do lichenologii Pienin;“ p. Zalewski „Zapiski roślinnicze z Królestwa Polskiego i Karpat;“ p. Raciborski opisał „Pelit niepołamski“ i „Uredineae“ (materyały do flory omarów Polski). Z rozpoczętego wydawnictwa atlasu geologicznego Galicyi ukończone zostały 4 arkusze, które nie wyszły jeszcze w świat dla tego, iż z powodu długiej i ciężkiej choroby głównego redaktora téj publikacyi, prof. dr. A. Altha, tekst do części opracowanej nie mógł być ukończony. Przy pracach literackich niektórzy delegaci przedstawili i zbiory zdobyte podczas wycieczek. P. Bieniasz złożył zbiór geologiczny badanych przez siebie miejscowości Galicyi wschodniej; p. G. Ossowski liczne okazy fauny dyluwalnej z jaskini Wierzchowskiej-Górnej, znalezione w namulisku aluwialnem téj jaskini; p. Krupa zbiór Rodniowców z rozmaitych miejscowości; p. Raciborski zbiór omarów; p. Wiśniewski zbiór fauniczny z jezior Czarnohory; p. Karliński zbiór much i wijów. Niebrakło także i darów, złożonych w ciągu roku do zbiorów komisyi. P. Tarczyński ofiarował róg łosia kopalnego, rogi zębca (*Bos primigenius*) i kilka innych szczątków zwierząt zaginionych, znalezionych w okolicy Płocka; p. J. Zieliński z płockiego—róg jeleni, znaleziony w Bugu; p. Ławnicki—trzy gatunki ślimaków dyluwalnych; p. Kotabka—zębro mamuta z pod Puław; p. Łapczyński, okazy paleontologiczne z okolic Szczakowój; p. Raciborski, zbiór śluzowców. Redakcyje pism nadeszły do księgozbioru komisyjnego t. V-go „Pamiętnika Fyzyograficznego,“ dwa tomy (XX i XXI) „Rocznika zakładu centralnego meteorologicznego“ w Wiedniu i tom X-ty „Pamiętnika tatrzańskiego.“

Na podstawie uchwał zapadłych poprzednio w oddzielnych sekcjach Komisyi, zatwierdzono projekt do prac fizyograficznych w roku bieżącym. Polecenia badań kraju otrzymali w sekcyi geologicznej: p. Bieniasz, okolice Pomorzian z okolicą Buczacza i Husiatyna, p. G. Ossowski, dalsze badania jaskiń krajowych; p. Zareczny, okolice Krakowa; p. Teyssejre, okolice Tarnopola; w sekcyi botanicznej: pp. Krupa, badanie rodniowców Czarnój-Hory; Trusz, okolice między Bugiem a Styrem; Raciborski, rewizyą dalszą zbiorów botanicznych; w sekcyi zoologicznej, pp. Wiśniewski, badań jezior Czarnój-Hory; Stobnicki, Podola galicyjskiego; Jelski, uzupełnienie zbiorów entomologicznych przez zastąpienie okazów zniszczonych nowemi.

Z zatwierdzonych cyfr budżetowych widać, że z ogólnej sumy dochodu komisyjnego 6,100 zhr., przypada w roku bieżącym na druk tomów XX i XXI sprawozdań Komisyi zhr. 1,400; na wydawnictwo atlasu geologicznego Galicyi 781; na personel i wydatki drobne 619;

na wycieczki w sekcji geologicznej 1,200; zoologicznej 600, botanicznej 750, meteorologicznej złr. 350.

Wybór przewodniczącego na rok następny padł jednomyślnie na prof. dr. St. Kuczyńskiego, który już trzynaste lat przewodniczy Komisji. Gdy zaś ten, odwołując się do kilkakrotnie wyrażonej w latach poprzednich rezygnacji z tej posady dla wieku i sił nadwątłych, niniejszego wyboru przyjąć nie mógł, członkowie komisji wyrazili uczucie wdzięczności za tyloletnią gorliwą i niezmordowaną działalność jego dla spraw Komisji, poczem zarządzano wybór nowy, który większością głosów padł na prof. d-ra Rostafińskiego. Na sekretarza Komisji wybrano d-ra Wł. Kulczyńskiego; na nowego członka Komisji zaproszono d-ra Teyssejre.

Dnia 17-go kwietnia odbyło się posiedzenie wydziału matem.-przyrod. pod przewodnictwem dyrektora dr. Teichmanna. Sekretarz prof. Kuczyński przedstawił XIV-ty tom „Rozpraw i Sprawozdań“ wydziału matem.-przyrod., który z początkiem kwietnia wyszedł z pod prasy, tudzież odczytał: a) sprawozdanie prof. Martensa o pracy p. Dicksteina pod tytułem: „O twierdzeniu Crocchi'ego;“ b) sprawozdanie prof. Frankego o pracy dr. Mieczysława Łazarskiego pod tytułem: „O konstrukcyi i własnościach krzywych rzędu czwartego z punktem potrójnym.“ Prof. dr. Rostafiński zdał sprawę z pracy p. Brauna pod tytułem: „Rosae a C. D. Dre Wołoszczak in agro Leopolitano anno 1885 lectae.“ Prof. dr. Adamkiewicz wyłożył rzecz: „O budowie ciała i jądra zwojowego.“ W dyskusyi nad tym przedmiotem brali udział: dr. Teichmann, dr. Rostafiński, dr. Majer i dr. Adamkiewicz. Na posiedzeniu administracyjnym, które się odbyło w dalszym ciągu poprzedzającego, odesłano wyżej wspomniane rozprawę pp. Dicksteina i Łazarskiego do komitetu wydawniczego, rozprawę zaś p. Brauna do komisji fizyograficznej. Następnie wybrano dwóch delegatów (dr. Kuczyńskiego i dr. Rostafińskiego) do komisji, mającej się zająć wypracowaniem umotywowanej opinii w sprawie utrakwizmu w średnich szkołach Galicyi wschodniej, poruszonej wnioskiem p. Małeckiego. W tajnym głosowaniu obrano ponownie dyrektorem wydziału na następne dwa lata prof. dr. Teichmanna. Nakoniec zatwierdzono wybory następujących nowowybranych członków komisji fizyograficznej: p. Maryana Raciborskiego, asystenta przy katedrze botaniki w uniwersytecie Jagiellońskim, p. Stefana Stobieckiego, asystenta przy katedrze mineralogii w c. k. szkole politechnicznej lwowskiej i p. Wawrzyńca Teyssejrego, asystenta przy katedrze mineralogii w uniw. Jagiell.

Posiedzenie wydziału matematyczno-przyrodniczego Akademii umiejętności 20 maja b. r., pod przewodnictwem dr. Teichmanna, poświęcone było przeważnie rozprawom treści matematycznej. Sekretarz wydziału, prof. dr. St. Kuczyński, przedstawił

wydziałowi następujące rozprawy: 1) p. Stodołkiewicza *a)* o dwóch układach równań różniczkowych o różniczkach zupełnych, *b)* dowód sposobu Bertranda na całkowanie równania różniczkowego o różniczkach zupełnych z wielu zmiennymi; 2) prof. Zajączkowskiego: teoria ogólna równań różniczkowych liniowych jednorodnych z jedną zmienną niezależną; 3) p. Dicksteina, wraz z jej oceną przez prof. Martensa; 4) dr. Birkenmajera, „Nowa teoria kształtu i grawitacji sferoidu ziemskiego;“ 5) p. Rogozińskiego, „Materyał do zestawienia warunków klimatycznych zatoki Biafra; 6) dr. Rumszewicza: „śródoczne mięśnie u ptaków, wraz z oceną jej prof. Nowickiego; 7) p. G. Ossowskiego, „o wotynie z oceną jej przez prof. d-ra A. Altha;“ 8) p. Niemętowskiego, z oceną prof. Czarniańskiego; 9) d-ra Schrama, zaleconą przez prof. Radziszewskiego. W końcu nastąpiło posiedzenie administracyjne.

W dniach 17 kwietnia i 18 maja odbyła komisya historyczna posiedzenia, na których zdawano sprawę z postępu jej wydawnictw. Oznajmiono tedy *a)* o wyjściu z druku 3-go tomu archiwum komisji, oraz *b)* 2-go tomu Pamiętnika ks. Wielewickiego, jezuita 1600—1608, *c)* o bliskiem ukończeniu 2-go tomu Kodeksu dyplomatycznego Małopolskiego, oraz *d)* 2-go tomu korespondencji kardynała Hozyusza. Nadto dr. Wł. Abraham zdawał sprawę szczegółowo ze swoich poszukiwań w archiwum watykańskiem w Rzymie podczas zimy ostatniej; p. Zakrzewski zaś z poszukiwań w czasie przeszłej jesieni w archiwum miejskiem w Gdańsku. Oba sprawozdania uchwalono ogłosić w 4-ym tomie Archiwum komisji. Równocześnie odbyła posiedzenie komisya literacka, na którém przedstawiono wydany świeżo „Liber diligentiarum“ wydziału filozoficznego Uniwersytetu krakowskiego z lat 1487—1563, i oznajmiono o postępie druku 2-go tomu „Corpus poetarum latinopolonorum“ t. j. poezyi Pawła z Krosna i Jana z Wiślicy, oraz powzięto uchwały co do dalszego prowadzenia tego wydawnictwa, mianowicie co do wydania poezyi Krzyckiego.

Dnia 13-go maja, pod przewodnictwem dr. Estreichera, odbyło się zwyczajne posiedzenie wydziału filologicznego, na którém prof. Malinowski przedstawił odpis i podobiznę zabytków języka polskiego, z rękopisu wieku XV-go, zachowanego w bibliotece kapitulnej w Pradze. Jest to ustęp ewangelii św. Mateusza i homilia na dzień Wszystkich Świętych. Zawarte w homilii ustępy Pisma świętego, jako to: z Psalterza, z Izajasza, z Ewangelii, z listów św. Pawła, prelegent porównywał z jednej strony z tekstem Vulgaty, a z drugiej z odpowiedniami ustępami psalterza Floryańskiego i biblii Leopolda, wyd. 1561. Wiadomo zaś, że ta ostatnia, jak to wykazał prof. Matecki, polega na jakimś dawniejszym przekładzie z w. XV-go, prawdopodobnie na tekście kodeksu Szarospatackiego. Z zestawień tych wypadła, że fragmenta polskie Pisma św., zawarte w kodeksie praskim, nie

opierają się bynajmniej na dawniejszych przekładach, lecz są oryginalnym tłumaczeniem lub parafrazowaniem Vulgaty. Godna uwagi, że język zabytku, z małym wyjątkiem, wolny jest od wpływów czeskich. — Następnie sekretarz złożył pracę p. N. A. Bruchnalskiego p. t. „O budowie zwrotek w poezji polskiej do J. Kochanowskiego,“ nadesłaną przez prof. Pilata ze Lwowa. Pracę tę oddano do referatu jednemu z członków. — Na posiedzeniu administracyjnym wydział wyznaczył na konkurs imienia ś. p. Kaspra Bieleckiego temat p. t. „Wpływ i znaczenie królowej Bony na humanizm.“ Na sekretarza wydziału wybrano ponownie prof. dr. L. Malinowskiego.

Towarzystwo przyjaciół nauk w Poznaniu zajmowało się w ubiegłym miesiącu następującymi sprawami. Prezes Towarzystwa p. August hr. Cieszkowski miał wykład o archiwach weneckich, a mianowicie o stosunkach Władysława Jagiełły z rzeszą państwa weneckiego. Ciąg to dalszy wykładu w tym samym przedmiocie z miesiąca stycznia roku bieżącego.

Na wstępie wykładu sz. prelegent wykazuje, że Władysław Jagiełło mimo przymierza ofiarowanego mu przez Wenecyę, zmuszony był ówczesnymi stosunkami politycznymi zawrzeć tak niekorzystny pokój z krzyżakami, jakim był toruński, i że z tego też powodu zarzutu zrobić mu nie można. Była to konieczność.

Daliej odczytał dokumenta z archiwów weneckich. Pierwszy z nich zawiera informację i instrukcję rządu weneckiego dla posłów Mocenigo i Cantarini, udających się na zjazd do Budy.

Daliej z dnia 14-go kwietnia 1412 roku, powiadamiający Władysława Jagiełłę, że posłowie weneccy wyjeżdżają do Budy.

Z dnia 10-go maja 1412, zawierający instrukcję dla posła Pawła Eremity.

Z dnia 13-go maja 1412, zawierający instrukcję dla posłów Mocenigo i Cantarini.

Następnie kilka innych dokumentów także w sprawie rokowań w Budzie, pomiędzy cesarzem Zygmuntem a Jagiełłą się odbywających. Ostatni jest z stycznia 1413 r., poczem następuje przerwa a przynajmniej w archiwach weneckich nie znajdują się dokumenta, świadczące o dalszych stosunkach Wenecji z Władysławem Jagiełłą.

Wszystkie powyższe starania dążyły do tego, by spowodować Władysława Jagiełłę do zawarcia z Wenecyą przymierza przeciw cesarzowi Zygmunтови.

Od r. 1419 znów się stosunki te zawierają. Ostatni z dokumentów jest z dnia 13 stycznia 1424 wedle rachunku weneccyan, donoszący Władysławowi Jagielle o wysłaniu delegatów do obrzędu chrztu Władysława Warneńczyka.

Niektóre z tych dokumentów nader ciekawe, wszystkie zaś stanowią bogaty materiał do charakterystyki chwili, oraz do obrazu dyplomacji weneckiej. Niektóre też z nich, z wielkim mozołem, tru-

dem i kosztami z archiwów weneckich przez sz. prelegenta wydobyte i przepisane, drukowane będą w „Rocznikach Tow.“

Na ostatniem posiedzeniu wydziału historyczno-literackiego tegoż Towarzystwa, czytano dalszy ciąg bardzo zajmujących pamiętników generała Lewińskiego. Ustęp pomienionego odczytu wypełniła w przeważnej części charakterystyka działalności generała Umińskiego, która tém więcej zaważyć musi przy ocenianiu tego wodza, że Lewiński był przez czas dłuższy szefem sztabu korpusu, zostającego pod dowództwem Umińskiego, w stopniu pułkownika i wszystkie jego ruchy zna doskonale i ocenia bez namiętności. Umiński w pamiętnikach Lewińskiego przedstawia się bardzo niekorzystnie i jako wódz i jako człowiek. — Po odczycie wywiązała się krótka dyskusya, odnosząca się do zamierzonego wydania „Pamiętników“ w „Rocznikach Towarzystwa;“ zgodzono się jednomyślnie na to, że wydać je należy bez zmiany i bez wszelkich uwag, dbając jedynie o zupełną poprawność nazw w nich zachodzących, które niejednokrotnie przy przepisywaniu „Pamiętników“ uległy przekręceniu.

Towarzystwo imienia Mickiewicza. Dnia 8-go maja zawiązało się we Lwowie nowe Towarzystwo literackie imienia Adama Mickiewicza, które obok szerzenia czei tego największego poety naszego, wzięło sobie za zadanie zbieranie i porządkowanie materiałów, odnoszących się do pism i życia Mickiewicza, jakoteż do całego ruchu umysłowego, którego on był głównym przedstawicielem. Rozjaśnienie tych pism i tego żywota; stanowiska poety w literaturze polskiej; jego stosunku do swoich i obcych pisarzy, to cel Towarzystwa, a środkami, które służyć mają do osiągnięcia tych celów, ma być: utworzenie biblioteki ze wszystkich wydań dzieł poety, oraz i z tego, co o nim pisano w kraju i zagranicą; wydawanie pamiętnika literackiego imienia Mickiewicza; wydawanie pism poety w jak najlepszym układzie lub téż popieranie usiłowań innych wydawców w tym kierunku; wreszcie urządzenie dorocznych obchodów ku czei Mickiewicza na własną rękę, lub wespół z innemi stowarzyszeniami. Na pierwszém tém posiedzeniu Towarzystwo się ukonstytuowało, statuta uchwaliło i poleciło wybranemu przez siebie sekretarzowi, panu Beźzie, przedstawić je w jak najkrótszym czasie do zatwierdzenia Namiestnictwu. Marszałek krajowy, powiadomiony o celach jakie sobie Towarzystwo wytknęło, z właściwą sobie zyczliwością ofiarował jedną z sal w pałacu sejmowym dla zebrań członków. Jeden z punktów statutu zastrzega, że członkiem zwyczajnym zostać może ten tylko, „kto jest znanym z prac swoich historyczno-literackich, odnoszących się do okresu Mickiewicza, a także zasłużeni wydawcy pism jego i zbieracze materiałów do historii literatury tego okresu;“ ale zaraz następny paragraf otwiera furtkę dla innych także, gdyż powiada, że „nadzwyczajnym członkiem Towarzystwa może zostać

każdy miłośnik literatury ojczyźnej.“ Z zamieszkałych we Lwowie uczonych i literatów, zajmowali się daną epoką lub pisali o Mickiewiczu: Antoni dr. Małecki, dr. Józef Tretiak, Edward Pawłowicz, ksiądz Jan Siemieński, Bolesław Czerwieński, Wład. Bełza, dr. Albert Zipper, dr. R. Pilat, Fr. Konarski i kilku innych. Jest więc dość spory zastęp pracowników, którzy w tém Towarzystwie wiadomości swoje i usiłowania mogą z korzyścią dla ogółu spożytkować.

Ze stołu konkursowego pierwsza na scenę wyskoczyła pięcioaktowa komedia p. Edwarda Lubowskiego, odznaczona trzecią nagrodą, improwizowaną i nieprzyjętą przez autora. Ta dobrowolna strata materialna wynagrodziła mu się moralnie, bo utwór jego zyskał powodzenie bezsporne i trwałe. Zastępuje na to, chociaż nie jest to komedia doskonała, w dramatyczném znaczeniu tego wyrazu, gdyż brakuje jej jedności myśli i interesu. Autor, tworząc ją zapomniał o Moliere (wybaczamy mu Arystotelesowi), a myślał więc o Pailleronie, zapatrywał się na jego np. „Świat Nudów“, który sam niegdyś tłómaczył. Tylko Pailleronowi lepiej udało się zaprowadzić równowagę, a tém samém jedność pomiędzy satyrą towarzyską a intrygą sceniczną, gdy u p. Lubowskiego dwa te żywioły usiłują iść w parze, ale usiłowania nie dopisują, a satyra, zapewne mimowoli, w ciemny kąt zapędza to, co istotny dramat stanowi. Ztąd utwór jego podobny do pięknego z oblicza mężczyzny, mającego jakąś wadę organiczną, którą spostrzegłszy, powiadamy: szkoda!

Satyrę swą, ową piękną i silną stronę organizmu swego dzieła autor kieruje przeciwko tym zgubnym instynktom naszego społeczeństwa, które, nawet przy tak świętej sprawie, jaką jest dobro publiczne w czasie najkrytyczniejszym, rządzą się względami osobistymi. Reprezentantów tego zbrodniczego samolubstwa przedstawił on sporą liczbę, a każdy z nich ma coś odmiennego, co go wśród innych odznacza. Trzeba mu oddać sprawiedliwość, że nigdy jeszcze nawet w uajlepszej swój sztuce, w „Nietoperzach“ nie stworzył tyle wydatnych indywidualności. Rzecz idzie o wybór posła w jednym z znaczniejszych miast galicyjskich, któryby godnie cele narodowe popierał w wiedeńskiej radzie państwa, i na ten ważny posterunek opinia publiczna przynajmniej pełnego zdolności i poświęcenia człowieka, w osobie Władysława Wrzeckiego, szlachcica z zasadami umiarkowanie postępowymi, ale bez splendoru majątkowego i koligacyi. I cóż się dzieje? W sam dzień narady przedwyborczej, wszystkie stronnictwa obracają się przeciwko niemu. Książę August, najbardziej wpływowy wśród wyborców, widzi w nim przeszkodę do swego zamierzonego romansu z hrabiną Stefanową; hrabina, która właśnie zawróciła sobie głowę tym kandydatem, nie rada puszczać go aż do Wiednia, chciałyby go zatrzymać przy sobie wbrew jego woli, bo Wrzecki kocha Jadwigę, młodą siostrę jej męża, ale to tembardziej drażni rozuamiętnioną ku niemu hrabinę; więc i ta sprzeciwia się jego kandydaturze; a że jej

wola jest wyrocznią dla męża, więc i hrabia Stefan (przyjaciel i obojętany) będzie przeciwko Wrzeckiemu. Do nich przystępuje sojusz najniżej oczekiwany. Wpływowy redaktor quasi demokracja, ale wdychający do progów arystokratycznych, Koszyński, który wpływ swój wystawia na sprzedaż i myśli cichaczem o ręce hrabianki Jadwigi, a nienawidzi Wrzeckiego za jego talent i popularność. Za nim przybywa rewolwerowy dziennikarz Bicki, przyprowadzający z sobą podkomendnych obywateli. „Osaczony“ w ten sposób Wrzecki, znajduje pomoc w jednym tylko sumiennym dziennikarzu, ale to nie wystarczy. Témbardziej, że Koszyński, ażeby go zgubić w opinii, puszcza o nim potwarz, uwłaczającą jego honorowi, którą nie zaraz można odeprzeć, a kiedy nareszcie nadchodzi chwila rehabilitacji, już kabała dokonała swego i skutkiem wzajemnej umowy intrygantów, na posła do rady państwa wybranym został hrabia Stanisław, który sam jeden tylko utrzymuje o sobie, że nie jest manekinem.

Cała ta intryga wyborcza prowadzona jest świetnie, a to dzięki mocno indywidualizowanemu charakterom osób działających, nad którymi wytwornością kolorytu panuje hrabina Iza, wyjątkowo znakomita kreacja wśród wszystkich figur kobiecych p. Lubowskiego, jako dama rozpróżniona, znudzona mężem, a pełna życia, dowcipna, despotyczna, której zachcianka nerwowa stoi wyżej nad wszystkie sprawy świata. Z usposobienia podobnym jest do niej książę August, sybaryta wykwintny, z góry traktujący ludzi nie swego świata, ale przez elegancką rękawiczkę rzucający obelgi w girlandach, ironiczny samolub, dla którego każdy człowiek ma tylko wartość narzędzia przysługującego jego upodobaniom lub widokom. Hrabia Stanisław wykrapany portret dobrodusznego niedołęgi, lunatyka, który wszystko zawdzięcza majątkowi i tytułowi, bez których zdolny byłby tylko pierze drzeć na świecie. Koszyński, potężne wcielenie ufniej w siebie miernoty i podłości, mającej wszystko do zbycia, nawet honor, gdyby go posiadał. Bicki, epizodycznie występująca figura, przedstawia rodzaj literackiego opryszka z obejściem jaskiniowem. Nawet i pomniejsze figurki z tej linii, posiadają jakieś znamiona wybitne. Słowem, gdzie tylko przewodzi interes wyborów, już to postaci, już też ruch, akcja, dialog, wszystko, co przysługuje scenie, skłania się na efekt, który satyrę podnosi do dramatu.

Ale inaczej rzecz się ma z dramatem istotnym. Wrzecki ma tu dwie sprawy, właściwie mówiąc, tak jakoś nieharmonijnie połączone, że jedna drugiej przeszkadza zamiast się uzupełniać. Nie tylko na posła, ale jest on kandydatem i do ręki hrabianki Jadwigi, która go kocha. Ależ to mezalians, który możeby się jakoś i zatarał, gdyby kandydatura jego przeszła. Właśnie też nie życzy sobie tego hrabina Iza. W obec tych występnych zachcianek reflektuje ją ciotka, pani Sabatier, która tu jest istotnie duchem opiekuńczym Wrzeckiego, bo nie tylko, że przytomny deus ex machina podał jej sposób odwrócenia potwarzy od Wrzeckiego, ale i jej stanowcze wystąpienie w obec Izy

ulatwiło możność połączenia się kochankom. Ale cóż uczynił sam Wrzecki, ów bohater tytułowy. Zgoła nic. I oto dla czego ta druga strona komedyi pozostała w cieniu, stłumiona wielkiem światłem satyry.

Ilekroć też bieg rzeczy wstępuje w kolej sercową, sztuka się chwieje; ale niech się tylko pokaże która z tych figur, któreśmy opisali szczegółowo; zaraz powraca życie a przeto i cała sztuka, najświetniejsza w akcie drugim, omdlewając czasami, szczęśliwie dobiega do końca. Graną też była koncertwo, ale prym trzymali pani Lüde (Iza) i p. Tatarkiewicz (Koszyrski). Ile tamta świetniała wdziękami wielkiej damy, zarysowując w najdrobniejszych szczegółach jęj własności psychiczne, tak znowu p. Tatarkiewicz jeszcze własnymi pomysłami uzupełniał tę moralną potworność, jaką przedstawia bezczelny sprzedawca dziennikarskiej trucizny. P. Leszczyński wytwornie po swojemu, sprawił się z eleganckim samolubem, księciem Augustem. P. Wolski nader zręcznie z obmyślanym artystem, z subtelną komicznością, wcielił się w ubożuchną postać hrabiego Stefana; a p. Rapacki lubo szkicowo, ale z jaskrawym humorem skreślił typ szubrawca pióra w osobie Bickiego. Mniejsze postacie, jak śmieszni wyborcy Opętacki, Fafulski i Pstrzycki charakterystycznie się też przedstawiały dzięki pp. Sikorskiemu, Waliszewskiemu i Sliwińskiemu; szlachetny Strzembosz dobrego znalazł tłumacza w p. Kotarbińskim, Korbaczewski w p. Galasiewicz. Błada grupa postaci dodatnich nie dała pola artystom do popisu. Wrzeckiego ile mógł podtrzymywał p. Prażmowski; panna Czaki nie zdołała uwydatnić Jadwigi; tylko p. Rakiewiczowa, utrzymując w pięknym stylu rolę ciotki Sabatier, wlała w nią nieco życia. W każdym jednak razie „Osaczony“ jest jedną ze sztuk, której wykonanie popiera zasłużoną wziętość składu naszej komedyi.

Sztuka ma na długo zapewniony popyt. Ale teraz zachodzi pytanie, czy autor miał prawo tak nisko spychać społeczeństwo nasze, zarzucając mu tak niekzemne postępowanie i tak nędzne pobudki w okolicznościach tak ważnych? Jeśli chodzi o ten konkretny fakt, który przedstawił, zapewne że nie, bo jeszcze dzięki Bogu, nie widzieliśmy idioty lub kretyna wybranego z Galicji na posła do rady państwa. Ale któżby przystosowywał literalnie insynuacje sztuki do życia. P. Lubowski tylko uogólnił to, co jest faktem rzeczywistym przy wszystkich tranzakcjach politycznych i czego są pełne tamtejsze gazety, głoszące bezprawia i nadużycia, nie wyłączając potwarzy i najbardziej obelżwych insynuacji, jakich sobie wzajem nie szczędzą strony, przy robotach na wszelkie posady tak dobrze administracyjne, jak naukowe, dzięki czemu ludzie utalentowani marnieją po kątach, faworyzowane miernoty tuczą się chlebem zgłodniałych i zgarniają schweiggeldy. Ze podobne rzeczy odbywają się i gdzieindziej, to nas nie tłumaczy, bo inne jest nasze położenie, i my mamy obowiązki stokroć więżej skłaniające do prawości i jedności obywatelskiej.

Wreszcie czyż p. Lubowski jedną tylko miał na myśli Galicyą? Sądzę, że tak wytrawny pisarz, jeżeli przemawia to do wszystkich, których uważa za braci, i jego satyra może być uważaną za lekcyą powszechną.

Za panem Lubowskim pospieszyła na scenę ze swym pierwszokiem dramatycznym Hajota, by pokazać światu: „Co zwycięża“ mężczyzną. Wynałazła ona takiego rozkosznego młodzieńca, który przez miłość dla matki, zdeptawszy miłość zdeptanej przez się dziewicy, pozwala się otumaniać kobiecie fantastycznój i zimnój... ale to tylko tak dla dystrakcyi, bo serce zawsze go pociąga tam w stronę opuszczonej jasnowłosój. Jeżeli mama nie pozwoliła mu ożenić się z tamtą, czystą, dla tego tylko, że matka jej miała na czci swój jakieś plamy, coby było gdyby go zastała na tym nowym pótromansie z kobietą podejrzaną a uroczą i demoniczną! Jednakże tak się dzieje; i biedny chłopiec drżący ze strachu już ma się usunąć, ażeby serca matczynego nie zakrwawiać, kiedy czarodziejska Adda próbuje, ażali urok jej nie będzie silniejszy, niż ta bezwzględna miłość dla matki i niezagaste dotąd uczucie dla jasnowłosój. Ej! pokusy z odległości idą jakoś oporem; nie wiele też myśląc, skraca odległość, wpada na młodzieńca z pocałunkiem... i bierze go w jasyr. Więc cóż to zwycięża mężczyznę? Oto bodziec zmysłowy, pocałunek pałający lub udający, że pała namiętnością, boć i cała ta gra Addy była tylko komedya. Jak u p. Lubowskiego, tak i tu jest to także rodzaj lekcyi, ujawnienie przed adeptkami niechybnego środka zwycięstwa. Tylko jak względem jakiego subjektu. Tutaj subjektem jest osobistość, którą, ażeby zwyciężyć, dosyć wziąć ją za uszy lub dać jej pstryczka w nos. Takim ze swój siły moralnej wydał się nam ów pan Zdzisław, w którym Adda artystka malarka, upatrzyła model na Peryklesa: szczęściem, że obraz zamazała, bo dopieroby narobił śmiechu, gdyby się kiedy dostał na pola Elizejskie. Autorka ten jeden akt, w którym gorączka nerwowowa walczy z mazgajstwem, nazwała obrazkiem dramatycznym. Dramatu w nim nie dostrzegliśmy, ale jest w nim niezaprzeczenie obrazek pewnej siły, jaką odznacza się postać kobieca, dosyć barwnie nakreślona; znać przytém wprawę pisarską, która jednak nie przesądza o zdolności władania temi warunkami, jakich wymaga scena. Panna Marcello pięknie wyglądała jako Adda, szkoda tylko, żeśmy ją mało słyszeli dla zbyt pośpiesznój i niedość wyrazistój dykcyi. Panu Kadnowskiemu życzymy, aby się w podobnych Zdzisławowi postaciach nie dał wyzyskiwać, zwłaszcza gdy chodzi o podobieństwo z Peryklosem; a p. Rakiewiczowój wyrażamy serdeczny żal że skazaną została na śmieszny rolę matki uiańczycój trzydziestoletnie niemowlę.

W zapale krytycznym dzienniki petersburskie gotowe bodaj na słońcu plam dopatrywać! Oto znowu na porządek dzienny gazeci-

skiej dyskusji weszła t. z. sprawa sprzedaży akcji drogi żelaznej Dąbrowieckiej, sprawa w gruncie rzeczy najniewinniejsza, z której przecież prasa rosyjska nie omieszkała ukuć ciężkiego przeciw akcyonaryuszom zarzutu. Faktycznie, kwestya przedstawia się tak: wkrótce ma być otwarta subskrypcya na akcye kolei Dąbrowieckiej, w obec czego Komitet akcyonaryuszów wyszukał sobie pośrednictwo w sprzedaży rzeczzonego papieru, zawierając umowę z 5 firmami: z petersburskim bankiem międzynarodowym, z bankiem rosyjskim dla handlu wewnętrznego, berlińskim bankiem dyskontowym, domem bankierskim J. G. Bloch i domem J. Goldstanda w Warszawie. Na czele syndykatu pośredników stanęła znana w Rosyi, jako trudniąca się specjalnie lokatą papierów rosyjskich, firma p. Hansemanna, dyrektora berlińskiego banku dyskontowego; według zaś umowy Syndykat podejmuje się sprzedaży $\frac{2}{3}$ akcji w liczbie 44,000 na giełdach krajowych i zagranicznych, przyczém domy krajowe mają mieć udział w ilości $47\frac{1}{2}\%$, a zagraniczne $52\frac{1}{2}\%$; subskrypcya ma być otwarta w Petersburgu i Berlinie, w porze najdogodniejszej dla tranzakcyi, przed tym atoli terminem syndykat będzie tylko czasowym posiadaczem papieru. Takie są fakta, przedstawiające szkielec najwyczuźniejszej operacyi finansowej. A przecież prasa petersburska w gonitwie za artykułami „patriotycznymi“, zwłaszcza, gdy materiału do nich dostarczają stosunki w prowincyach kresowych, wytacza akcyonaryuszom proces o zdradę, na podstawie jedynie okoliczności, że do pośrednictwa w sprzedaży akcji użyte zostały firmy niemieckie i że kolój Dąbrowiecka jest — strategiczna — jak to woła „Now. Wremia“, przodujące w tój orkiestrze obrońców państwowego interesu. Jak to; będziemy patrzeć spokojnie, gdy jedna z najważniejszych dróg strategicznych przejdzie w ręce niemieckie? Otóż w tём właśnie kwestya, iż gazeta patrzy na rzeczy niespokojnie. Trochę więcćj refleksyi i pamięci, a toż smo „Now. Wr.“ przyponiałoby sobie, najpierw, że „pośrednictwo“ w sprzedaży, to jeszcze nie sprzedaż, powtóre, że rezultat subskrypcyi może wypaść tak dobrze na korzyść kapitalistów krajowych, jak zagranicznych, wreszcie, że podobne operacye finansowe dzieją się niemal codziennie, są w Rosyi zjawiskiem powszedniem i do tego na znacznie większą skalę. Toż te same pociski, wymierzone dziś przeciw polskim akcyonaryuszom, chyba dla tego tylko, że polscy, możnaby z daleko większą siłą zastosować nie już do zarządów innych dróg żelaznych, lecz do całej historii skarbowości rosyjskiej, nie wyłączając dni bieżących. Jeżeli prasę petersburską przejmuje taki strach na samę myśl, że akcye kolei strategicznej mogą się znaleźć w posiadaniu kapitalistów niemieckich, dla czegoż bez trwogi godzą się z faktem zależności finansowej państwa od placów pieniężnych za granicą, dla czego nie podnoszą alarmu, gdy idzie o pożyczki zewnętrzne. Podniesione kontrasty są tём więcćj charakterystyczne, że w chwili, gdy „Now. Wr.“ zagrało pobudkę przeciw nowój „polsko-żydowskiój intrydze“, w tój samej chwili ministerstwo

skarbu pracuje nad projektem kolosalnej operacji finansowej, za pośrednictwem tegoż berlińskiego Diskonto-Gesellschaft i tegoż p. Hansemanna — konwersyi obligów kolejowych. Zresztą, z ogólnego wychodząc stanowiska, zapewne każdy przyzna, że dopóki zasób rozporządzalny przez naród kapitału nie dorówna w Rosyi sile wytwórczej społeczeństwa, dopóki do wszechstronnego wyzyskania przyrodzonych bogactw, warunków handlu i źródeł przedsiębiorczości kapitały miejscowe będą niedostateczne, dopóty Rosya w interesie dobrobytu ekonomicznego musi uciekać się do współdziałania obfitszych i tańszych kapitałów zagranicznych. Na to żadne, „najpatryotyczniejsze“ artykuły gazeciarskie nie pomogą, co najwyżej — świadczyć one będą o upodobaniu prasy rosyjskiej w powtarzaniu znanj zwrotki: delenda est, doprowadzającej ostatecznie dziennikarstwo petersburskie, jak o tém świadczy omawiany powyżej wypadek, do nielogiczności, do nieprawdy, do śmieszności.

W operujących w kraju naszym instytucjach ubezpieczeń życiowych spostrzegać się daje pewien zwrot w kierunku spopularyzowania tego pożytecznego działu asekuracyj; słuszność wszakże wyznać każe, że pod tym względem same instytucje nie idą jeszcze tak daleko, jak tego wymagają stosunki społeczne. W ogóle, ubezpieczenia na życie były dotąd traktowane u nas ospale, przy czem towarzystwa całą winę przypisywały społeczeństwu, słabo rozwiniętemu w nióm poczuciu przezorności, lekkomyślności, nie oglądania się na przyszłość i t. d. Społeczeństwo znowu skarżyło się na małe udogodnienia ze strony towarzystw asekuracyjnych, na wysokie składki, a niskie wynagrodzenie, na przesadne ryzyko, słowem, wzajemnie się wymijano, a choć towarzystwa nieraz podejmowały próby rozszerzenia swych operacyj, nigdy przecież nie zdobyły się na obmyślenie kombinacji, odrazu zapewniającej idei ubezpieczeń życiowych trwałe powodzenie. Nie jesteśmy w możności poprzeć uwag naszych dokładną statystyką, gdyż towarzystwa nie wyróżniają w swoich sprawozdaniach terytoryów, na jakich operują, dość wszakże będzie przytoczyć, że na 83,910 tys. mieszkańców państwa, wypada zaledwie 19,021 ubezpieczonych na życie, czyli 23 osób na każde 100,000 ludności! W innych krajach asekuracje życiowe dosięgły pomyślniejszych rezultatów i w Danii na 100,000 mieszkańców przychodzi 1,424 ubezpieczonych, w Szwajcaryi 1,313, w Niemczech 148, w Anglii 2,659, a w sferze robotniczej nawet 17,251 (dane według tablic Marko-Resso). Nie mamy tu bynajmniej zamiaru rozwodzić się nad sposobami możliwych ulepszeń, gdyż jest to rzeczą samych towarzystw, jako najbardziej zainteresowanych w sprawie pomyślnego prosperowania ubezpieczeń życiowych, chcemy natomiast zwrócić uwagę na ostatnią przytoczoną wyżej pozycyą w asekuracjach angielskich, na owe 17,251 ubezpieczonych na każde 100,000 robotników, jest to bowiem właśnie szczegół, zostający w związku z omawianym przez nas zwrotem w dziedzinie ubezpieczeń.

Na zachodzie zwłaszcza w wielkich ogniskach życia przemysłowego, już dawno zarzucono system emerytalnego ubezpieczenia losu rozmaitych warstw pracujących, a natomiast przyjęto system asekuracji. Wynikło to z konieczności. Zabezpieczoną starość pragnęliby mieć wszyscy, począwszy od oficjalisty domu bankierskiego, kończąc na smarowozie kolejowym, tymczasem emerytura, a raczej stowarzyszenie emerytalne, jest dobrodziejstwem wcale nie dla wszystkich, przeciwnie, dla mniejszości, gdyż tylko dla tych instytucji, które zatrudniają masę ludzi mniej więcej jednakowych zajęć, a więc dla rządowej magistratury administracyjnej, sądownictwa, oficjalistów i robotników kolejowych i t. d. Wprawdzie w tych działach spotykamy olbrzymie ilości pracowników, jeszcze większe jednak cyfry dadzą się zebrać po zakładach pojedynczych, obsługiwanych pojedynczo nie wielkimi siłami. Czy zaś słusznem jest, ażeby pierwsi korzystali z wygodnego przywileju, a drudzy byli pozbawieni wszelkiej pomocy jedynie dla tego, że są rozproszeni? Z drugiej znowu strony, system emerytalny okazał się zawodnym nawet w wielkich kompleksach administracyjnych, o czem najlepiej przekonywa stan obecny instytucji emerytalnej rządowej w Królestwie. W obec takiego doświadczenia i w obec wzrostu liczby proletaryatu roboczego, potrzeba jest obmyśleć sposób względnie korzystnego zabezpieczenia jego starości, choćby w widokach zażegnania grożącej nędzy. Jaki to ma być sposób? Probowano różnych w rodzaju kas zapomogi po fabrykach, kas zabezpieczenia, kas starców i t. p., wszystkie jednak uznane zostały za paliatywy chybiające celu, chwycono się więc innego środka — ubezpieczenia robotników i w ogóle oficjalistów w towarzystwach asekuracji życiowych. U nas przy zupełnym braku stowarzyszeń, jest to kwestya niezmierniej doniosłości, co téż — chętnie to przyznajemy — uznali zarówno właściciele fabryk, jak i właściciele ziemscy. Co się tyczy ostatnich, nie od rzeczy będzie tu przypomnieć, iż obywatele nasi oddawna starali się o zatwierdzenie towarzystwa emerytalnego oficjalistów wiejskich, ofiarując na ten cel znaczne fundusze, gdy atoli zabiegi ich nie odniosły skutku, dziś pierwsi usilnie popierają myśl ubezpieczeń życiowych.

Owóż przed operującemi u nas towarzystwami otwiera się nowe pole, które należałoby rozumnie wyzyskać z korzyścią obustronną, t. j. i dla towarzystw i dla ubezpieczonych. Zrozumiały to instytucje, gdyż w tych dniach ukazały się w dziennikach z ich strony ogłoszenia, zapowiadające przyjmowanie ubezpieczeń od grup fachowych, innemi słowy, towarzystwa czynią ustępstwa w razie asekuracji zbiorowej czy to robotników z danego folwarku, czy oficjalistów danej fabryki lub przedsiębiorstwa. Na takie, rzadkie co prawda „udogodnienia“ wpłynęły nie tylko wskazane potrzeby życiowe, lecz nie mniej i budzące się między instytucjami współzawodnictwo: do rzędu funkcyjujących w kraju towarzystw przybywa niebawem nowy, silny konkurent w osobie towarzystwa New-york'skiego, trudniącego się specjalnie ubezpie-

zeniami życiowemi. Tow. to, po uzyskaniu koncesyi na operacye w całym państwie, tworzy obecnie za pośrednictwem jednego z dyrektorów swoich p. Wernera, agenturę w Warszawie na Królestwo polskie.

Gdy mowa o ubezpieczeniach, wspomnieć nam wypada choć w kilku słowach o Warszawskiem towarzystwie ubezpieczeń ogniowych, które przed laty wносиło bezskutecznie podanie o koncesyą na dział asekuracyj życiowych i które w d. 11 b. m. odbyło roczne zgromadzenie akcyonaryszów, pod przewodnictwem Stefana ks. Lubomirskiego. Jak zwykle teraz w intresach, mających jakikolwiek bądź związek ze stosunkami ekonomicznymi, rozpoczęto je od utyskiwań na „złe czasy,“ na zmniejszenie premii o 137,465 rs. w porównaniu z rokiem 1884 (ogółem w 1885 r. premia dosięgły cyfry 2,151,288 rs.), na wzrost pogorzeli (1,010 t. j. o 130 więcej), a ztąd i strat o 436,668 rs., pocieszając się jedynie spostrzeżeniem, że towarzystwa rosyjskie straciły jeszcze więcej, bo blisko 2 mil. rs. w ciągu dwóch lat ubiegłych, oraz że bądź co bądź zysk czysty z roku sprawozdawczego dał 112,645 rs., z których 90,000 rs. przeznaczono na dywidendę w stosunku 9% czyli po 11 rs. 25 kop. na akcyą. Rezultat finansowy, jak widzimy, zupełnie pomysły. Do innowacyi, wprowadzonych przez nasze towarz. zaliczyć należy powołanie do udziału w pracach dyrekcyi sz. delegatów ziemiańskich, po 2 z każdej gubernii, a to celem polubownego załatwiania wątpliwości, mogących się nastęrczyć przy ustanawianiu szkód pogorzelowych. W składzie dotychczasowego zarządu, na skutek przeprowadzonych wyborów, żadna zmiana nie zaszła.

W tutejszym oddziale towarzystwa popierania przemysłu i handlu, skutkiem zbliżających się feryj, panuje ruch ożywiony, rozmaite komisye i delegacye szybko wykończają swoje czynności, a sekcyje porządkują swoje materyały i redagują uchwały. Jakkolwiek większość tych prac znajduje się jeszcze w fazie przygotowawczej, dziś wszakże możemy już powiedzieć, że rok bieżący upamiętui się w dziejach towarz. kilkoma dużej wagi przedsięwzięciami. I tak, oprócz dawniej wspomnianych projektów organizacyi biura statystycznego i biura dla potrzeb handlu ze Wschodem, obecnie działalność oddziału ma być rozszerzona przez utworzenie biura dla interesów spółek zarobkowych, na zewnątrz zaś oddział czyni starania około przywrócenia, dotąd na papierze tylko istniejącej giełdy produktowej, otwarcia rolnikom kredytu w banku państwa, zreformowania urzędzeń cechowych i zaopatrzenia kraju w najniezbędniejsze średnie szkoły fachowe. W niektórych z wyszczególnionych interesów inicjatywa tow. odniosła już pożądany skutek, komitet giełdowy np. udzielił swój sali zebrań na urządzenie giełdy towarowej, co zaś do spółek zarobkowych, odnośne biuro ma powstać w sekcyi IV rzemieślniczej i dla oszczędności a zarazem i dla pośpiechu tymczasowo ma być reprezentowane przez

jednego sekretarza. W przedmiocie znowu szkół, właściwa komisya zaprojektowała na początek urządzenie szkoły tkackiej w Łodzi, przemysłowo-chemicznój w Warszawie, średnich i niższych szkół rolniczych po wsiach oraz rozpowszechnienia sal rysunkowych po miastach fabrycznych, projekt zaś instytutu politechnicznego na Królestwo z wielu względów komisya uznała za właściwe odroczyć *ad felicio ra tempora*. Nie wchodząc na teraz w szczegóły prac komisji, zaznaczamy tylko, że będą one umieszczone w oddzielném sprawozdaniu, które między innymi obejmie niezmiernie interesującą rozprawę b. dziekana p. Przysiańskiego z zakresu historii szkół fachowych w kraju naszym. Referat ten na posiedzeniach komisji zyskał powszechne uznanie, przypomniat bowiem te niedługotrwałe czasy, kiedy Królestwo, jakkolwiek niżej stało, niż dzisiaj pod względem przemysłowym, posiadało przecież instytuty i zakłady, mające na celu przygotowanie się technicznych. Dzięki tej rozprawie, komisya otrzymała możność oprzeć swe wnioski na danych historycznych, uwzględnić je przy opracowywaniu nowego programu, słowem, przyjąć kierunek, wytknięty jeszcze w przeszłości. Do najczynniejszych też organów towarz. należy delegacya przemysłowo-rolnicza, podzielona, jak wiadomo na 21 komisji; czynności jej mają być wykończone na d. 15 czerwca, w którym odbędzie się gremialne posiedzenie delegacyi. Ponieważ komisye pracują poza biurem towarz., możemy więc tylko powtórzyć tu dochodzące nas zdala echa — o proponowanym banku parcelacyjnym, o wygotowaniu ustawy dla spółek rolniczo-handlowych, o popieraniu ubezpieczeń życiowych w miejsce niedoszłej emerytury oficyalistów wiejskich i t. d. W ogóle, na m. czerwiec przygotowują się w Towarz. bardzo ożywione rozprawy.

† Leopold Ranke, najznakomitszy współczesny historyk niemiecki, umarł dnia 23-go maja r. b. w Berlinie, licząc lat 90. Słynny profesor berlińskiego uniwersytetu, urzędowy historyograf pruski i członek pruskiej Rady państwa, Ranke zajmować będzie po wszystkie czasy pierwszorzędne stanowisko w historyografii swego narodu. Niezmordowana do ostatnich dni życia pracowitość, najtroskliwsza badawczość, zaglądająca do wszystkich niemal archiwów cywilizowanej Europy, potrafiła u niego wyrazić się w pięknej, plastycznej formie przedstawienia, które jeżeli nie odpowiadało zawsze czytelnikowi gorętszych usposobień, silniejszych przekonań, to odznaczało się możliwą jak na historyografa pruskiego obiektywnością, jaką Ranke słynął równie na katedrze uniwersyteckiej, jak i w licznych swych dziełach historycznych. Zasłużonemu profesorowi należy się wdzięczne wspomnienie w „Kronice Biblioteki,“ ponieważ wielu pracowników polaków na niwie dziejowój kształciło się pod jego okiem, brało udział w ćwiczeniach jego seminaryum, a wszyscy korzystali ze znakomych badań jego. Wykład Rankego był dla słuchacza z początku tak trudny do zrozumienia, że trzeba go się było koniecznie przez kilkana-

ście godzin nauczyć słuchać, aby tok wyrazów dobrze zrozumieć; ale wsłuchawszy się raz, odnosiło się wiele korzyści, bo profesor zapatrywał się na każdą kwestyą ze stanowiska uniwersalno-historycznego. Pierwsze jego dzieło, które zaznaczyło nowego szermierza na arenie historyografii, poświęcone było krytyce źródeł do historii nowszej, pod tyt. „Zur Kritik neuerer Geschichtsschreiber, 1829.“ Dzieło to stanowi początek szkoły Rankego przez wprowadzenie do badań historycznych nowych źródeł w dokumentach dyplomatycznych, chociaż już dawniej wydane: „Fuersten und Voelker von Südeuropa im XVI u. XVII-en Jahrhundert. 1827“ (tomów 4, z których 3 tomy obejmują Historią papieży w w. XVI i XVII-ym), praca równie znakomita pod względem źródłowym, jak i metodologicznym, zasłużyło sobie na uznanie całego świata uczonego. Liczny szereg dzieł Rankego (w najnowszym wydaniu Dunckera i Humblota w Lipsku obejmuje tomów 48, które kosztują 240 marek), jak „Historia Francyi w XVI i XVII-ym wieku“, „Historia Anglii w XVII-ym wieku“, „Dwanaście ksiąg historii prusko-brandenburskiej“, w którym R. stoi na stanowisku interesów wyłącznie brandenburgsko-pruskich: „Historia Wallensteina“, „Dzieje rewolucyi serbskiej“, „Dzieje genezy wojny siedmioletniej“, „Początki wojen rewolucyi francuzkiej“, wydane krytycznie „Pamiętniki i dokumenta po kanclerzu Hardenbergu“, i wiele innych. Ostatniem dziełem Rankego, którego doprowadzić do zamierzonego kresu już mu nie było danem, jest sześciotomowa dotychczas „Historia powszechna“, sięgająca aż do objęcia korony cesarskiej przez dynastją saską, czyli do końca wieku X-go. Jest to praca podjęta na wielkie rozmiary, odznaczająca się głęboką nauką i pięknem plastycznym przedstawieniem; ale pożyteczna tylko dla tych, którzy znają dobrze fakta historyczne. Mąż nauki, zachował Ranke w działalności swój profesorskiej na katedrze i w pismach olimpijski spokój i równowagę pośród prądów i aspiracyi swego czasu. Stanowisko jego jest na wskroś protestanckie, bo wychodził zawsze z tego założenia, że reformacja była najwybitniejszym czynnikiem duchowego odrodzenia Europy, dźwignią postępu cywilizacyjnego, społecznego i politycznego. Jakoż dzieła Rankego przyczyniły się pod tym względem i u nas wielce do utwierdzenia wielu błędnych opinii zasadniczych co do znaczenia reformacyi, do których pochopnego rozsiewania bez krytycznego rozbioru przyczynili się najwięcej: Michał Wiszniewski, wypisujący z dzieła Rankego („Historia reformacyi w Niemczech“) całe ustępy w swojej „Historii literatury polskiej“, Józef Łukaszewicz i Adryan Krzyżanowski. Z tém wszystkiem był Ranke zbyt głębokim umysłem, żeby pod wpływem tych uprzedzeń miał utracić zdrowy zmysł historyczny w ocenianiu wielkości katolickiej sprawy i jej przedstawicieli.

† W dwa dni po swoim mistrzu, bo dnia 24 maja r. b. umarł w Berlinie nie mniej zasłużony badacz dziejów niemieckich Jerzy Waitz, autor licznych prac na polu wydawnictwa źródeł do historii

Niemiec oraz jeden z najgruntowniejszych badaczy istoty i znaczenia instytucji politycznych narodu i cesarstwa niemieckiego. Waitz urodził się 9 października 1813 r. we Flensburgu, studia uniwersyteckie odbył w Berlinie, należał do gorliwszych, pilniejszych i zdolniejszych członków seminarium Rankiego. Przez czas niejaki był profesorem uniwersytetu w Kiel i w Getyndze. Wywiczony w takiej szkole, jak seminarium Rankiego, brał czynny udział w pomnikowym wydawnictwie źródeł do historii Niemiec („*Monumenta Germaniae historica*“) którego zwierzchni kierunek po śmierci Pertza na jego spoczął głowie. Pomijając w tej chwili liczne jego źródłowe i krytyczne dzieła z historii niemieckiej nie możemy zamilczeć o najważniejszem pod tyt: „*Deutsche Verfassungsgeschichte*“ mianowicie w 2-ém wydaniu zupełnie przerebioném i zupełnie powiększoném—(1884 tomów III, jeszcze nieskończone), ponieważ ono stanowi podstawę dla wszelkich badań, odnoszących się do organizacji instytucji państwowych i politycznych Europy zachodniej.

KOESPONDENCYA.

List p. Ernesta Sulimczyka-Swieżawskiego do Redaktora „Biblioteki Warszawskiej“ z powodu opinii o książce jego: „Rozmowy o dawnych dziejach,” oraz kilka słów sprostowania nieuzasadnionych twierdzeń tej odezwy, którą niniejszém dosłownie drukujemy:

„Do Redaktora Biblioteki Warszawskiej.“

W imię prawa prasowego, wezwawszy 6 i 21 kwietnia 1886 r. p. Redaktora „Bibl. Warsz.“ o pomieszczenie niniejszego w najbliższym N. swego pisma, poraz trzeci wezwanie ponawiam.

W styczniu „Bibl. Warsz.“ umieściła artykuł bezimienny (więc pokryty chyba egidą Redaktora odpowiedzialnego), pisany germańskimi okresami, pełen częściej frazeologii i komunałów, a bez przeczytania książki w całości, odsądzający mnie za moje „Rozmowy o dawnych dziejach,” zarzucając książkę gołostownie lub ułomnie cytując niby uwłaczanie przeszłości naszej.

Gdy inni recenzenci mieli odwagę fałszywe swoje twierdzenia i oszczercze zarzuty podpisać, anonim z „Bibl. Warsz.“ strzela z za płotu, używając broni u nas najbardziej zabijającej. Wzywam anonim a udowodnienie swych zarzutów moją książką, sumiennie czytana i cytowana, i odsłonięcie w „Bibl. Warszawskiej“ w druku przyłbicy, wyraźnie okrywającej prywatne jakieś urazy, małoduszność i powierchowność.

W pracy méj może być czuć ból, nawet pesymizm, ale nie ma chęci plugawienia tego, co istotnie się kocha i czi, nie postugując się tém, jako reklamą. Gdy się widzi zresztą, poważny organ nadużyty tak ohydnie dla zabicia moralnie kogoś niewinnego, można być pesymistą i w potomkach wielkiej przeszłości uznać tylko dziedziców jój wad.

Z należnym szacunkiem

Ernest Sulimczyk-Swieżawski.

30 kwietnia 1886 r.

ODPOWIEDŹ.

Czyniąc zadość powołanym przez p. Św. przepisom prawa „prawnego,” ogłaszam odezwę powyższą, jakkolwiek uważam ją za nieodpowiednią do poważnego rozbioru naukowego, ponieważ przeładowana insynuacjami osobistemi, odbiega zupełnie od osnowy zarzutów, jakieśmy z obowiązku publicystycznego musieli zrobić książce pod tyt.: „Rozmowy o dawnych dziejach.“ Odezwa p. Św. jest sama przez się dokumentem tak wymownym, a w tonie swoim świadectwem tak dobitnie przekonywającym o stanowisku naukowym jej autora, że gdyby nie wzgląd na przedmiot, którego dotyczy, powinniśmy pozostawić ją bez żadnej odpowiedzi objaśniającej.

Dla poparcia wytkniętych w książce błędów naukowych i pedagogicznych, nie powołyaliśmy wprawdzie kart pojedynczych, gdyż każda dostarcza ich więcej aniżeli potrzeba; ale motywowaliśmy twierdzenia nasze wywodem logicznym o pojęciu historii, jako mistrzyni życia a nie grobu, jak uczy p. Św. tudzież o błędnem pomieszaniu drobniaków zazwyczaj bez znaczenia z faktami prawdziwie historycznemi. Na żądanie p. Św. wskazujemy niniejszém następujące karty: Str. 46 u dołu i 47 do str. 50. Cała odpowiedź na pytanie 93-cie, nie odpowiadająca bynajmniej na to, o co autor pyta. W odpowiedzi na pytanie 99-te fakt wywrócenia namiotu wozem, który zawadził o róg namiotu W-go ks. (str. 54).—Str. 59 w odpow. na pyt. 107. Odpow. na pyt. 114. Wyszukana oryginalność poglądu razi czytelnika w tytule okresu IV, str. 73: „Przewaga różnych dzielnic, czyli krwawy odbijany“—z objaśnieniem w uwadze, tłumaczącém ów termin techniczny z tańca polskiego, polonezem zwanego. Str. 108: „Skupianie się dwu Polsk w jedno państwo.“ Prawie z bezmyślnością graniczy odpowiedź na pyt. 116-te: „Czy potem“ (poprzednie pytanie brzmi: „Co zaśzło po śmierci Kazimierza II-go?) Leszek Biały rządził Krakowem bez przeszkody? Odpowiedź. Bynajmniej, gdyż to Mieszko III-ci, póki nie umarł“ (pocieszne zaiste objaśnienie!), to wojewoda Mikołaj przez ciągłe intrygi pozbawiali go Krakowa. Porównaj odp. na pyt. 138, 139 z odsyłaczem 1; odp. na pyt. 168; odpow. na pyt. 171, 172 i wiele innych, których spis przekraczałby granicę zeszytu, a Bibl. nie może być organem do rozgłaszania bezładnych pomysłów i błahych szczegółów. Porównaj zresztą pytania i odpowiedzi 446, 447, 448, 452, 454, 461, 468. Koniec w odpowiedzi na pytanie 476.

Podęrzywanie nas o „prywatne jakieś urazy, małoduszności i powiarzchowności“ nie jest usprawiedliwione, bo dla scharakteryzowania wartości „Rozmów“ uciekliśmy się w naszej opinii nawet do tak wielkiego ducha, jak Samuel Johnson, który przecie nie mógł mieć pretensyi do żadnego z Sulimczyków, a tém mniej do Autora

„Rozmów.“ Że zarzutów, jakieśmy zrobili „Rozmowom“ pod względem naukowym, pedagogicznym i stylistycznym, nie dyktowały żadne inne względy, prócz zasad przyjętych powszechnie przez naukę, tego dowiodły wszystkie recenzyc, jakie po naszym głosie ostrzegały publiczność polską przed tak niefortunną książką, tém szkodliwszą, że formą swoją zapowiadała się niemal, jako podręcznik do nauki dziejów ojczystych. Nie możemy przypuszczać, żeby tylu poważnych uczonych i literatów mogło mieć pobudki prywatne do potępienia książki źle pomyślanej, źle usystematyzowanej i źle napisanej. Najwcześniej odezwała się „Gazeta Warszawska“ i nie mogła się zorientować w „szufladkach umysłu“ autora Rozmów. Nie odbiegał od tego widzenia rzeczy „Przegląd tygodniowy“, z wyjątkiem pochwalnego głosu Jeża, na który jednak redakcyja Przegl. tygodn. się nie godziła. Opinia redaktora „Prawdy“ względniejsza w ogólnej opinii dla autora, obrusza się jednak na chaotyczność szczegółów. W surowy sposób karcił autora p. T. Korzon w „Kłosach“ i p. Smoleński w „Ate-neum“, a repliki autora na te recenzyc potwierdziły tylko sąd wytrawnych znawców dziejów naszych. Odmienny dopiero głos odezwał się w „Wiadomościach bibliograficznych“, wydawanych przez p. T. Paprockiego, nakładcą „Rozmów“, oraz względniejsza dla autora recenzyc p. E. Bogusławskiego w „Przeglądzie pedagogicznym“, która atoli została zupełnie zneutralizowaną przez replikę, jaką nagabywany przez p. Św. p. Bogusławski napisał w n-rze 11-ym tego pisma, konkludując ją w tych słowach: „to co może być dobrego w téj książce, ginie w obec przeważającego balastu piramidalnych błędów pod względem treści i formy“, str. 356.

W obec takich faktów uważam się za zwolnionego od włożonego na mnie przez p. Św. obowiązku wykazywania stron dodatnich „Rozmów.“ Może uapisać ich pochwałą pióro, mające więcej czasu dla takich studyów bezowocnych.

P. Św., nie przypuszczając, żeby w książce swojej mógł tyle błędów popełnić, ile mu wytykano, pedejrzywa nas niestusznie, żeśmy zarzuty uasze napisali „bez przeczytania książki“—, „lub utomnie cytując“ (nie cytowaliśmy ani jednej strony, powołaliśmy zaś tylko jedno pytanie 562-gie), ponieważ każdy z naszych zarzutów poparty stokrotnie błędami całej książki, jak to p. Świeżawskiemu wykazali krytycy, którzy się jęj szczegółową recenzyc zajmowali. Szkoda czasu i miejsca na tego rodzaju polemikę. Nadmieniamy tylko dla zaspokojenia p. Św., że książka pod tyt. „Rozmowy“ była przedmiotem relacyi osobnego referenta w komitecie redakcyi, oraz dyskusyi na zwykłej sesyi tygodniowej członków komitetu redakcyjnego.

Co do uwagi p. Św. o „germańskich okresach“ naszej wiadomości bibliograficznój o jego książce, to odpowiadamy, że dłuższy okres nie jest koniecznie wadą, byle był dobrze zbudowany i myśl jasno tłómaczył; a kto zaś składa takie dowody zaniedbania pod względem

formy, jak książka pod tyt. „Rozmowy,“ oraz odezwa, którą wyżej drukujemy, ten nie jest kompetentnym sędzią w kwestyi prawidłowej budowy okresów.

Główny nasz zarzut dotyczy braku metody naukowej w książce p. t. „Rozmowy.“ Forma katechetyczna, którą autor posługuje się w swoim wykładzie dziejów, właściwa przy niewątpliwych prawdach objawionych, jest mniej odpowiednią w książce treści historycznej, bo pojmowanie istoty faktów historycznych, zależy zawsze od stopnia rozwoju badań historycznych, ukazujących zgodnie z postępowaniem oświaty wypadki dziejowe w coraz doskonalszym, w coraz jaśniejszym świetle. W każdym razie trzeba przy takiej formie pamiętać o tém, aby każda odpowiedź zaspakajała dokładnie stawione pytanie, oraz aby pytania pojedyncze następowały w takim po sobie porządku, iżby tworzyły ogniwa jednego łańcucha, obejmującego pewien szereg faktów historycznych w danej epoce, — faktów, złączonych ze sobą pragmatycznie, bo tylko wtenczas można pochwycić nawet na tej drodze wyraźny obraz całości. (Sokrates w dialogach Platona). Czy autor jest w stanie wskazać mi aby jedną kartę, gdzieby temu warunkowi czynił zadość? Czy pytania 67, 68, 69, 70 i 71, mające przedstawiać obraz panowania Bolesława Chrobrego, którego autor ze szczególną odmalował nienawiścią, zostają ze sobą w związku logicznym? Czy dają wyobrażenie o zasługach dziejowych tego wielkiego Piasta, który w oczach autora jest tylko siłaczem i opilcem? (str. 37). Czy można odpowiedzi na pytania 356, 357, 358, 359-te uważać za przedstawiające fakta, o które autor pytał? Czy zdanie: „Talerze przy jedzeniu obcierano chleba kromką, połą ubrania lub wiechciem z butów“ (str. 239), i w końcu tego samego ustępu: „Ławy i stoły obcierano lisim ogonem,“ można uważać za należące historycznie do odpowiedzi dobrze zdefiniowanej na pytanie 356-te: „Jakie są zwyczaje w wieku XVI-ym?“ Czy ktokolwiekbydź, znający dzieje nasze, zadowolnić się może odpowiedzią na pytanie 397-me: „Z czego głośny Jan Zamoyski?“ P. Św. nie może wymagać, abyśmy to wszystko, szczegółowo roztaczali przed oczami czytelnika „Bibl. Warsz,“ bo sposób, w jaki „Rozmowy“ sprawy te przedstawiają, obraża prawidła nauk historycznych i jest do tego stopnia chaotyczny, że uporządkować go niepodobna. Dostyc przecie czynię żądaniu p. Świeżawskiego, że książkę jego cytuję i czytelnika do niej odsyłam.

Pod względem pedagogicznym grzeszą „Rozmowy,“ oprócz braku metodologicznego uporządkowania przedmiotu, głównie przez to, że gromadzą zanadto szczegółów nie tylko ujemnych, ale często wstrętnych ¹⁾. Oprócz tego nie rachują się „Rozmowy“ wcale z tą zasadą

¹⁾ Str. 166 u dołu, 179, uwaga 3, str. 328. Odp. na pytanie 461, str. 341. Koniec odpowiedzi na pytanie 476: „Jakie jest znaczenie rządów Sobieskiego?“ — „Jest (sc. Sobieski) przykładem szlachcica na tronie, zawojowanego przez żonę i pachciarza.“ cf. str. 416 i 417.

pedagogiczną, która nie pozwala przed rozwijającymi się dopiero umysłami dzieci, roztaczać samych czynów złych, brudnych i wstrętnych, obrażających uczucia moralne i religijne. Pedagogia uczy, że władze i zdolności dziecka nie tylko rozwijać należy, ale też uszlachetniać i udoskonalać. Nie można przeciążać umysłów młodocianych mnóstwem niepotrzebnych, a często wprost szkodliwych przedmiotów, które w życiu praktycznym i na stanowiskach socyalnych żadnego zastosowania nie mają. P. Świeżawski mówi (str. V, cf. odpow. na pytanie 447, str. 315), że „cnota się kryje, a występki jawniejszy w źródłach,“ należało mu zatem wystawiać cnoty, jako wzory do naśladowania. „Rozmowy“ nie zwracają na te warunki najmniejszej uwagi: rozprawiają uszczypliwie lub z lekceważeniem o religii, o kościele, o duchowieństwie katolickim (odpow. na pytanie 334, str. 218, 219; odpow. na pytania 344 i 345), i zajmują się więcej błędami i ułomnościami powszednimi ludzi, aniżeli czynami historycznymi w ich dziejowym znaczeniu. Czy p. Św. nie widzi już dziś owoców takiego krytycyzmu (czytaj: szkalowania) przeszłości w szkole? Zkąd uformowała się ta atmosfera dzisiejsza, w której miłość kraju, miłość gorąca, synowska przeszłości do przesądów się zalicza? Jużby był czas okiełznać te zapędy arogancyi i krytyki antypedagogicznej w książkach szkolnych! Piszmy studia gruntowne, rozbierajmy krytycznie dzieje dla umysłów dojrzałych; nie okrywajmy błędów i braku cnót obywatelskich szarym płaszczem wyrozumiałości; ale nie zatruwajmy sprośnemi szczegółami życia szkolnego, — nie zatruwajmy epoki nauki młodzieńczej jadem nienawiści zohydzonej przez nieuctwo przeszłości naszej.

P. Św. przypuszcza, że w pracy jego „może czuć ból, nawet pesymizm.“ Z żalem wyznaję, że z książki jego nie odczuwamy żadnego bólu. Umiemy uszanować boleść, rozdzierającą piersi głośnego autora „Ostatnich przestróg dla Polski,“ ale ból p. Świeżawskiego pojmującego historią jako „grób,“ w obec którego „historyk także ze śmiechem spisuje upadki przeszłości“ (str. IV) jest skąpany w tak ogromnej rzece cynizmu, pastwienia się nad ułomnościami a nawet powszechnemi grzechami ludzkiemi, że nie budzi współczucia dla autora „Rozmów,“ ale podnieca tylko oburzenie na jego szczególny jakiś „pessimizm“ ponieważ takiego „śmiechu gorczy“ (str. IV) nie można w żaden sposób zaliczyć do szeregu uczuć szlachetnych.

P. Św. wojuje bardzo zapalczywie z „Anonimem“ Bibl., który, jak nam notorycznie wiadomo, nie był od m. stycznia ani dla niego ani dla żadnego z czytelników Bibl. Warsz. tajemnicą, bo za artykuły nie podpisane nazwiskiem autora, odpowiada redaktor główny, zwłaszcza w „Wiadomościach bibliograficznych“ bieżących, które do jego wydziału należą. Zresztą dnia 21-go kwietnia, doniosłem wyraźnie panu Świeżawskiemu, kto jest autorem wiadomości o jego książce, zawiadamiając go równocześnie, że ponieważ odezwa jego do Redaktora wymienia nazwiska dwóch poważnych uczonych, mieniając ich „oszczercami,“ przeto Bibl. nie może być organem do dyfamacyi

osób, które o „Rozmowach“ w niej nic nie pisały. Wskutek tej odpowiedzi usunął p. Św. w swój redakcyi nazwiska pozostawiając jednak zarzut, za który sam wyłącznie odpowiadać winien, bo Red. stanowczo się przeciwko takiemu postępowaniu oświadczyć musi. Wojowane zatem z „Anonimem“ z „strzałami z zapłotu“ jest co najmniej udaną naiwnością.

W końcu musimy jeszcze nadmienić, że w odezwie p. Św. czytamy wyrazy którycheśmy w zesz. styczniowym Bibl. nie wypowiedzieli.—P. Świeżawski nie wykaże nam, abyśmy w opinii naszej o „Rozmowach“ użyli wyrazu, że go „odsądzamy“ (nie wiemy od czego, bo odezwa druga poprawiona, którą drukujemy w zapale polemicznym nie domówiła rzeczownika komplementującego: czy od nieomylności w rzeczach historyografii, czy od bystrości w przenikaniu przeszłości, czy . . .). P. Św. nie wykaże również, abyśmy mu zarzucali „chęć plugawienia tego, co istotnie się kocha i czci“, bo myśmy tylko litowali się nad grabarzem, który miał odwagę taki „grób“ wykopać i który potrafił tyle zgnilizny do niego naznosić.

Powtarzając te wyrazy z zeszytu styczniowego Bibl., czynię to z tym zamiarem, aby zastrzedz się jak najuroczyściej przeciwko insynuacyi, którą mi p. Świeżawski podsuwać się zdaje, jakobym w ten sposób miał uwłaczać jego charakterowi obywatelskiemu. Pierwszym warunkiem dyskusyi naukowej jest, aby nie mieszać ze sobą rzeczy i pojęć, które się z sobą nie potrzebują koniecznie wiązać. Rozprawialiśmy się z książką źle złożoną pod względem naukowym i źle napisaną pod względem literackim, a nie z obywatelem, którego uczuć i charakteru tykać krytycznie nie mamy prawa, dopóki nie da do tego powodu. Autor „Rozmów“ przyzna przecie, że można być obywatelem, w obec którego wszystkie Arystydesy, Regulusy, Scypiony, Gracchowie błędą jak szmaty wytarte, a być przy tak świetnych zaleczeniach obywatelskich lichym pedagogiem, lichym literatem, niepraktycznym pedantem, chaotycznym erudytem,—można być nawet „dziwnie“ uczonym, a nie umieć pisać stylem Krasickich, Śniadeckich, Kołłątajów, Libeltów, Kremerów, Korzeniowskich, Kraszewskich i i. Niedostatek talentu w którymkolwiek z tych kierunków nie uwłacza w niczem charakterowi obywatela, byle tylko ten szlachetny obywatel nie miał tej małostkowej, bo próżnej arogancyi być na każdym polu ideałem, który nie tylko naśladować, ale przed którym w pokorze i małoduszności korzyć się tylko należy. Mylnie to—i pełne przykrości uroszczenie, z którego się powinien prędko wyleczyć każdy, co występuje publicznie. Nam w tej chwili tylko z książką źle napisaną sprawa. P. Św. nie może mieć do nas żadnej pretensyi za to, że co do wartości prac jego historycznych nie różnimy się w zdaniu od prof. Zeissberga i Fr. Ksaw. Liske'go.

Ani wyrazu, ani myśli o „chęci plugawienia tego, co istotnie się kocha i czci“ nie znajdzie nikt w naszej opinii o książce p. Świeżawskiego.“ Podejrziwość atoli podobną niczem przez nas nie

wywołaną, możnaby sobie psychologicznie wytłómaczyć tylko w ten sposób, że autor „Rozmów,” nie znalazłszy pochwał spodziewanych w żadnej recenzji, które o tój książce ostrzegały; ale słysząc tylko same i to najcięższe nagany z ust poważnych badaczy przeszłości naszej, uczuł mimowiednie pewną skruchę w swoim sumieniu obywatelskiem i nazwał *sam* po imieniu to, czego recenzenci nie śmieli lub też nie chcieli dopowiedzieć. Zarzut zatem „chęci plugawienia tego co istotnie się kocha i czi” zwracamy p. Świeżawskiemu, jako prawowitemu autorowi.

Końcowe wyrazy odezwy p. Św. stawiamy na równi z tą frazeologią afektującą, jaką autor rozpoczął książkę swoją, gdzie ani Danta ani Herkulesa, ani Orfeusza ani Lety nie pozostawił w spokoju, ale „ze znamieniem ogniów i widoków podziemnych na twarzy” w dzieje się zapuścił. Zapewniamy go przy tém, żeśmy bardzo niechętnie ponownie temi „Rozmowami” zająć się musieli. Uczyniliśmy to wszakże z tém postanowieniem, aby odpowiedzią niniejszą zamknąć wszelką dalszą polemikę o tój książce, chyba żeby się w tłómaczeniu niemieckim jako podręcznik nauki dziejów polskich ukazać miała.

J. K. Plebański.

WIADOMOŚCI BIBLIOGRAFICZNE.

Niedawno podaliśmy czytelnikom sprawozdanie z przekładu na język angielski nieśmiertelnj epopei Mickiewicza, a dziś spieszymy z wiadomością, że arcydzieło naszego wieszczu wyszło i... w majestatycznym języku Cerwantesa. Za nim rozbierzemy szczegółowo ten hiszpański przekład „Pana Tadeusza,“ zaznaczamy tymczasem, że tytuł tój pracy jest następujący:

„Adam Mičkiewicz Tadeo Soplica ó el ultimo proceso en Lituania narracion historica prim era, traduccion española“ Madrid 1885
Po tytule powyższym następuje taka dedykacya w języku francuzkim.

„Moim ukochanym krewnym Kamilii i Michałowi oraz wszystkim przyjaciołom moim w Warszawie. Tłómacząc na język hiszpański po raz pierwszy dzieło wielkiego wieszczu waszego, wypełniam godną pożałowania próżnię naszj literatury i oddaję zarazem hołd mój ojczyźnie gdyż te słowa „Rien ne manque à sa gloire, il manquait à la notre“ nie mogły nigdy znaleźć słuszniejszego zastosowania.“

L. Medina.

Prof. Aleksander dr Raciborski wydał swoim nakładem dzieło pod tyt. „Podstawy teoryi poznania w systemie logiki dedukcyjnej i indukcyjnej“ J. S. Milla. Lwów 1886. Tomów 2. T. I, str. 333. T. II, str. 308. W obec niebogatej naszj literatury filozoficznej, żyjącej za dni naszych, z wyjątkiem prac prof. Henryka d-ra Struvego w Warszawie, M. d-ra Straszewskiego i Stef. d-ra Pawlickiego w Krakowie, oraz drobniejszych studyów Jul. d-ra Ochorowicza, przeważnie tłómaczeniami z obcych języków kierunku materyalistycznego, zasługuje dzieło prof. Raciborskiego, będące owocem gruntownych badań samoistnych na wdzięczne uznanie. Zanim podamy rozbiór szczegółowszy tych studyów poważnych, popieszczy tymczasem wskazać treść, jaką te dwa tomy zawierają. W tomie I-szym czytamy następujące traktaty: Wstęp str. 4—40. Rozdz. 1-szy: Znaczenie kategorii u Milla, od str. 40—114. 2-gi: Tworzenie pojęć, str. 114—164. 3-ci: Zapatrywania Milla na prawdy matematyczne, str. 164—333. W tomie II-im Rozdz. 4-ty: Znaczenie pojęcia przestrzeni w stosunku do praw matematyki,

str. 4—100. 5-ty: Zapatrywania Milla na pewniki logiczne, str. 100—158. 6-ty: Zapatrywania Milla na pojęcie przyczynowości, str. 158—279. Dodatek: Przedmiot i podział filozofii. Wykład wstępny, str. 279—308. Czytelnikom Bibl. nie jest obce nazwisko szan. profesora uniwersytetu lwowskiego, bo mieli sposobność czytać już w Bibliotece traktat 6-ty oraz „Dodatek,” któremu Redakcyja (Czerwiec 1885 r.) dała tytuł: „Nauka filozofii oraz rozkład systematyczny jęj gałęzi pojedynczych.” Uczyniliśmy to z upoważnienia autora do zmian stylistycznych, o co ze względu na szersze koło czytelników nie fachowych, autora prosiliśmy. Prof. Raciborski uznał niektóre z tych zmian za nie odpowiadające jego pogładowi i uważał za potrzebne objaśnić różnicę, (str. 304—308), jaka zachodzi między jego wystowieniem a redakcyą, którąśmy ze względu na warunki pisma peryodycznego przyjąć musieli. Badacz filozofii, patrząc na obiedwie redakcyje, ma tedy zupełną możność pójścia za redakcyą szan. profesora, chociaż mniemamy, że różnice leżą więcej w literze, w słowie a nie w myśli. Kształcenie się filozofów naszych na obcych, szczególnieji niemieckich wzorach, nie może pozostać bez wpływu na nasz styl filozoficzny, który przecie do pewnego stopnia wydoskonalili Śniadeccy, Libelt, Kremer i Aug. hr. Cieszkowski.

W drukarni uniwersytectn Jagiellońskiego w Krakowie wyszła w pięknej nader edycyi gruba książka pod tyt. „Rocznik filarecki.” Rok pierwszy z dedykacyą: Pamięci filaretów Wilieńskich. Kraków, 1886, str. VIII i 719. Książka, o której mowa zawiera prace kształcące się młodzieży w uniwersytecie krakowskim, związanęj wśród całej rzeszy akademickiej w osobne kółko, które nazwą swoją charakteryzuje najwymowniej cele szlachetne i obywatelskie, jakie mu przyświecają. Nie mogąc w zeszycie niniejszym dla braku miejsca drukować przygotowanego szczegółowego rozbioru tego wydawnictwa, ograniczymy się tymczasem na podaniu treści jego, przy dołączeniu uwagi ogólniejszej, którą wydawnictwo zbiorowe, wydawane przez uczącą się młodzież, mimowoli budzi.

W grubym tomie I „Rocznika filareckiego“ czytamy następujące prace studentów uniwersytetu jagiellońskiego:

Po dedykacyi i słowie wstępnem czytamy 8 utworów poetycznych (str. 1—15), natchnionych jak najszlachetniejszą myślą, ale noszących na sobie zbyt wyraźne jeszcze piętno pierwocin poetyckich pod względem techniki wiersza i nie zawsze poetyckich obrazów. Dalej idą rozprawy następujące: 1) St. Feliks Momidowski: Filomaci i Filareci w Wilnie; 2) Ignacy Rosner: Kronika węgiersko-polska; 3) Każ. Szkaradek: Stosunki polskie po śmierci Leszka Białego. 4) Witold Rubczyński: Wielkopolska pod rządami synów Władysława Odonicza. 5) Romuald Wsętečka: Zabiegi o Węgry w 1527 r. 6) Antoni Marylski: Karol Malczewski, generał czasów stanisławowskich. 7) Stanisław Windakiewicz: Pobyt Kochnowskiego za granicą. 8) Karol Lepkowski: Poczyna polska na nagrobkach XVI wieku. 9) Józef Ko-

rzeniowski: Nieznane polskie i łacińskie wiersze politycznej treści, 1548—1551. 10) Stanisław Krzyżanowski: Andrzej Ciesielski. 11) Alfred Blumentstok: Kilka słów o znaczeniu prawnym interdyktu kościelnego. 12) Karol Łepkowski: Petyhorzec.— Zastanawia nas pewna jednostronność studyów. Czy między filaretami krakowskimi nie ma ani jednego reprezentanta nauk ścisłych? Przykład starego Domejki może tu być wzorem i dowodem, że nauki ścisłe nie płoszą koniecznie szlachetnych ideałów z duszy młodzieży. Lecz odłóżmy to do rozbioru szczegółowego. Tymczasem nadmieniamy, że kwestya wydawnictw studenckich przedstawia obok wielu stron dodatnich także i niektóre ujemne. Wzgląd na warunki postępu naukowego kazałby dopuszczać do druku tylko prace gruntownie wyrobione, przynoszące nową jaką cegiełkę do świątyni wiedzy ludzkiej. Nie przeczymy, że obok tego poważnego celu wydawnictw książkowych i peryodycznych, może jeszcze wzgląd na interes spraw bieżących pobudzać ludzi światłych do rozbioru kwestyi na dobie będących w dyskusyi publicznej. Żadnej z tych pobudek nie możnaby w zwykłym rzeczy porządku przypuszczać w wydawnictwie, podejmowanem przez młodzież dopiero się uczącą, która ze względu na swój wiek, pełen zapału i uniesień jest zbyt skłonną do wszelkich utopii na polu pracy około uszczęśliwienia ludzkości, a w arsenale umysłu swego nie posiada jeszcze tyle materiału naukowego, żeby go na przygodne harce trwonić mogła. Pozostałoby zatem w wydawnictwie tego rodzaju tylko wzgląd wyłącznie pedagogiczny; należałoby je uważać za pole ćwiczeń, za pole współzawodnictwa szlachetnego, które siły duchowe młodzieży podnieca, hartuje i do pracy czynnej na polu naukowym zaprawia. Pomijamy w tej chwili możliwą także pobudkę nienaganną jeszcze miłości własnej, chęć pokazania się przed tymi, którzy nas najbardziej obchodzą. Zachodzi tedy pytanie, czy wzgląd na potrzebę posuwania nauki naprzód może pobudzać do pisania książek młodzież, która się dopiero uczy — i przede wszystkim o tém naczelnem swoim zadaniu pamiętać powinna, aby bogacić jak najwszechstronniej swoją wiedzę, aby ćwiczyć i doskonalić harmonijnie swoje władze umysłowe w pracy metodologicznej. Wskazane powyżej względy zdawałyby się mówić przeciw temu. Gdy jednak doświadczenie uczy, że żaden kodeks nie był jeszcze w stanie zmienić skłonności i popędów natury ludzkiej, gdy wiele, wiele względów przemawia za podtrzymaniem szlachetnej ambicji służenia dobru ogólnemu wedle możności, gdy nie brak pomiędzy młodzieżą nigdy i takich osobistości, które wcześniej rwą się do pióra, zwłaszcza w naszym wieku wyrobnictwa literackiego, to daleko pożyteczniejszą i odpowiedniejszą będzie rzeczą, gdy te podnioślejsze, niepowściągliwe umysły wystąpią pod własnym sztandarem, gdy się gromadzą około widnej chorągwi pragnień szlachetnych i nadziei młodzieńczych, aniżeli gdyby się miały nużyć pośród namiętności jak najrozmaitszych organów przeróżnych „obozów“ i „stronnictw.“ Dla tych względów

witamy życzliwie 1-szy „Rocznik filarecki,” co nie przeszkodzi nam wcale w sądzie—jakkolwiek pobłażliwszym dla początkujących—być wymagającymi pod względem metodologicznym i formalnym.

„Szkoły rolnicze w Niemczech, sprawozdanie z podróży naukowej przez d-ra Emila Godlewskiego, prof. szkoły rolniczej w Dublanach“ (odbitka z „Niwy“). Warszawa, druk „Wieku,” 1886, w 8-ce, str. 68

Obszerne sprawozdanie prof. Godlewskiego, drukowane pierwotnie w nnr. 253—258 „Niwy“ roku 1885, dzieli się na dwie części: a) szczegółowy, obiektywny opis 12-tu instytucji, ich organizacji, laboratoryów, zbiorów, przyrządów i modeli, stacyi doświadczalnych, stacyi kontroli nasion, pól doświadczalnych, ogrodów botanicznych i zoologicznych (ras); b) uwagi i wnioski autora o tych zakładach w porównaniu ze szkołą dublańską. Wnioski te są po większej części niekorzystne. Szkoły rolnicze niemieckie nie osiągnęły zdaniem autora celu; mało liczą słuchaczy a przyjęta tam zasada wolnego uczenia się sprawia, że młodzież nie oddaje się systematycznej pracy, chywyta wiadomości powierzchownie i zaledwie 3%—4% tej młodzieży opuszcza zakłady ze świadectwem egzaminów końcowych. Nowy przetym system przyłączania takich szkół do uniwersytetów, okazał się nader wadliwym: wykład profesora w obec różnorodnych słuchaczy nie może być korzystny zarówno dla wszystkich. Profesor nauk przyrodzonych inne strony swego przedmiotu będzie uwydatniał przed przyszłymi lekarzami, farmaceutami, inne znowu przed agronomami, leśnikami. Czytając opisy bogatych zbiorów, laboratoryów, stojących pustkami, przychodzimy do wniosku, że korzystają z nich wprawdzie wiele, ale nie uczniowie, tylko profesorowie, nauka.

Opisywane zakłady podzielono na 4 grupy:

1) Szkoły będące tylko oddziałami wydziałów uniwersyteckich, których uczniowie słuchają przedmiotów zasadniczych wraz z innymi słuchaczami uniwersytetu we Wrocławiu, Lipsku, Halli-Jenie, a także w Getyndze, Giessen, Kiel i Królewcu (ostatnich czterech autor nie zwiedzał).

2) Szkoły będące osobnymi wydziałami w politechnikach w Monachium, Zürichu.

3) Szkoły pomieszczone w uniwersytetach, ale mające odrębny ustrój i odrębne wykłady wszystkich przedmiotów w Berlinie, Wiedniu, Popelsdorfie.

4) Izolowana akademia rolnicza w Hohenheimie. Na pierwszym miejscu autor stawia akademię w Popelsdorfie, na drugim w Hohenheimie. Szkoła dublańska dość zwyczajko wychodzi z porównania z niemieckimi. Rozpatrzenie atoli, tych ostatnich naprowadza profesora na pewne wnioski, któreby rad widzieć zastosowane w swęj szkole; radzi przeto:

1) Strzedz się wprowadzenia w Dublanach wolności uczenia

się, która w Niemczech bardzo niekorzystnie pociąga za sobą skutki: młodzież samowolnie traci dużo drogiego czasu, a do nauki bierze się tylko dorywczo po dyletancku bez sytematycznego planu.

2) Zaprowadzić obowiązkowe półroczne egzamina, znoszące wszelką dowolność w tym względzie; młodzieży nie przygotowanej odpowiednio, nie przepuszczać na wyższe kursa.

3) Zaprowadzić piśmienne wypracowania, skierowane ku wyrobieniu samodzielności i krytyczności poglądów uczniów.

4) Rozszerzyć wykłady geologii i technologii, zmniejszając kurs zoologii.

5) Zaprowadzić bliższy związek między szkołą niższą a zarządem folwarku.

6) Stworzyć wygodniejsze warunki pobytu w Dublinach, na co się złożą: odpowiednie mieszkania, chodniki, komunikacja ze Lwowem, apteka, szpital, lekarz miejscowy.

N.

Nakładem „Gaz. roln.“ ukazało się świeżo z pod prasy dzieło p. t. „Krótki zarys budownictwa wiejskiego,” napisane przez p. K. Obrębowicza. Znajdujemy tu treściwie, lecz jasno i umiejętnie przedstawione dla użytku ziemian wskazówki, potrzebne przy wznoszeniu wszelkiego rodzaju budowli gospodarskich. Jest to pierwszy i jedyny tego rodzaju w naszej literaturze rolniczej podręcznik dla gospodarzy wiejskich. Zaletą jego jest przedewszystkiemi, że wszelkie tam pomieszczone wskazówki oparte są na znajomości naszych stosunków, a więc uwzględniają nasze potrzeby gospodarskie i ekonomiczne. Za zasadę w swęj pracy przyjął autor, jak to na samym wstępie zaznacza, że oszczędność i praktyczność w budownictwie wiejskiem jest najpierwszym i najkardynalnniejszym warunkiem. Dzieło to obejmuje cały zakres budownictwa wiejskiego, począwszy od domów mieszkalnych i zabudowań gospodarczych aż do zakładów rolniczo-przemysłowych, a mianowicie mleczarni, browarów wiejskich, gorzelni i mączkarń. Wartość dzieła podnoszą liczne rysunki w tekście, przedstawiające najpraktyczniejsze plany normalnych budowli gospodarskich.

Przy tęg sposobności przypominamy, że część ogólna, omawiająca nader ważną sprawę materiałów budowlanych i konstrukcyj, rozbiła bardzo szczegółowo i dokładnie podręcznik, wydany przed dwoma laty nakładem księgarń Gebethnera i Wolffa p. t. „Budownictwo wiejskie” przez B. Harresa, tłómaczony wedle drugiego wydania niemieckiego tego dzieła.

Podręcznik Harresa zawiera około 400 rysunków pomieszczonych w tekście.

Józef Wolff wydał w Krakowie dzieło pod tyt. „Ród Gedymina,” Dodatki i poprawki do dzieł hr. K. Stadnickiego: „Synowie Gedymina,” „Olgierd i Kiejstut” i „Bracia Władysława Jagiełły.” Kraków, 1886, str. VI i 171. P. Wolff, uważając, że hr. Stadnicki nie u-

względnił dostatecznie znaczenia całego szeregu kniaziów, którzy we współczesnych źródłach występują jako krewni Jagajły lub Witowda, postanowił uzupełnić znakomite badania zmarłego niedawno autora „Synów Gedymina.“ Dzieło p. Wolffa rozpada się na 2 główne części z licznymi podziałami, mianowicie: w 1-szej mówi „o Rodzie i synach Gedymina,” w drugiej „O synach Olgierda.”

„Sabina,” powieść Michała Bałuckiego, stanowi IV-ty tom prac beletrystycznych tegoż autora, wydanych nakładem S. Lewentala. Powieść ta drukowaną już była w „Kłosach.“ Treść poczerpnięta z małomieszczańskiego życia, przedstawia walkę dwóch kobiet, z których jedna działa na wyobraźnię mężczyzny swą pięknnością, druga podbija zaś jego serce przymiotami duszy — i ta, oczywiście, zwycięża.

„Kwiat szczęścia,” powieść Elżbiety Werner, tłumaczona z niemieckiego przez Antoninę Morzkowską, pomieszczona pierwotnie jako dodatek do „Świt.“ Mitosne dzieje dwóch par wypełniają treść utworu.

We Lwowie wyszły z druku wspomnienia z wycieczki odbytej w r. z. do Skandynawii przez p. K. O. Barańskiego p. n. „Z okien wagonu.“ Lwow 1886, str. 193. Literatura nasza podróżnicza, dość w ogóle uboga, nie zajmowała się, prócz dwóch dzieł dawniej już napisanych, Skandynawią, chociaż jest to kraj niezmiernie ciekawy, i w stosunkach politycznych Europy północnej ze względu na rozwój potęg państwowych nadzwyczaj ważny. Lekka forma, jaką autor nadał swoim „wspomnieniom,” czyni książkę łatwą do czytania, szkoda tylko, że pod względem stylu i ducha naszego języka spotykamy tu krzyżące horezye

N e k r o l o g i a.

— † Dnia 3 maja umarła w Nowej Aleksandryi (Puławy) ś. p. **Łucya** z kś. Gedroyców **Rautenstrauchowa**. Ś. p. Ł. pochodziła z rodziny historycznej litewskiej książąt Gedrojców, jedna z pierwszych w bieżącym stuleciu przodowniczek literatury naszej. Ś. p. Ł. R. urodziła się dnia 22-go czerwca 1798 roku; od dzieciństwa znajdowała się za granicą, w pobliżu dworu cesarzowej Józefiny, przy której starsza jej siostra była damą honorową. Wychowana wytwornie, z umysłem należycie rozwiniętym i sercem tkliwem dla ludzkości, poszła w roku 1820 za mąż za generała Rautenstraucha, człowieka znacznie starszego od siebie. Zarówno jako małżonka i jako wdowa, pełniąc surowo cnoty domowe, żyła dla sprawy ogólnej; pracowała sama na polu literackim, i zachęcała innych słowem i przykładem do pracy. Zajmując wyższe stanowisko towarzyskie od Tańskiej, dzielniejsza umysłem od autorki „Pielgrzyma,“ miała w otoczeniu swoim wpływ większy od nich. Z winy cudzoziemskiego wychowania, z razu nie władała należycie językiem ojczystym i musiała się uciekać do poprawek obcej ręki; to jej wszakże nie zrażało: pracowała, aż się wyrobiła na niepospolitą autorkę. Najpierwszym znanym utworem Rautenstrauchowej była powieść: „Emmelina i Arnolf,“ ogłoszona w roku 1821 w Warszawie. Za tą powieścią poszło później kilka innych, jak: „Ragana“ 1830, „Przeznaczenie“ 1831, oraz tłumaczona „Korynna“ 1853. Atoli prawdziwe jej powołanie stanowiło zwierzenie się z postrzeżeń i wrażeń, w luźniejszej formie wspomnień i opisów podróży. Jej „Wspomnienia o Francyi“ 1839, „Ostatnia podróż do Francyi“ 1841, „Miasta, góry i doliny“ (pięć tomów) 1844, a zwłaszcza „W Alpach i za Alpami“ (trzy tomy) 1847, mogą być ozdobą każdego piśmiennictwa. W r. 1862 sędziwa autorka ogłosiła nową pracę pod tyt.: „Kalendarzyki wspomnień narodowych,“ pod przybranym nazwiskiem Pauliny Mikułowskiej. Zamieszczała też niemało artykułów w pismach peryodycznych; między innymi w zeszyt rocznych „Kłosach“ życiorys starszej siostry Białopiotrowiczowej, damy hono-

rowej cesarzowej Józefiny. Cześć szczerą otaczała ją za życia i towarzyszy jej po zgonie!

— † Dnia 15-go maja 1886 r. umarł w Poznaniu dr. **Teodor Teofil Matecki**, osobistość bardzo zasłużona i popularna w W. ks. Poznańskim, w 76-ym roku życia. Ś. p. dr. Matecki, urodził się r. 1810 w Poznaniu, studia uniwersyteckie odbył w Wroclawiu (1837). Idąc w ślady dr. Marcinkowskiego, nie odłączał obowiązków wzniosłych obywatela od zatrudnień poważnych lekarza i szlachetnego człowieka. Owoce swych badań i doświadczeń składał już to w prelekcjach, już też w cennych rozprawach i dziełach lekarskich. Kiedy w jesieni roku 1841-go rozpoczął się w pałacu Działyńskich szereg naukowych odczytów, obok Moraczewskiego i Libelta wystąpił Matecki z wykładami o chemii i fizyce, które cieszyły się wielkim powodzeniem. Z dzieł lekarskich i naukowych ś. p. Mateckiego wspomnimy: 1) „O najnowszych sposobach leczenia skrzywień ciała ludzkiego i zezowości. Poznań 1840. 2) „Poradnik dla młodych matek czyli fizyczne wychowanie dzieci w pierwszych siedmiu latach. Poznań 1848,“ 3) „Słownictwo chemiczne polskie,“ 1865; 4) „Domowa apteczka,“ 1860; „Rady i nauki starego lekarza dla nielekarza,“ 1867 i inne. Społeczeństwo uznając jego zasługi, położone na polu nauki, powierzyło mu stanowisko wice-prezesa Towarzystwa przyjaciół nauk, na którym pozostał aż do końca życia. Nadto był nieboszczyk prezesem sekcji lekarskiej Tow. przyj. nauk, członkiem różnych towarzystw lekarskich, najstarszym członkiem dyrekcji Pomocy naukowej imienia Karola Marcinkowskiego, członkiem rady nadzorczej spółki bazarowej, gdzie reprezentował Towarzystwo przyjaciół nauk. Z pomiędzy licznych jego zasług obywatelskich wyszczególnić się godzi jeszcze danie inicjatywy do wzniesienia pomnika Mickiewiczowi obok kościoła św. Marcina w Poznaniu.

— † Dnia 19-go maja zmarł w Warszawie ś. p. **Michał Czepiński**, zasłużony na polu ogrodnictwa naszego równie jako hodowca i jako pisarz. Ur. w Lublinie w r. 1798-ym, po skończeniu szkół pijarskich wyjechał do Erfurtu dla wydoskonalenia się w swoim zawodzie. Praktykując później w różnych miejscowościach, wykształcił się przy osobistej wielkiej pracy, na zdolnego ogrodnika. W roku 1832-im spotykamy go we Francji, następnie w Belgii, z kąd udał się do Haarlem i Bamberg, gdzie zawiązał stosunki ze specjalistami. Po powrocie do kraju w roku 1835-ym założył w Warszawie ogrody przy ulicach: Marszałkowskiej, Hożej i Wielkiej i zaczął pisać dzieła ogrodnicze. Razem z Pawłem Leśniewskim pracował nad botaniką i podawał artykuły do jego wydawnictw. Nadto wydrukował oddzielnie: „Powszechne ogrodnictwo“ w Warsz. u Sennewalda 1841, wyd. 2, 1851. Wyd. nowe, w III t. przejrzał i pomnożył Kar. Langie.

Warsz. 1869, oraz „Rzecz o uprawie wina w ogrodach.“ Warsz. 1874. Jako nauczyciel położył nie małe zasługi, popularyzując praktyczną naukę urządzania inspektów, cieplarni, oraz pielęgnowania ziół. On pierwszy w roku 1848-ym urządził wystawę kwiatów ozdobnych i warzyw, a następnie orędownał i popierał uprawę drzew owocowych. W pismach codziennych, (1857) występował przeciw protekcyi zagranicznego przemysłu ogrodniczego kosztem swojskich stosunków. Cześć pamięci zacnego obywatela!

Redakcja Biblioteki Warszawskiej.

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca **J. K. Plebański.**

OGŁOSZENIA.

OD REDAKCYI

„Biblioteki Warszawskiej.“

Przypominamy Sz. Prenumeratorom, odbierającym Bibl. Warsz. za pośrednictwem ekspedycji pocztowej, że czas odnowić opłatę prenumeraty za II-gie półrocze.—Prenumerata wynosi w guberniach Królestwa i Cesarstwa, oraz we wszystkich krajach, należących do związku pocztowego:

Rocznie . . . rs. 12 kop. —
Półrocznie . . . „ 6 „ —

w Warszawie zaś:

Rocznie . . . „ 10 „ —
Półrocznie . . . „ 5 „ —
Kwartalnie . . . „ 2 „ 50

Upraszamy o nadsyłanie premuraty wprost do **Redakcyi Biblioteki Warszawskiej, Nowy-Swiat Nr. 41** (nowy), gdyż tylko wtenczas może Redakcyja brać na swoją odpowiedzialność akuratną ekspedycyą pisma. Równocześnie prosimy o **wczesne** nadsyłanie prenumeraty, ponieważ podług tego stosujemy ilość drukujących się egzemplarzy.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE DRUGIM

z roku 1886.

stron.

Nauki polityczne.

Pessimizm i wszechwładza państwa. Przez Eugeniusza Lipnickiego 1, 188

Filozofia.

Z psychologii empirycznej. (Pamięć, Wola, i Osobowość wedle T. Ribot). Przez S. Smolikowskiego 30

Historya.

Lukasz Górnicki. (Kilka nieznanych szczegółów z życia dzierżawcy tykocińskiego i wasilkowskiego). Przez St. Ptaszyckiego. 161

Szkoła i Pedagogika.

Szkoły ludowe w Galicyi. Przez H. d-ra Biegeleisena . . . 177
Wartość pedagogiczna muzyki. Przez Wład. Wilczyńskiego. 342
II-gi walny zjazd nauczycieli szkół średnich w Galicyi w Krakowie dnia 20 i 22 kwietnia 1886 r. Przez Romana Zawilińskiego. 398

Literatura.

Dobry uczynek. (Nowelka). Przez T. Zygmunta. 48

Hessy O'Grady. Powieść oryginalna, osnuta na tle stosunków obecnych w Irlandyi. Napisał Działosza. (C. d.)	225
Bohdan Zaleski. (Wspomnienie pośmiertne). Przez Sewerynę Duchyńską.	240, 365
Odczyty Jerzego Brandesa „O poczty polskiej XIX-go wieku.“ Przez Józefa Kotarbińskiego.	421

Sprawy społeczne.

Z ekonomiki XI.—Oswobodzenie włościan na Litwie i Rusi. Dane statystyczne co do liczby poddanych w Cesarstwie, zebrane w 1855 r. przez Kawiellina. — Liczba poddanych na Litwie i Rusi w czasie wojny krymskiej. — Komitet sekretny.—Projekty prywatne. —Udział inteligencji polskiej w sprawie reformy włościańskiej. — Adres szlachty litewskiej do panującego.—Reskrypt cesarza Aleksandra II-go w odpowiedzi na ten adres. — Niechęć dworzan i możnowładztwa.—Utworzenie na Litwie komitetów gubernialnych i komisji ogólnej w Wilnie.—Instrukcja Łąskoja dana Nazimowowi.—Główne zasady wyzwolenia i uwłaszczenia włościan na Litwie.—Skład osobisty komisji ogólnych w Wilnie i Kijowie, oraz komitetów gubernialnych.—Cyrkularz ministra spraw wewnętrznych do gubernatorów. — Komitet główny do spraw włościańskich. — Początkowa bezczynność. —Wejście W. Ks. Konstantego do komitetu.—Program zajęć komitetów gubernialnych.—Komisyja specjalna.—Wydział ziemiański.—Komisyje redakcyjne, ich skład i program. — Komisyja finansowa.—Możnowładztwo i operacya.—Coup d'état. Ks. Paskiewicz i hr. Piotr Szwałow.—Wytrwałe postanowienie reformy ces. Aleksandra II-go. — Główni działacze: Rostowcew, Milutyn i Sołowjew.—Pierwszy okres prac komisji redakcyjnych.—Powołanie ekspertów do Petersburga.—Wydawnictwo urzędowe téj epoki 201

Nowa konstytucya irlandzka. Przez Edm. Naganowskiego 313

Kronika zagraniczna.

Kronika paryzka, literacka, naukowa i artystyczna.—Uroczystość w Akademii francuzkiej: Przyjęcie pana Halevy: mowa p. Pailleton.— „Wspomnienia z lat sześćdziesięciu,“ przez Ernesta Legouvé.— „Lotaryngia,“ dzieło ilustrowane.— „Raporta Bartłomieja Sturmera,“ komisarza austriackiego na wyspie Świętej Heleny, wydane w Wiedniu.—Nowy akademik Lecomte de Lislo.—„Rok 1802,“ dyalog umarłych, na cześć Wiktora Hugo, przez Renana. — Wagner i Lohengriny. — „Komedyanicy w średnich wiekach we Francyi,“ p. profesora Sorbony Petit do Julleville. — Nowe kartony pana Andriollego: „Koncert nad koncertami“ z Pana Tadeusza.—Pomnik grobowy pani Tamberlick, dłuta pana Cypryana Godobskiego

Przegląd piśmiennictwa krajowego i zagranicznego.

- „Pamiętnik fizyograficzny,“ tom V za rok 1885. Wydawcy E. Dziwulski i Br. Znatowicz. Warszawa, druk E. Skińskiego. 8-ka wielka, arkuszy 38, stronic 607, tablic litograficznych 24. Przez A. W. 85
- Histoire de la litterature portugaise depuis ses orgines jusqu'à nos jours par Loiseau Paris 1886, stronic 409. Przez J. A. Świącickiego. 96
- „Il Libro dell' Amore.“—Poesie italiane raccolte, e straniero raccolte e tradotte, da Marco Antonio Canini (volume 1). Venezia, 1885. Przez Kazimierza Kaszewskiego. 111
- Ku czci ś. p. Pauliny Krakowowej. „Księżniczka,“ powieść, uwieńczona nagrodą konkursową, napisała Zofia Urbanowska. Kraków i Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, 1886 r., str. 370. 257
- „Solution de la question d'Orient“ par Mathias Ban. Belgrade, imprimerie d'état, 1885. Przez E. Lipnickiego. 269
- Estudios literarios par Martin Garcia Merou. Madrid 1884. Ensayos literarios par Emilio Castelar. Madrid 1885. Przez J. A. Świącickiego. 273
- „Geschichte Oesterreichs“ von Jos. Alexander Freiherr von Helfert. Praga i Lipsk, I—IV tomy, 1869—1885. Przez E. L. 278
- Jana Kochanowskiego dzieła wszystkie. Wydanie pomnikowe. Tom III-ci, str. 421. Warszawa, druk braci Jeżyńskich (dawniej J. Ungra) 1884 r. 422
- „Uwagi o modelach na pomnik Mickiewicza, wykonanych podług pomysłu Matejki, oraz odpowiedź pp. recenzentom na ich zarzuty. Naszkicował członek komitetu pomnika dla Mickiewicza dr. Hubert hr. Krasieński.“ Bez wyrażenia roku i miejsca druku, str. 60. Przez Karola Matuszewskiego 434

Kronika miesięczna.

Kwiecień. — Kilka słów o stosunkach publicznych w Europie. — Wzburzenia socjalistyczne we Francji, Anglii i Belgii. — Zachmurzony horyzont polityczny z powodu niepewności stosunków na Wschodzie. — Dalszy ciąg robót anti-ekonomicznych i anti-społecznych w Prusach, oświetlonych przez smutne dla nas dane statystyczne o stosunku polskiej własności ziemskiej do niemieckiej w W. ks. Poznańskim i w Prusach zachodnich. — Ostrzegający głos Ferdynanda ks. Radziwiłła w Izbie panów dnia 27-go lutego 1886. — Przyczyny fałszywej opinii prasy europejskiej o zasadniczych ideach naszego życia społecznego. — Ruch umysłowy: I) w Akademii umiejętności w Krakowie: a) Rozprawa St. Smolki: „Projekta refor-

my wojskowej i skarbowej za Zygmunta I-go; b) Stef. Szolc-Rogozińskiego: „Rysy charakterystyczne narzecza murzyńskiego Bakwiri w górach kameruńskich;“ c) Posiedzenie sekcji antropologicznej; d) P. Kawczyński: „Poszukiwania rytmiczne.“ II) w Towarzystwie przyjaciół nauk w Poznaniu: a) ks. prałat Likowski: „O przygotowaniach do unii brzeskiej (dokończenie), b) ks. kanonik Korytkowski: „O księciu Floryanie Kazimierzu Czartoryskim, arcybiskupie gnieźnieńskim († 1674).—Konkurs króla szwedzkiego z dziedziny literatury semickiej.—Otwarcie nowej drukarni uniwersyteckiej w Krakowie.—Towarzystwo geograficzne w Krakowie.—Z Towarzystwa zachęty sztuk pięknych: Obraz Munkaczego „Chrystus przed Piłatem.“—Z teatru (Mozera „Porucznik Szykowski“ i „Wojna podczas pokoju;“ Przybylskiego „Pst;“—„Za późno“ Tomaszewicza). — Wynik konkursu imienia Wojciecha Bogusławskiego. — Spółki spożywcze.—Z Tow. popierania przemysłu i handlu: narady rolników, młynarzy.—Sprawozdanie I-sze Tow. ogrodniczego w Warszawie.—Lecznice w Warszawie.

123

Maj. — Sytuacja ogólna państw europejskich. — Narodowość w stosunku do państwa.—Ugoda kościelno-polityczna w król. Pruskiem. — Rzut oka na ruch umysłowy wśród społeczeństwa polskiego: Prelekcyje w Warszawie Brandesa („O poczty polskiej XIX-go wieku) i Janikowskiego („O wyprawie afrykańskiej“). — Posiedzenie Akademii umiejętności w Krakowie: wydziału matematyczno-przyrodniczego i filologicznego.—Odczwa zjednoczonego Towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych w Krakowie do artystów w sprawie konkursu do projektowanego Albumu z reprodukcji prac artystów polskich zamiast dotychczasowych premii.—Stary obraz Władysława Jagielly w katedrze sandomirskiej.—Zjazd nauczycieli szkół średnich w Krakowie dn. 20, i 22 kwietnia. — Sprawozdanie z odczytu prof. Ówiklińskiego (Wykopaliska Schliemana) w Towarzystwie przyjaciół nauk w Poznaniu.—Sprawozdanie z 2-go posiedzenia wydziału historycznego.—Sprawozdanie Tow. pomocy naukowej imienia Karola Marcinkowskiego w Poznaniu za rok 1885-ty (45-ty swego istnienia). — Teatr w Warszawie („Dzisiejsi“ Gawalewicz; „Antea“ Wł. Okońskiego (Al. Świętochowskiego); „Wigilia ś-go Andrzeja;“ „Romans paryzki“ Feuilleta).—Z ruchu muzycznego (Wieczory Tow. muzycznego: benefis dyr. Noskowskiego, Fr. Zawadzki; p. Magde Wickham, Korostaszewski. Opera w Teatrze wielkim. Jenny Broch, Sembrich Kochańska, „Lohengrin“ Wagnera, zdyskredytowany przez p. Moskowicza. Echo muzyczne i muzyka klasyczna).—Z ekonomiki: Nasz rynek pieniężny; z Tow. popierania przemysłu i handlu; sprawa handlu ze wschodem: spółki zarobkowo; szkoły fachowe

281

Czerwiec. — Rzut oka na sytuacją ogólną stosunków europejskich.—Wskreszenie floty czarnomorskiej. — Germanizacja szkoły w W. ks. Poznańskim i w Prusach zachodnich w sejmio pru-

skim. — Wymarzone „rozruchy“ galicyjskie. — Ruch życia umysłowego polskiego: Trzy odczyty prof. St. hr. Tarnowskiego w Warszawie (30 kwietnia, 3 i 4 maja r. b.) na dochód Osad rolnych i Towarzystwa ubogich Matek: „O literaturze polskiej za panowania Stefana Batorego. — Doroczne posiedzenie Towarzystwa historyczno-literackiego d. 3 maja w Paryżu: konkurs imienia J. U. Niemcewicza, odczyt p. Kallenbacha „O panowaniu Stefana Batorego.“ — Konkurs imienia Adama Chojnackiego z funduszu na cel oświaty ludowej pod zawiadywaniem Uniwers. warszawskiego. — Doroczne walne posiedzenie uroczyste Akademii umiejętności w Krakowie dn. 22 maja 1886 r. — Konkursy Akademii. — Przegląd zwyczajnych czynności: Posiedzenie sekcji matematyczno-przyrodniczej z dn. 15 i 17 kwietnia i 20 maja: wydziału historycznego 17 kwietnia i 18 maja; wydziału filozoficznego z dn. 13 maja. — Czynności w Towarzystwie przyjaciół nauk w Poznaniu: August hr. Cieszkowski: „O archiwach weneckich,“ oprócz tego czytano rzecz „O pamiętnikach generała Lewickiego.“ — Ruch teatralny: „Osaczony“ p. Lubowskiego, „Co zwycięża“ p. Hajotę. — Sprawa sprzedaży akcji drogi żelaznej Dąbrowskiej. — Instytucje ubezpieczeń życiowych. — Sprawozdanie warszawskiego Towarzystwa ubezpieczeń od ognia za rok 1885. — Towarzystwo popierania przemysłu i handlu — † Leopold Ranke, historyk niemiecki. — † Jerzy Waitz 440

Korespondencya.

I-sza.	P. Biggs z P. M. Wentz'l	115
II-ga.	Niemieckie Towarzystwo w Poznaniu z P. Callier.	121
III cia.	List p. Ernesta Sulimczyka Świeżawskiego do redaktora Bibl. Warsz.	464
IV-ta.	Odpowiedź redaktora Bibl. Warsz.	465

Wiadomości bibliograficzne.

Kwiecień. — J. dr. Mycielski: Porwana z klasztoru (154). — Albert dr. Zipper: Franciszek Grillparcer (155). — J. Kirszrot-Prawnicki: Kredyt włościański (156). — Biblioteka histor. rosyjska t. VIII, (156). — Truwnau: „Zaprowadzenie chrześcijaństwa w Inflantach“ (157). — Forsten: Walka o panowanie na Morzu bałtyckim w XV i XVI wieku. Materiały do historii guberni Podolskiej (1792—1796). — Fr. Miklosich: Słownik etymologiczny języków słowiańskich (158). 154—158

Maj. — „Sejm czteroletni“ ks. Wal. Kalinki. Część II-ga tomu II-go. — Ks. Bukowski: Dzieje reformacyi w Polsce, t. II-gi. — Opowiadania „Z czasów saskich“ K. Jarochowskiego, t. II-gi (303). — Ad. Bełcikowski: Ze studyów nad lite-

- raturą polską.—Jędrzejewicza: Kosmografia.—H. Merczynga; a) Elek-
tromagnetyczna teoria światła James'a, Clerk'a Maxwella. b) Moto-
ry gazowe. — Haeser: Historia Medycyny.—G. Fritsche: Sprawoz-
danie z kolonii letnich.—Szyllar-Racki: Wędrowki i przygody po-
wieść pouczająca. Konstanty Krynicki: „O Wiśle.“—Nowe pismo
polskie dla ludu w dawniej Warmii.—Zygmunt Gloger: Skarbezyk.
—„Jak prowadzić gospodarstwa?“—Czesław Pieniążek o Syrokomli.
—P. Kałuźniacki.—Listy Maryi Leszczyńskiej 305
- Czerwiec.* — Tłómaczenie „P. Tadeusza“ Mickiewicza na
język hiszpański. — Al. dr. Raciborski: Podstawy teorii pozna-
nia w systemie J. St. Milla (472). — „Rocznik filarecki, I.“—
Szkoły rolnicze w Niemczech, p. Emila Godlewskiego (474). —
„Krótki zarys budownictwa wiejskiego“ p. Obrębowicza (475).—J.
Wolff: „Ród Gedymina.“ — M. Bałucki: „Sabina“ (476). — „Kwiat
szczęścia“ Elżb. Werner, tłóm. Morzkowska. 471—477

Nekrologia.

Ś. p. Zygmunt Gawroński. — Ś. p. Bohdan Zaleski	159
Ś. p. Kazimierz hr. Stadnicki	312
Ś. p. Łucya z ks. Gedroiców Rautenstrachowa	477
Ś. p. Teofil dr. Matecki	478
Ś. p. Czepiński.	478

Ogłoszenia.

Od redakcyi. Przypomnienie o odnowieniu prenumeraty na
półroczu II-ie.
